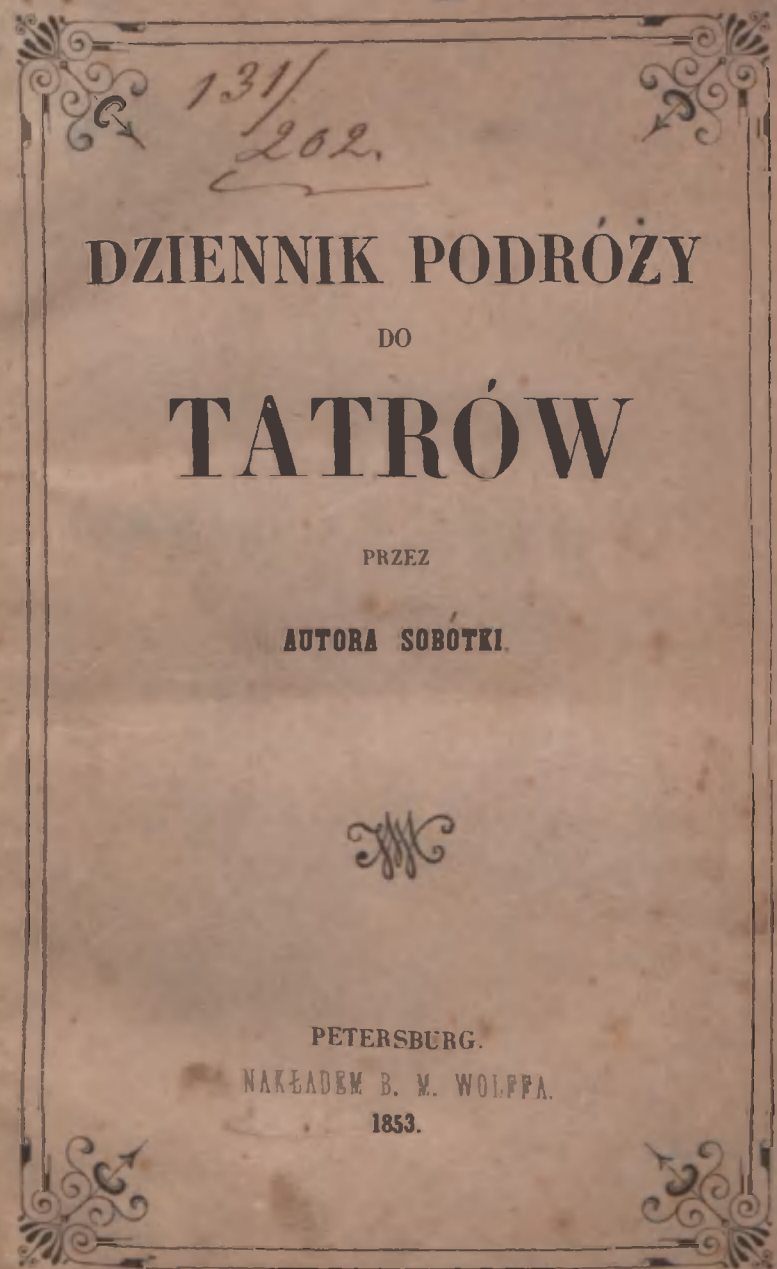


6 2,001.822

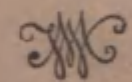
I 13853



131/
202.

DZIENNIK PODRÓŻY
DO
TATRÓW

PRZEZ
AUTORA SOBÓTKI.



PETERSBURG.
NAKŁADEM B. M. WOLFFA.
1853.

131

131/
202

DZIENNIK
PODRÓŻY DO TATRÓW.



II 13853

DZIENNIK PODRÓŻY

DO

TATRÓW

PRZEZ

AUTORA SOBOTKI.



PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

1853.

13853

1853

DZIENNIK

PODRÓŻY DO TATRÓW

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001006334701

WOLNO DRUKOWAĆ

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie dnia 13 Sierpnia 1852 r.

Starszy Cenzor: L. T. TRIPPLIN.



W Drukarni C. WIENHOEBERA.

42.001.822

DLA CZYTAJĄCYCH TO DZIEŁO.

Autor tej podróży, ogłasza ją głównie dla tego, że chwila jego życia schwycona w tym dziele, jest jedną z tych, w których żył wszystkimi swojemi władzami, życiem pełniejszym niż kiedykolwiek.

Podróż ta miała miejsce w roku 1832, a ogłasza się dziś dopiero, niemal we 20 lat. Ogłoszenie to może się wydawać za późne, niewłaściwe. Autor jednak nie cofa się przed niem. Sądzi, że ani przedmiot, ani wykonanie jego dzieła nie tracą na przewłóce. Opisuje on góry i lud który je zamieszkuje: — a które w tym przeciągu czasu się niezmieniły.

II

Czytelnik nie znajdzie w tém dziełku skarbów umiejętności albo nauki, autor puścił się z małym zapasem wiedzy, z mniejszym jeszcze naukowości, a bez żadnej książki, nawet bez barometru. Nierobił on tej podróży ani jako Geolog, ani jako Geograf, ani jako Archeolog; puścił się obyczajem zebrzących śpiewaków swojej krainy, z lirą swojego ducha, z nią tylko; do niej nastroił swój rozum, swoje zmysły, wszystkie swoje władze, i to tylko zachował czém mu ten instrument zagrał, potracony od ziemi którą przeszedł i od jej ducha. Jakkolwiek nieobojętnem jest Autorowi rozszerzenie sfery naukowych wiadomości, pomnożenie prawdziwych pojęć w tej sferze, zajmował się jednak najgłówniej tém do czego czuł się najzdolniejszym, pisał wiele z serca i dla serca, wiele w ocknieniu się głębszego swego czucia dla obudzenia głębszego czucia w innych; uprzedza przeto, że w jego notatach znajdzie się wiele miejsc które będą pojętne, będą miały wartość jedynie dla ludzi szukających we wszystkiem zasiłku żywotnego dla swojego serca, dla swojego czucia głębszego, wyższego, i

III

niegardzących nim, skoro go znajdą, choćby był najskromniejszy. Takie są ustępy w tem dziele odnoszące się do pewnych osób, do pewnych chwil, do pewnych miejsc, i dla tego Autor zostawia je nieprzemazane. Co tu podaje, to wszystko winien miłości pewnych, osób, przyjaznym chwilom, natchnieniom dobrym pewnych miejsc; byłby niewdzięczny gdyby im nie złożył za to w ofierze owocu miłości z pola ich miłości.

Autor nie daje tego dzieła za coś zupełnego, za obraz którego przedmiot byłby wykończony we wszystkich swoich częściach, we wszystkich szczegółach; wszakże pochlebia sobie, że nie pominął nic obojętnie co kraj opisywany i mieszkańców jego mógł przedstawić najbardziej zajmującego, najgodniejszego uwagi; że następnie dotknął tego wszystkiego w sposób może niekiedy zaogólny, ale nigdy lekki: tak sobie śmie pochlebiać a przeto i z tego względu odważa się na niniejsze ogłoszenie.

Wyjątki z tej przejażdżki umieszczane były przed laty kilkunastą, w jednym z dzienników Krakowskich,

IV

i tak jak były ułożone dla ogłoszenia dziennikarskiego, największa część jęj zostawała w notatach, w formie dziennika; w tej formie i z tych notatek dopełnia Autor po części niniejsze ogłoszenie. po części, bo największa a może najważniejsza część musi jeszcze pozostać zanotowana tylko w duszy, i jeżeli będzie mogła wychodzić na jaw kiedykolwiek, to najpewniej pod innemi formami, o ile Bóg da Autorowi natchnienie i czas po temu.

TARNOWSKIE.

WIEŚ MIKOŁAJOWICE.

4 Kwiecna 1832.

Od pięciu miesięcy przebywam w kraju do którego z dzieciństwa tęskniłem. Trzy lata temu przeleciałem go Eilwagenem; nie spodziewałem się wtedy że za lat trzy będę tu jak w domu. Myślę nieraz o tych dziwnych kolejach losu! . . . Bądź co bądź, dziękuję losowi że mię tu rzucił. Nie! nie losowi — Bogu dziękuję. Los człowieka jest dziełem człowieka, jest koleją w którą człowiek wchodzi własną wolą, jest skutkiem jego woli mniej lub więcej dalszym, niekiedy bardzo dalekim, ale zawsze skutkiem, jest fatalizmem a wtedy Bóg tylko miłosierny łagodzi go, zamienia zły na dobry. Znajduję się w tym przypadku i dla tego dziękuję Bogu. Od kilku miesięcy jestem jak w porcie przed burzą straszliwą, co tam na wysokości świata szaleje. Port niewielki, niezupełnie bezpieczny, ale przynajmniej do pewnego czasu bezpieczny; mogę odetchnąć, wypocząć, nabrać

sił nowych na przypadek nowej burzy. Tak mi się wydaje ta wioska, ten domek, gdzie od jakiegoś czasu przebywam. Miło mi zatrzymywać moją myśl na nich.

Kraj ten jest bardzo zajmujący wszechstronnie, jak w ogólności cała ziemia osiadła ludem Krakowskim. Nadto, wiążą mię z nim wspomnienia z moich lat najmłodszych. Już w dzieciństwie znałem, kochałem ludzi z tej okolicy, oddzielony od niej stu milami. Tarnów, był dla mnie jakby sąsiedniem miasteczkiem; pragnąłem go zobaczyć, miałem pewność że zobaczę. Byłóż-to przecucie? byłóż-to ostrzeżenie? byłóż-to powolne, odległe osvajanie z powietrzem, którym kiedyś trzeba będzie oddychać, z życiem wśród którego kiedyś trzeba będzie żyć? . . . To pewna, że chociaż po raz pierwszy w tym kraju, nie znalazłem się obcym, i coraz mniej się czuję. Widzę miejsca których obraz rysował się już od dawna w myśli — ze słyszenia; słyszę mowę zastyszczaną już kiedyś, spotykam ludzi kiedyś zajrzanych, serca kiedyś zaczone. Otoż co mi wiele upięknia i umiła mój dzisiejszy pobyt, bo pozór niema nic takiego coby nadzwyczajnie porywało.

Wieś sama, Mikołajowice, jest niewielka i podobna do wszystkich wsi tutejszych, których niemożna postawić za wzór czystości, porządku, a tym mniej okazałości. Leży niedaleko Dunajca, nad starą jego korytem, wśród płaszczyzn ogromnych i zrównanych pod strychulec. Chaty rozrzucone w nieładzie fan-

tastycznym, każda patrzy w inną stronę, jak żeby dąsała się na swoje sąsiadki. Takim chatkom ulic nie potrzeba, dla tego też niema ich tutaj. Za to snuje się między niemi droga, dosyć sucha w lecie, oprócz kilku kałuż, które ją przecinają, niby strumyki. Liczne wierzby oceniają wioskę, tu uszykowane szeregami, tam zwinięte w gaik, ale co roku szpeczone podkrzesywaniem, na potrzeby gospodarskie; co się tyczy wierzchołka, tym mało która popyszczyć się może. Nie zbywa jednak na sadach, i tu dopiero są drzewa wielkie i ładne; owe-te sady osłaniają niepowabną srogość wioski, ich-to troskliwości macierzyńskiej winna wieś że patrzącemu z zewnątrz przedstawia wśród płaszczyzny nagięj w tym miejscu, przedmiot dosyć przyjemny dla oka.

Okolica nie jest ani nieładna, ani martwa. Widok na wzgórze z jednej strony, na lasy ogromne z drugiej, jest i zajmujący i rozmaity. Wsie dookoła nie obszerne, ale liczne i gęste. Miasteczko Wojnicz leży o półgodziny drogi od Mikołajowic. Jeszcze bliżej przechodzi wielki gościniec z Tarnowa do Podgórze Krakowskiego, najdłuższy i najgłówniejszy w Galicyi. Ruch jego niemały ożywia tę okolicę. Dla przechadzki mam brzeg Dunajca; dla przechadzki i oka wyniosłe wzgórze na drugim jego brzegu, a jeszcze dalej na prawo i wyższą od tych wzgórzów mam górę, która się zowie Panięską. Nasycony widokami wiejskimi, ile razy zapotrzebuję powietrza

i życia miejskiego, mań Tarnów o lekkie półtóry mili.

Wszakże wolę niż to wszystko domek w którym dziś mieszkam. Ustronny, niewielki, niepozorny, po prostu wielka chata, najpierwsza we wsi i razem najporządniejsza; drewniana, pobielona, pokryta snopkami, nie zawstydzą innych mieszkań wiejskich. Tylna strona domu kupi w sobie cały nieporządek domowego gospodarstwa: tam kurniki, chlewki, obory i wszystka ich nieczystość zlewająca się w jezioru zwane gnojanką, a które w tym kraju jest koniecznym *UTILE DULCI* każdej zagrody. Gumno graniczy z ogrodem, który osłania prawy bok domu a jest zarazem warzywnym i owocowym — na jego murawie, pod jego drzewami i ja już nieraz odpoczywałem. Pod oknami przednimi ogródek kwietny uzbrojony sztachetkami — są już tam róże i mojego sadzenia. Ta czelna strona domu ma dwoje drzwi, dwa wchody — bo dom przedzielony jest izbą kuchenną na dwie dziedziny; w jednej mieści się sama moja opiekunka, właścicielka wsi, Pani T... ze swoją żeńską rodziną, na drugiej panuje syn jej młodszy a mój towarzysz i przyjaciel; tu jest i mój przybytek. Są to trzy pokoiiki tak niedawno przybudowane, że ściany wewnętrzne nie są nawet jeszcze pobielone, niejako umyślnie dla gości rychłych a niespodziewanych, mimo to wcale porządne i wesole: drzewo ścian tak gładko obrobione że nierazi nagością; szczeliny mchem za-

tkane, a co brakuje w ozdobności to dopełnia świeżość budowy, jak u człowieka młodość pokrywa nieraz brak urody. Z resztą... dla mnie to konieczne: często obiegam te ściany spojrzeniem i widzę w nich nic więcej dla mnie, tylko rodzaj szalasu podróznego, wystawionego naprędce i na krótko.

I dla czegoż to piszę? dla czego chcę zachować pamięć tych drobiazgów? Niemaż w tem własnej miłości? Nie! jest miłość, ale przez wdzięczność i dla tych miejsc i dla ich właścicielki. Ona swoim duchem wszystko tu ożywia, dobrocią umila, własną wartością podnosi. Ilem jej winien i w jaki sposób? to się nie da wypowiedzieć. A choćbym i wypowiedział, innym byłoby to obojętne, a ona zapewne czytać tego nie będzie.

Pani T... jest już matką dwóch synów i pięciu córek, a babką kilkorga wnucząt. Nadźwigała się więc niemało krzyżów tego życia i niemało lat cięży na niej; mimo to, czerstwa i silna, ciałem i umysłem. Sama dotąd zawiaduje majątkiem, i daje sobie radę w trudnych wypadkach. Ale jest to jedna z mniejszych jej zalet; co zmusza czcić ją i kochać, to przymioty kobiety i matki. Mało znam kobiet, któreby połączyły w tym stopniu tyle dobroci, łagodności, słodczy charakteru, z energią poświęcenia gdzie tego potrzeba; tyle miłości rodzinnego kółka z miłością dalszych; tyle swobody, żywości, wesołości z wiekiem lat tyłu; któreby nakoniec przy tak szczupłych

środkach umiały robić tyle dobrego i tak ochoczo. Dopełniają matkę jej dzieci. Cztery córki mieszkające z nią, są podobne jej sercem i godne jej. Co do mnie osobiście, jak matka ich zastępuje mi moją matkę, tak one za siostry mi służą; kocham je też jak moje siostry; a całą rodzinę, cały dóm, jak własną rodzinę, jak dom własny.

ZAMIAR PODRÓŻY DO TATRÓW.

8 Kwietnia 1832.

Jedną z korzyści mojego położenia obecnego jest ta, że będę miał sposobność zwiedzić Tatry. Starszy syn Pani T... mieszka pod Nowymtargiem, bardzo blisko Tatrów. Dobry dla mnie, jak matka jego, ofiaruje mi ze swojej strony wszelkie ułatwienia do tej podróży. W tych dniach ma tu przybyć i zabrać mnie z sobą. Jestem temu bardzo rad; niczego dziś bardziej nie pragnę. Dotychczas niemam wyobrażenia o górach; co o nich słyszę zaostrza tylko ciekawość, ale jej nie zaspakaja. Widzę czasem Tatry z miejsc wyższych tej okolicy, ale je widzieć o mil kilkanaście, słyszeć o nich choćby najdokładniejszą powieść, nie jest to samo co postawić własną nogę wśród nich, zajrzeć im oko w oko. Jeszcze w dzieciństwie nasłuchiwałem się o nich tyle od mojego Ojca!

Dziwny pociąg rwał mię zawsze ku góróm, ku życiu w górach. W mojej szkolnej młodości niebyło

nic dla mnie przyjemniejszego, nic pożądanszego, jak wśród stepów ukraińskich napotkać lada skalę, drapać się po niej, przesiadywać na niej po całych godzinach, marzyć wielką część nocy marzeniem goralskiem. Nigdy nie zapomnę skalistych brzegów Tykicza; nigdy nie zapomnę jaskiń Zofjówki! Były mi one jakby szkołą goralskiego życia; tam zaprawiałem do gór i głowę i odwagę; tam myślą wtajemniczałem się w świat rzeczywiście górski. Były to mniej niż Pigmeje obok Tatrów, a ja wśród nich czułem się już innym. Nie tak nie wyzwalało, nie podnosiło mojej wyobraźni, jak choćby tylko myślenie o górach. Z niecierpliwością czekam dnia który mię skieruje ku Tatrom.

TARNÓW — WOJNICZ I OKOLICA.

10 Kwietnia 1832.

Lada dzień opuszczę Tarnowskie i zapewne na długo; nie spodziewam się równie, choćbym powrócił, przepędzić tutaj tyle czasu ile go już przepędziłem, dla tego te kilka słów o niem.

Miejsce to zowie się od dawna Tarnowskiem, dziś dla tego że jest częścią obwodu Tarnowskiego, czyli cyrkułu, dawniej, że stanowiło część majątności objętych ogólną nazwą hrabstwa Tarnowskiego. Tarnów był stolicą hrabstwa i główną włością sławniej kiedyś rodziny Tarnowskich; hrabstwo Tarnowskie przeszło różnemi kolejami do rodziny Sanguszków, w których ręku zostaje obecnie.

Tarnów należy do liczby porządniejszych miast w Galicyi, a celuje między miastami obwodowemi nawet w zachodniej Galicyi. Leży ono w położeniu korzystnym, bo na najgłówniejszym Galicyjskim gościńcu. Przepływa pod niem Biała, która też wkrótce

do Dunajcu wpada. Położony na lekkiej wyniosłości, Tarnów ma pozór dosyć wesoly. Oprócz urzędów i władz przywiązanych do każdego miasta obwodowego, jest tu jeszcze Biskup łańcki. Z resztą niema nic coby zasługiwało na szczególniejszą wzmiankę, oprócz Kościoła Katedralnego, gdzie jest kilka grobów mających wartość historyczną. Pod tym względem najlepszy opis Tarnowa wyszedł pracą Księdza Balickiego, proboszcza z Lisiiej góry.

Tarnów od góry Ś. Marcina ozdobiony jest pałacem Książąt Sanguszków, i dosyć obszernym ogrodem. Całe to miejsce zowie się Gumniska.

O mało nie ubliżyłem Tarnowu ważnem przepowinieniem. Tarnów jest ojczyzną i mieszkaniem głośnego tu wyrabiacza fajek drewnianych, Koplą. Jego fajki, zwane Koplówki, zasługują w istocie na głośność, jaką mają w sferze okolicznych fajczarzy. Zalecają się i materiałem wybornym, i robotą gustowną: w trwałości nie wyrówna im żadna inna fajka. Zapewniają mi o tem wiarogodni i właściwi sędziowie w tej rzeczy. Co do innych przymiotów, ja nawet mogę świadczyć, bo sam posiadam dwie Koplówki umyślnie dla mnie robione. To mi dało sposobność poznać szanownego Koplą: człowiek-to prosty, skromny, zdaje się nie wiedzieć jak jest sławny. Handel jego obszerny, bo co roku kilkaset fajek zamywiają do Wiednia.

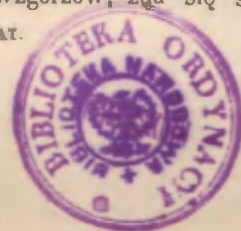
Na bliższe przypatrzenie się zastępuje okolica

Tarnowa, z wlaszcza jej część widziana z tej tu strony Dunajca, z doliny na której leży Wojnicz. Widok ten jest już w rodzaju wyższym od powszedniego; nade wszystko południowa jego strona, górzysta, objawia na pierwszy rzut oka że jest już rodziną Karpat: rodzina drobna wprawdzie i tak się ma do pnia swego jak my do naszych ojców przedpotopowych.

Okazałe garby, rozmaitego kształtu, ogromu i kierunku, to na wpół obwieszane lasami, to całkiem odziane ich czernią, to strojne smugami pól uprawnych, to obetkane gronami gęstych wiosek, poźłobione rozdołami tém głębszemi, tem urwistszemi im dalej ku Karpatom idą; obwiedzione u podnóża kobiercami łąk świeżych, i wstęgami potoków zmiennój barwy według chmurnego lub jasnego nieba, igrających podczas pogody jak sarna przyswojona, a przy pierwszym deszczu nabrzmiątych, wzburzonych, rzucających się jak zwierz rozjuszony, jednem słowem, nieuglaskanych, dzikich, jak łono przyrody która je poczyna, oto są pierwsze z tej strony wschody do gmacchu którego kopułą są Tatry a wieżami Łomnica i Krywań.

Płaszczyna która się od nich poczyna i rozwija ku Wiśle przez mil kilka, podnosi jednotonnością swoją rozmaitość podgórza, a odosobniona góra Ś. Marcina, panująca z jednej strony nad Tarnowem i jego niskimi polami, z drugiej nad drobniejszém pasmem pobliskich wzgórzów, zda się stać na straży

PODR. DO KARPAT.



podgórze, zda się być jednym z szeregu kopców odgraniczających dziedzinę gór od dolin.

Taki jest główny zarys okolicy, którą przecina gościńiec wiodący z Tarnowa ku Krakowu. Kierunek jego ze wschodu na zachód. Po lewej stronie panują wzgórza, prawą zalegają niziny. Droga, niska z początku, przechodzi pod Tarnowem kryty most na Białej, pomija brzezinę Koszycką, i podnosi się nieznacznie przez pół mili aż stanie na grzbiecie wzgórza wsi Zgłobic, skąd po raz pierwszy dają się widzieć podróżnemu Tatry, odległe stąd o mil kilkanaście, a tuż pod nogami biały Dunajec i z drugiej jego strony dolina Wojnicka.

Miasteczko Wojnicz leży przy tymże gościńcu o dwie mile od Tarnowa; małe a jeszcze mniej porządne, jak wszystkie niemal miasteczka galicyjskie, wszakże bardzo dawne i historyczne. Autor dzieła: *Żywoty ŚŚ-ch Polskich*, które mam właśnie pod ręką, utrzymuje w życiu Bolesława Śmiałego, że żony niewierne mężom których wojna ruska i rozpusta Kijowska trzymały zbyt długo za domem, obawiając się kar za przemieszanie małżeńskie, ogłoszonych i wymierzonych przez Króla, okopały się w tym miejscu ze swojemi kochankami i zacięcie broniły się przeciwko oblegającym je siłom; zwalczone je nakoniec, a Bolesław na pamiątkę tej niezwykłej wojny, założył miasto i Wojniczem je nazwał. Bądź co bądź, to pewna że miejsce to było warownią; ślady tego za-

chowują się dotąd w okopach niezwykłej wysokości na południe miasteczka, jak i w tem że była Kasztelania Wojnicka.

Podanie powyższe o walce żon z mężami może się więcej odnosić, i w rzeczy samej lud je odnosi, do odkopów które leżą o pół godziny drogi od Wojnicza ku Dunajcowi, na wierzchołku góry znacznie wyniesionej, która z tego powodu zowie się dziś we dług niektórych Babią górą, a powszechniej Panieńską. Później miał tam stać zamek, zbudowany przez Królową Bonę i dany Firlejowi. Nie byłem jeszcze na tym zamczysku, ale mi powiadano, że okopy są nierównie przestronniejsze i wyższe od Wojnickich.



SŁÓWKO O LUDZIE TARNOWSKIM.

15 Kwietnia 1832.

Mało bardzo mam sposobności zetknąć się bliżej z tutejszym ludem; stosunki moje z nim są bardzo ograniczone, wiadomości o nim zbyt ogólne, ale wyobrażenie prawdziwe.

Lud ten jest jedno z Krakowskim. Znać to na pierwszy rzut oka. Budowa ciała, rysy twarzy okazują tę jednoplemiennosc. Ten sam ubiór, tylko mniej strojny; ubóstwo widoczne. Błyska w nim także nieraz prawdziwa krakowska bystrość i żywość. Zarod na dnie duszy dobry, piękny; rzadkie przymioty w ukryciu, ale w ogólności rzadko objawia swoją poczciwą, dobrą stronę. Technienie jakiegoś zepsucia obcego jemu, straszliwie przeciągnęło nad nim i dotknęło głębokiem skażeniem słowiańską jego istotę. Sam dzisiaj nie wie czem jest, traci coraz więcej pamięć i wiedzę siebie, a kto to traci, temu trudno poznać się na swojej wartości moralnej i okazywać ją światu.

wówczas wady, namiętności wystawiają się za dobre przymioty.

Uczucie godności własnej cechujące Krakowiaka, w chłopie Tarnowskim przeradza się w oburzającą zuchwałość, szczególnie w stosunkach z miejscową szlachtą, z dziedzicami. Miłość chrześcijańska gaśnie w nim zupełnie pod uczeniem nienawiści. Lada spór wywołuje zemstę; nie wiele mu potrzeba aby ogień podłożył pod gumno swojego przeciwnika, co nazywa: zaświecić świeczkę komu — ale jest-że to w szlachetnym charakterze naszego ludu? nie jest-że to głębokim jego upadkiem? Nie lubię słuchać ich śpiewów; bo pod tym względem strona ta przypomina mi Ukrainę. Krakowiak śpiewa wiele, ale co za różnica w charakterze śpiewu! Tam cię śpiew rozrzewnia, podnosi, przywiązuje do ludu, a tu obraża, oburza, odstręcza. Nie znajdziesz w nim uczuć delikatnych, wyższych, jak w śpiewie ukraińskim, tylko w natchnieniu żółć lub rozpusta, w wyrażeniach cynizm obrzydły, tem smutniejszy że muzyka prawie zawsze skoczna, wesoła, że człowiek bawi się obrzydliwością, podoba sobie w niej. Znam prawda Kozaki podobnego ducha, ale wiadomo że one po największej części są własnością torbanistów, echem zepsucia dworskiego, nie są powszechne między ludem; Krakowiaki Tarnowian, są dziełem ludu i niepodobna żeby kiedyś nie odpokutował za to.

Smutny widok! Biedny lud! Tem biedniejszy że

ręki coby się ofiarowała z prawdziwej miłości pomódz mu, wejść napowrót w ten karb chrześcijański który sam jedynie jest uczciwością, oświatą, prawem najwyższem, a następnie szczęściem i zbawieniem ludu chrześcijańskiego. Uchowaj Boże! abym utrzymywał że ta czarna zasłona leży na całym ogóle tutejszego ludu; nie! są wyjątki i wsie całe i w każdej wsi pojedyncze osoby, którzy wiążą tę część z całością plemienia, obecność jego z przeszłością; są wierni odwiecznemu duchowi Słowiańskiemu, ale złe dla tego jest bardzo rozszerzone, bardzo widoczne.

Głównem zatrudnieniem i utrzymaniem mieszkańców tej okolicy, jest rolnictwo. Ziemia w ogólności urodzajna, a niektóre miejsca, zwłaszcza na równinie około Wojnicza, przybliżają się do najżyźniejszych pól Sandomierskich. Lud ten mógłby stanąć prędko w dobrym bycie, ale ma do tego wiele przeszkód zewnątrz i wewnątrz siebie. Najgłówniejsza wewnętrzna jest opieszałość, próżniactwo, a druga po niej skłonność do pijaństwa.

Co potrzeba im przyznać to wysoką zdolność do koni. Zręczność ich w prowadzeniu koni, w powożeniu, jest istotnie rzadka. W tym celują, są prawdziwymi Krakowiakami. Lubią konie i mają ich dosyć; to też furmanowanie i przewożenie towarów jest jedną z gałęzi ich zarobkowania.

Kobiety, jak w ogólności Krakowianki, są powabne żywością; są hoże a często niepospolicie ładne.

Ale ubóstwo znać w ich ubiorze jeszcze więcej, jak w ubiorze mężczyzn.

Rozwolnienie obyczajów mniej tu widoczne jak na Rusi; po wielkiej części stąd, że kobiety są zimniejsze, mają mniej czucia jak Rusinki. Zepsucie jednak i pod tym względem jest niemałe, a najwięcej przyczyniają się do tego wojskowi.

O Szlachcie tutejszej mniej jeszcze mam do powiedzenia jak o chłopach. I tu także zostało niewiele śladów dawnego dobrego, a nowonabyte niewiedzieć do czego podobne. Chciałbym powiedzieć o wszystkich co mógłbym powiedzieć o niektórych znanych mi bliżej, ale niemożę; bo albo ich wcale nie znam, albo znam z próbek bardzo niekorzystnych. Zdarzyło mi się kilka razy spotkać niektórych w obrzy w Tarnowie. Miny wprawdzie zawiesiste, hałasu wiele, ale we mnie, patrząc na to wszystko, obudzał się tylko żal wewnętrzny, myślałem sobie: mój Boże! niedość nam widać przysłowia: mądry po szkodzie, zarabiamy sobie na nowe: waleczny po bitwie.

Nadto, Tarnów zrobił sobie smutną głośność z szulerki. Prawda, że niedawno nazbięrali tyle laurów że mają na co grać i co przegrywać, ale i w tym powinna być pewna miara.

Tarnowskie słynie obfitością szlachty drobniejszej — nie zbywa jednak i na magnatach. Jednego wieczora tej zimy, aby się mróz przesilił, liczono

zamiast łysych, jak się to robi zwyczajnie, Hrabiów i Baronów w Tarnowskiem, i naliczyliśmy ich trzydziestu kilku na same Tarnowskie; kobiety ma się rozumieć i dzieci nie wchodziły w rachunek.

NA GÓRZE PANIEŃSKIEJ.

20 Kwietnia 1832.

Niebo pogodne, ziemia wyjaśniona; na odległych okolicach tylko mgła oddalenia; zgoła poranek rzadki w tej porze roku. Taki był poranek kiedy wstępowałem na górę Panięską. Wchodziłem od strony wschodniej, od Dunajca.

Płaszczyzna niska, zamknięta pasmami wzgórzów między którymi Dunajec się przerzyna, zdaje się być jego dziełem w czasach zapewne bardzo oddalonych, i można łatwo wierzyć powieściom, że kiedyś koryto tej rzeki ocierało się o podstawę Panięskiej góry. Sama góra podnosi się ze trzech stron od razu nad płaszczyznę, tylko od strony zachodniej przesmyk wyżyny spaja ją z pasmami innych wzgórzów rozbiegających się później w różne strony. Boki góry zasiane do pewnej wysokości krzakami jałowcu; gdzie nigdzie ustępy niekształtnych dolin, na jednej z nich w stronie wschodniej, bliżej szczytu niż spodu, źródło

najczystszej, najświeższej wody; od południa kilka chatek niemal ukrytych zupełnie w wyłobieniu doliny, a dopiero wyżej prostopadłe prawie ściany okopu który otacza szczyt góry. Okrążywszy północnym bokiem spód okopów, wszedłem na grzbiet góry stroną zachodnią i drożyną usypaną przez fosę, znalazłem się wśród wałów.

Pierwszy pokłon obecności która się rozwija w okolicy przyrodzie. Po wiele razy musiałem przeprowadzić oko po wszystkich stronach, aby go oswoić z przepychem ogółu i pojąć w takim tłumie szczegółów, na takiej przestrzeni.

Na południe miałem biały Dunajec; pręga jego rozjaśniona podnoszącem się słońcem, czysta i szeroka, wypłynąwszy z pomiędzy wyżyn które południową część widokresu zamykały, błąkała się okazale między górami; a w dwóch równoległych prawie rzędach, podnosiły się wzgórza z obu stron doliny i odbijały na skrętach pęd niesfornej wody, dopóki ta, znudzona bezskutecznem usiłowaniem, nie rzuci się na dolinę Wojnicką, na nieobejrzaną płaszczyznę, gdzie w swobodnym już biegu dochodzi aż do swojego połączenia się z Wisłą. Kilka wiosek, liczne załomy wzgórzów i pola tysiące wśród lasów, urozmaicały południową część krajobrazu; a dalej, daleko, nad wody, doliny i piętrzące się w kilka stopni wzgórz. panował widok Tatrów, jak korona okolicy, ukuta ze srebra śniegów i mrocznej barwy opok, które przez

odległość wydawały się mgłą w półprzejrzystego obłoku.

Zupełnie różny a nierównie rozleglejszy widok leżał od północy. Z tej strony oczy mordują się po płaszczyznach w całym znaczeniu tego wyrazu. Aby mieć jakiegokolwiek pojęcie tego obrazu, potrzeba sobie przedstawić powierzchnią kilkunasto-milowej równiny, której wyniosłości, jeżeli są jakie, nikną dla oka z punktu na którym stałem; powierzchnią ustrojoną najrozmaiciiej w drzewa, wody, pola, wsie, we wszystko co przyroda dzika i przyswojona, śmiejąca się i zachmurzona dostarczyć mogą.

Począwszy od Panińskiej góry, (w kierunku jednego tylko promienia z mego stanowiska) przy której stopach Wielka-wieś tuż leży, nieustannie rozwijają się oku idącemu naprzód, wieńce splecione z najrozmaitszych przedmiotów, coraz obszerniejszym łukiem. Bliżej, między rozległymi polami, między gromadą gęstych, obsadzonych sadami wiosek, uderza cię przyjemnie Wojnicz białym kościołem i gronem miejskich domów; dalej, jak gaj nadwodny, przytykają do Dunajca Mikołajowice; w dalszym jeszcze pasmie wiosek śnieżne płatki kościoła Wierchosławic i chat wiejskich; jeszcze dalej, na prawo i lewo puszcza Niepołomska, mury Radłowa zaledwo dojrzane, nadwiślańskie piaski, Dunajec rozpleciony w kilka smug jasnych; a za tem wszystkiem ciemna, mglista zasłona krain zawiślańskich, gór i borów

Świętokrzyskich. Przydaj do tego, po prawej i lewej twojej ręce, rząd wzgórzów to łysych, to wsiami osiadłych, to lasami najeżonych, z pierściami to zielonymi i okrągłymi, to ściętymi prostopadłe; przydaj Dunajec ozwierciadlający te wzgórza; przydaj most na Dunajcu; przydaj wielki gościniec przecinający podstopową dolinę, ożywiony snującym się ciągle rojem podróżnych i białych bryk kupieckich, a masz w głównych zarysach widok z Panińskiej góry.

Trudno schwyć ten widok, jeszcze trudniej te myśli, które się zbudziły w tej chwili, podniosły się rojem i zaćmiły mi wszystko. Widok, to miejsce podania na którym stoję, zbieg wypadków publicznych i osobistych mnie, przeszłość, obecność i przyszłość zmieszały się wichrem w mojej duszy. Bez wiedzy zrobiłem kilka kroków naprzód; trąciłem nogą krzak jałowcu, pierzchnęła spłoszona liszka — opamiętałem się, wzburzenie wewnętrzne cichło powoli przed chęcią znalezienia gniazdka jednej ptaszyny; przykląknęłam, zgmiotłem fiołek, obwionęła mnie woń jego, położyłem się przy nim: spadziście okopu była moją wezglowiem, białe kwiatki poziomek i błękitne pęki fiołków wieńczyły postanie z pierwszych wiosennych trawek; okrąg wału zamykał widokres kilkuset kroków; w górze tylko niebo z wędrownymi chmurkami, a na ziemi dokoła drobny gruz gmachów stawianych Bóg wie kiedy i jak wspaniałych; ocieniały je gdziegdzie krzaki jałowcu, osłaniały wieńce

trawy, tego najmilszego dziecka przyrody żyjącej, tej ostatniej, dziedziczki najokazalszych dzieł ludzkich, najwerniejszej przyjaciółki ich rozwalin.

Po jałowcu czasem wiatr gwiznął, za walem słabo pobrzękiwał dzwonek trzody rozsypanej po stoku góry; z dalsza i jeszcze słabiej dolatywał z doliny głos oracza za pługiem; a wszystko zlewało się w atmosferę woni i muzyki tajemniczej, złożonej z półciszy, z półbrzęku, jedynej muzyki godnej być melodią najgłębszych dumań samotnika.

Ośm wieków temu, pomyślałem sobie, jaki ruch, jaka wrzawa musiały klucić tę ciszę! Co za burza uczuć najstodszych i najokropniejszych grała tu przed ośmią wiekami! Z jednej strony męzowie zemstą rozjadli, z drugiej piękność, występna potrzebą kochania, wściekła rozpaczą. Iluż-to pieszczoł miłosnych, iluż-to scen morderczych to miejsce było świadkiem! Stękała ziemia wśród walki, kruszyły się mury, wytłoczona trawa krwią krzepła, powietrze wrzało głosami wściekłości, wyciem bólów, jękami śmierci: a dziś i ziemia i kamień i powietrze tak głęboko milczą! Żadnego śladu ani życia ani śmierci z owych czasów; żadnego śladu z owych czasów gdzie serc tyle tak pełnem było życiem; gdzie tłum taki w rajskim lub piekielnym uczuciu rozwijał moc duszy co mu jedną chwilę na wieczność obiecywała zamienić; temczasem wszystko przeminęło. Głęboka przeszłość zaległa wszystko jak puszcza nieprzejrzana, nieuchodzona, niezbadana

na; tylko ty, poświęcona góro! przetrwałaś i trwać będziesz nieporuszona jak pomnik zdarzenia policzzonego dziś do wieści współbajecznych, odnawiając z każdym nowym pokoleniem, wianek podania niezwiędły na twójem czole! Tylko ty ziemio! jesteś wieczną dziejów człowieka świątynią!.. Jakaż czią religijną powinniśmy cię otaczać!..

Marzenia moje coraz się bardziej zasepiały, a kiedy je chciałem rozjaśnić rzutem oka na okolicę, dzień wiosenny zmienił się, niebo pogodne przed chwilą okryło się chmurami, mgła gruba załata dolinę i zasłoniła przed okiem najbliższe nawet przedmioty. Rad nierad musiałem zejść ku domowi, zerwawszy kilka fiołków na pamiątkę odwiedzin Panieńskiej góry i wzruszeń jakich na niej doznałem.

ŚMIGUS. — DIABEŁ JSKRZYCKI — POWIEŚĆ.

23 Kwietnia 1832.

Dzień dzisiejszy, drugi wielkonocnego Święta, obchodzą tu zabawą zwaną Śmigus, znajomą na Ukrainie a podobno i w innych częściach naszego kraju: jest to oblewanie się wodą chłodną przez dziewczęta, dziewcząt przez chłopców. Najpodobniejsza do prawdy, że tym sposobem przechowuje się pamiątka pierwszego chrztu Polaków, który właśnie około tego czasu (w Marcu) miał miejsce za Mieczysława I. Coby znać nazwisko Śmigus, niemożę się dowiedzieć.

W tym dniu są także maski. Widziałem je bo przyszły do dworu. Jeden parobek przebrany był za niedźwiedzia, drugi za Cygana, i wyprawiali sztuki jakie u nas często widzieć dają Cygani wędrujący z niedźwiedziami; poczem prosili przytomnych o śmigus, to jest o pieniądze na wódkę.

Żaliłem się już na trudność zbliżenia się do tego ludu, stąd mój zapas głębszej jego znajomości jest bardzo szczupły; udzielam jednak i tę trochę co mi się dotąd udało schwycić.

Lud ten ma także właściwe sobie życie umysłowe: swoją poezję, swoją muzykę; spólną z resztą Krakowiaków; ma równie tajemniczą stronę wiedzy, i pełno mniemań, wierzeń, zabobonów, a następnie powiastek które stąd płyną.

Nie jest on wolny od czarownic. Niedawno, na Zawodziu, folwarku należącym do wsi Szczepanowic, a w pobliżu Wojnicza, czarownica zasiała jeden zagon solą a drugi pieprzem i sprowadziła przez to nawalny grad, który zrobił wiele szkody w okolicy.

Wieśniacy tutejsi mają pewien rodzaj poszanowania dla węzów. Zdarza się nieraz że w czasie żniwnym, chłop składając snopy na wóz, wytrzęsę z nich węża, tego węża za nic zabić nie pozwoli; pewny jest że zabicie ściągęłoby na jego gospodarstwo niebłogosławieństwo Boże. Sądzę że ta cześć jest jeszcze zabytkiem dawnej religii Sławiańskiej, gdzie już nie w tém tylko jednym przebłyskiwała ta miłość bratnia dla stworzenia, którą Twórca Chrześcijaństwa podniósł nad wszystko, jako źródło cnot wszystkich.

Z powiastek gminnych umieszczam jedną, która mi się bardzo podobała.

Pewien Pan, z okolic Tarnowa, potrzebował Ekonoma. Kiedy się tém kłopoce, przychodzi człowiek nieznamy, powiada że się zowie Iskrzycki i że szuka miejsca. Właśnie takiego było potrzeba; staje więc umowa bez trudu; a nawet podpisuje się kontrakt.

Już go Pan wręcza Iskrzyckiemu, kiedy postrzega że jego przyszły Ekonom ma pazury wcale nieludzkie. Zmieszany zrazu, wahający się przez chwilę co począć, zbiera w końcu siły i zrywa całą umowę. Ale Iskrzycki ani chce słuchać, obstaje przy umowie, przysięga że raz podpisawszy kontrakt, musi pełnić do czego się zobowiązał, póki nie wysłuży czasu umówionego, poczem wychodzi i znika z oczu. Ale obiera sobie mieszkanie w jednym z pieców domu, i stamtąd pełni swoją służbę jak najgorliwiej na każde zawołanie, tylko że go nikt nie widzi. Państwo z początku bali się, powoli tak przywykli do Iskrzyckiego, tak się przekonali o jego przychylności, że wyjeżdżając z domu, oddawali mu dzieci swoje w dozór. Ale sąsiedzi oburzali się na to posługiwanie się diabłem i głośno szemrali; zaniepokoiły te mowy najbardziej samą Panię, zaczęła ona ze swojej strony kłopotać męża; po długim wreszcie nastawianiu wymogła na nim, ażeby na jakiś czas opuścić to mieszkanie. Wskutku tego postanowienia wzięto dzierżawę gdzieś za Wisłą i wyruszono ku niej. Otoż są już w podróży, radzi że diabła sztuką podeszli. Niestety wypadło przebywać drogę tak złą w jednym miejscu, że się powóz przechylił a Pani w przestkach krzyknęła, aż tu odzywa się za powozem: nie bój się Pani! Iskrzycki z wami. Państwo zdumieni się a razem poznali, że niebyło sposobu uwolnić się od sługi tyle wiernego, zawrócili więc do domu i żyli z

nim w dawnej zgodzie, dopóki nie nadszedł termin oznaczony kontraktem. Po tym czasie Iskrzycki opuścił dom na zawsze.

Inne podanie jest w duchu czystej religijnem. Stało się to przed dawnymi laty, we wsi Głębokiej, w obwodzie Jasielskim. Pewien chłop chciał sobie podjąć przed nabożeństwem, a był to dzień święty Bożego Ciała, bierze więc chleb, który według zwyczaju naszego ludu leży zawsze na stole nakrytym i zaczyna krajać; zaledwo odkroił, postrzeżga że tak część odkrojona jak i cały chleb zamieniły się w kamień. Chleb ten przechowują dotąd potomkowie tego chłopca jako pamiątkę religijną i przepis dotykający aby dzień święty święcić.

W tych czasach zaszło tu zdarzenie, w którym dla wielu znajdzie się ciekawa nowość. Rozeszła się wieść że Rząd ma wybrać pewną liczbę dziewczek i wyprawić je do Ameryki do jakichś osad. Wieść ta znalazła powszechną prawie wiarę i nawet strwożyła ludność wiejską. Cóż się w końcu pokazało? Oto że ją puścili spizownicy, którzy w jednej z tutejszych okolic dzwon wylewali, w tym rozumieniu: że dzwon będzie tym głośniejszy im lepiej rozejdzie się wieść fałszywa, puszczonego podczas jego lania.

Lud Tarnowski ma jeszcze swoje przepowiednie pogody lub niepogody. Między innymi pewny jest suchego lata, kiedy deszcz pada na Ś. Wojciech.

DROGA DO NOWEGOTARGU.

LUSŁAWICE. — ZAKLICZYN.

28 Kwietnia 1832.

Puszczam się na koniec ku Tatom. Za dni dwa ujrę je z bliska, będę już jakby między niemi. Wielka to dla mnie radość!

Pożegnanie w Mikołajowicach było długie, wyjechaliśmy późno; nadto ciągle deszcz pada, drogi rozmokły; niedaleko dziś zajdziemy. Ale trzeba raz wyjechać, — wyjeżdżamy. Przebywamy Wojnicz, okrążamy Panienską górę, przewoziemy się u jej stóp przez Dunajec, pomijamy wieś Janowice, jesteśmy w Lusławicach. Tu zatrzymam przynajmniej uwagę.

Lusławice, wioska dziś niewielka, miała być znaczną osadą przed laty. Święcki w opisie starożytnej Polski powiada, że miejsce to było jakiś czas stolicą Aryanów i liczyło do trzystu rodzin Aryańskich.

Aryanie mieli tu swoje szkoły i drukarnią. W Lusławicach umarł i pogrzebiony jest sławny Socyn, twórca sekty Socynianów. Dotąd lud miejscowy pokazuje wysoką jego mogiłę, porośłą dzisiaj ogromnymi drzewami.

Zmierzchało się już kiedyśmy opuszczali Lusławice i znaleźli się w Zakliczynie, który dotyka prawie Lusławic. Niepędzeni niczém a moczeni deszczem, umyśliliśmy przenocować w Zakliczynie, zrobiwszy dzisiaj dwie lekkie mile drogi.

Zakliczyn jest podobno miasteczkiem. To pewna że pełny błota niepospolicie głębokiego, przynajmniej dzisiaj. Niemożna mu tego mieć za złe, bo leży na niskiej płaszczynie i rozszony jest mnóstwem strumyków czy rynsztoków — niewiem dobrze. Słynie także szewstwem, mniej jak dawniej ale zawsze słynie: było ono głównem zatrudnieniem, jak i dziś jest, mieszkańców Zakliczyna; tylko że dawniej była większa ludność. Powiadają że w owych czasach, Zakliczyn zaopatrywał skórą i obówiei najdalsze strony Galicyi. Główne jarmarki tutejszych szewców były w Brzesku, do którego ztąd przez góry za Dunajcem przeprowiać się trzeba: pośpiech z jakim zdążali do owego miasteczka leżącego ztąd o mil cztery, miał zrodzić przysłowie: spieszy się jak szewc z Zakliczyna. Upodobanie w tém rzemiośle zachowuje się dotąd między mieszkańcami Zakliczyna: według niektórych ma tu być do 400 rodzin trudniących się

szewstwem, ale sędzę że ta liczba jest przesadzona, zważając obszerność Zakliczyna.

Okolica jego niczém się nie odznacza. Dopiero przeciwny brzeg Dunajca daje mu piękny widok wyniosłem swoim położeniem, a nadewszystko gruzami po sławnym Zamku Melsztyńskim. Śród deszczu i zmięzchu zajrzałem go dzisiaj z naszej drogi.

BRUŚNIK. — PALEŚNICA. — SĄCZ NOWY I
STARY. — KASPEREK.

29 Kwietnia.

Dzień pogodny i wcale ładny. Ale nim rozpocznę dalszy opis drogi naszej prostej, powiem słów kilka z powodu wsi Bruśnika, gdzieśmy dziś na chwil kilka zbczyli. Leży on o trzy mile na wschód Lusławic. Oto jest co mi jego właściciel opowiadał: zapisuję tę powieść dla jej związku z dziejami Aryanów.

Na polach Bruśnika znajduje się pieczara znacznej długości. Służyła ona Aryanom, podczas ich prześladowania w Polsce, do tajemnych schadzek. Wchód jej zawalony dziś kamieniami, ale przed laty kilkunastą można było jeszcze zwiedzać jej wnętrze. Ma ono być starannie urządzone sztuką ludzką; schody były wygodne i nienaruszone. Dziś mniemanie ludu złożyło w niej niezmierne skarby, których czarci strzegą. Na dowód że tak jest, przywodzą powieść o kulawym ślósarzu z Bruśnika, który niedawno zmarł. Dowiedział się on, niewiadomo jakim sposobem, że

czarci w pewne święta rozchodzą się na jutrznie i zostawiają pieczarę bez żadnej straży. Korzystając z tego a pragnąc pieniędzy, udał się do pieczary w porze przyjaznej, znalazł w samej rzeczy jak żądał, nabrał pieniędzy ile mu się podobało, i szczęśliwie wrócił do domu. Ta wyprawa zachęciła do drugiej i więcej. Zawsze mu się udawało. Raz, chciwszy nad zwyczaj, zabawił się rabunkiem dłużej niż wypadało, w tém czarci nadbiegają i łapią go na gorącym uczynku: nie dał się schwytac to prawda, uspieszył wymknąć się za drzwi, ale kiedy dla większego bezpieczeństwa chciał je zamknąć za sobą, zatrzasł z takim pośpiechem że mu piętę ucięły; od czego do śmierci już chromał.

Teraz wracam do naszej podróży.

Od Zakliczyna po pod klasztor Bernardynów, zwraca się droga na wieś Paleśnicę, między wysokie wzgórza. Ta część drogi nie jest przyjemna. Głęboki wąwóz, koryto potoku Paleśnicy, które trzeba kilkadziesiąt razy przekroczyć, wzgórza po obu stronach jednotonne i niebujnym lasem porośłe, wieś Paleśnica długa, nieporządna, oto są przedmioty całomilowej podróży. Ale jest to droga jak każda wiodąca do miejsc błogostawionych. Zaledwo bowiem opuści się Paleśnica, wnet wjeżdżasz na szeroki, bity gościniec pomiędzy pięknym jądłowym lasem. Nie zdejmuje on z ciebie trudów od razu, bo idzie przykro i długo pod górę, ale za to wyprowadza cię na szczyt Posadowej, skąd

ci okazuje na ogromnej przestrzeni, najwdzięczniejszy kraj, i wygodnym szlakiem spuszcza się ku niemu.

Tu się już zaczynają położenia nacechowane urokiem, który górom tylko jest właściwy. Rozległe lasy z drzew wszelkiego rodzaju, pomiędzy niemi przeglądające gdzie niegdzie skały; wzgórza, tu położyste i jakby splecione jedne z drugimi, tam wznoszące się pojedynczo i stromo jak piramidy, towarzyszą podróżnemu aż na równie, gdzie go znowu wita Dunajec pożegnany przy Melsztynie. Ulubione to dziecię Tatrów już nieprędko spuści nas z oka.

Wkrótce mijamy miasteczko Zbyszycze. Jeczce para przykrych długich gór i oto widzimy się nad rozległą, śliczną doliną Sandecką. Trzy rzeki ją przepłata: Dunajec, Poprad i Kamienica. Pośrodku doliny, osadzony w zbiegu tych rzek, Nowy-Sącz, błyszczy niemi jak wieniec rozpuszczonemi wstęgami... Chciałbym opisać tę dolinę — ale w tej chwili jest to nad moje siły.

Niepodobna wyliczyć wiosek co ją zaludniają; niepodobna ująć w wyrazy uroczego, tysiąc-kształtnego poplecienia dolin, gór, lasów, które składają czardziejski jej okręg. Od południa mianowicie wzgórza utworzyły majestatyczną budowę. Rosną one stopniami do kilku piąter, a każde krocie stópliczy; a każde piątro, a każdy parów, zdaje się wabić do siebie: • macie tu drabinę z pól, z lasów, macie tu niskie, tajemne uliczki; temi uliczkami, po tej drabinie, do nich, do

Tatrów! — One tak wzywają, a Tatry szczyt ich szczytów, zasłaniają się chmurami i odsłaniają, jak owe w dawnych wiekach czarodziejki, igrające ze swojemi kochankami. Pod takim urokiem przebiegłem dolinę i doścignąłem Nowego-Sącza.

To miasto, stolica dzisiaj obwodu tegoż nazwiska, leży na wysokim brzegu Dunajca, oblane z drugiej strony Kamienicą. Dawniej otoczone było murem i okopem, których ślady dotąd jeszcze trwają. Zamek od Szwedów nadburzony, wali się częściami w podrywający jego posadę Dunajec. Nowy Sącz można liczyć jeżeli nie do największych, to do najporządniejszych miast w Galicyi.

O milę od niego leży Stary-Sącz, starém miastem tu zwany. Droga między niemi równa i wybor-na. Na ścianach Lazaretu wojskowego który stoi blisko Popradu, oznaczono wysokość do jakiej pamięt-na powódź 1813 roku, zalewała tę dolinę.

Stare miasto słynie Klasztorem Panien Franciszkanek, założonym od żony Bolesława Wstydliwego, Świętej Kunegundy, gdzie też Księżna ta przepędziła ostatnie lata swojego życia i umarła. Zakonnice chowają dotąd jej zasłonę i obraz przed którym się modlić zwykła była. Wczasie odpustów rozdają nabożnym po kawałku z tej zasłony, ale skutkiem cudu nigdy zasłony nie ubywa; obraz ma tę własność, że odzież otarta on, niszczy choroby i zabezpiecza od nich.

Między ludem tutejszym przechowuje się piękna powieść o Kasperku. Kasperek był jednym z mieszczan i kupców Starego Sącza. Pewnego razu kupił on na Węgrach wino, ale Węgier przez omyłkę między beczkami wina, wydał mu beczkę z pieniędzmi. Poznawszy omyłkę, żądał od Kasperka zwrotu tej beczki, Kasperek się zaparł: Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysiągł tą rotą: jeżeli nie mówię prawdy, niech mię nie przyjmie po śmierci ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani piekło, ani niebo. Wkrótce umarł, ale nie było sposobu go pochować: zakopany w ziemię, nazajutrz leżał na wierzchu; wrzucany w ogień, nie gorzał; zatopiony, wypływał na brzeg; a zarazem włóczył się przez całe noce na białym koniu po ulicach miasta: nikomu nic złego nie robił, był nawet tak powolny że przez okno zazierał kiedy go zawołano po imieniu, tylko wiecznie milczał. Dopiero pewnej czarownicy udało się go zwabić i zaspokoić pogrzebem nowego rodzaju, oto powiesiła go na włosku; w tej więc postawie usechłszy i w proch się rozsypawszy, zakończył swoją nocną jazdę.

JAZOWSKO. — ŁĄCKO. — POGRANICZE GÓRALI
BIAŁYCH I CZARNYCH. — KROŚCIENKO. —
PIENINY. — CZORSZTYN.

30 Kwietnia 1832.

Przez dobrą jeszcze miłą, jedzie się ze Starego Sącza doliną Sandecką, pomiędzy osadami niemieckimi, po drodze wygodnej; tam dopiero przeprawa przez Dunajec rozdziela z żyznymi Sandeckimi polami i widokami równin, a wieś Jazowsko jest już jednym z punktów tej linii, która oddziela siedziby właściwych górali od mieszkańców płaszczyn; mieszkańcy też z za Jazowska zowią cały kraj aż po tę linię. Polską. I w rzeczy samej od Jazowska wszystko się zmienia: inna postać ziemi, inny lud pod wszelkim względem. Dolina zwęża się w kręty, ciasny wąwóz, wzgórza coraz wyższe i przykrzejsze; bukowe lasy przemagają: owies najgłówniejszym przedmiotem rolnictwa; ów Dunajec jasny, poważny dotąd.

zaczyna się pienić, szumieć po dnie płytkiem i kamienistém, jest ciągłym wodospadem, tém bystrzejszym, im bardziej zbliżamy się ku jego początkowi; ogromne krągłe kamienie, które coroczna powódź nanosi i wyrzuca, zalegają jego brzegi.

Droga też nie bardzo wygodna, jakkolwiek nie szcędzą starań około dobrego jej utrzymania: od samego Jazowska idzie ona wciąż nad Dunajcem, to zbiegając ku niemu, to pnać się wyżej i coraz wyżej, wzdłuż prostopadłych prawie uboczy, które w języku góralskim zowią się **OBŁAZY**. W Łacku jeszcze raz podróżny odpoczywa na miłym ustępie obszernej dosyć równiny, ale tam przygotować się potrzeba do trzechmilenowej podróży po górach i głębiach na przemian; przeprawę tę, możnaby porównać z kołysaniem się okrętu na wzburzonym morzu. Mimo to miłośnik przyrody niemoże tu doznać nudów i mimowolnie zapomina przykrości niewygodnej jazdy. Wieczny szum Dunajca bielącego się pianami w zielonawém korycie, podniebne z każdej strony wzgórze, ruzpuszczające aż do stóp san. y h płaszcze z lasów po największej części brzozowych i bukowych; przepaściste ich szpary, z kąd biją głośnie potoki, nagie ogromy głazów wychylające się z zieleni polan i borów, albo siedzące tuż przy drodze z pochylonemi nad nią głowami; siedziby goralów, to długim rzędem pilnujące rodzinnej wody, to pojedynczo ukryte i ledwo dojrzane w gęstym lesie, pod wytoczoną górą, na swojej dolinie,

przy swoim potoczku, wiążą się co krok, co skręt drogi, dla urozmaicenia widoku podróznego.

Przydajmy przewiew górskiego powietrza, rozproszone do koła trzody, donośne ich dzwonki, śpiewy i flety pasterskie, górala snującego się lekko po miejscach ledwo przystępnych i dojrzanych, w jego kuszej guni, w kapelusiku okrągłym, ozdobionym świeżą gałązką; a doznane wrażenie będzie snem przepowiednim uczuć, które niebawnie w całej zupełności się rozwina. W takiej okolicy leżą Kamienica, Ochotnica i Tylmanowa, zamieszkane przez górali zwanych się białymi, dla różnicy od górali czarnych, którzy się gnieźdzą w głębszych już górach.

Dzień pogodny dogrzewał, ale między górami przeciągał wiatr ostry; śniegi nocne leżały na wznioślejszych szczytach; dolna połowa zieleniła się trawą i pękającymi drzewy, wyższą rumieniły płożące buki; nagle ukazało się Krościenko. — Mała dolinka, jak żeby góry tyle tylko się rozstały, aby zrobić miejsce tej osadzie, rozwija się przed nią. Olbrzymie Pieniny ze skał poprzerałych lasami, nagle się podniosły, a ściśnione domy Krościenka i kościółek jego o czarnym dachu, przyparte do podnóża Pienin, wydawały się, jak dzieło malarskiego pędzla, na zielonem tle lasów. Dunajec wychodzi tu od południa i oblewa zachodnią stronę Pienin i Krościenka. Pasma nagich wzgórzów po tamtej stronie Dunajca, obfituje w kwaśne mineralne źródła. Szczawnice, o milę stąd odległe

zdawna już słyną; źródło wody Krościańskiej zaczyna być dopiero uczęszczane. Do przeciwnej strony Pienin przytyka granica Węgierska, łożem Dunajca odkreślona.

Pieniny są najwyższe w paśmie przedgórnem Tatrów; ozdabia je nadto urok spomnień dziejowych. Na ich to warownym szczycie wznosił się ów zamek, w gruzy dzisiaj zamieniony, gdzie Bolesław Wstydlivy z Kunegundą znaleźli schronienie przed Tatarami. W ich skałach pokazują dotąd pieczary, długie do 200 stóp, które miały należeć do zamku, i stanowić część podziemnej jego wycieczki.

Z Krościenka skręca się droga na zachód: do Czorsztyna tylko mila, a Czorsztyn strzeże wstępu do Nowotarskiej doliny.

Kto zbliżał się do miejsc, do istot najmilszych sobie, ten pojmie mój słodki niepokój, moją radość, że niebawnie ujrzę główny cel mojej podróży, owe Tatry! . . . ale co nieprzyjemności przytém: droga jak na przekor najgorsza w świecie, w połowie kamieniste koryto potoku zupełnie jak przez Poleńnicę, drugie pół wciąż pod górę — nie wytrzymałem, zdrzynałem się. Zbudziło mię trącenie towarzysza podróży: podnoszę rozdrzymane oczy, zwracam je za jego palcem, « otóż i Tatry! » rzekł. — Tatry! zawołałem, w dziecinném uniesieniu, w zdumieniu, w radości, Bóg wie w jakich uczuciach. Byłem już na wysokości zamku Czorsztyńskiego, i w rzeczy samej miałem

Tatry przed sobą w całej ich okazałości. Chociaż między mną a niemi, leżał rzadki las świerkowy, ujrzałem je przecię wyraźnie, i nigdy nie zapomnę tego pierwszego ich zjawienia się, nigdy już może później nie widziałem ich takimi: zgasło też przy tém wrażeniu wszystko co doświadczałem na ich widok z miejsc oddaleńszych. Rażąca białosc śniegu, pokratowana w rozliczne wzory ciemnymi pręgami opok, pokrywała cały ten ogrom; nadzachodnie słońce cieniowało blado-rumianém światłem . . . nie śmiem kończyć obrazu . . . Gdybym powiedział, że Tatry objawiły mi się w olbrzymiem, nieobejrzaném widzeniu za obłokiem bengalskiego ognia, żem zajrzał w zwierciadło najczystszej nieba, i to jeszcze byłoby niedostateczne: tak uroczy był błękit odziewający Tatry, taki był ich widok przez siatkę świerkowego lasu. I niecały jeszcze ogrom widziałem; znaczną jego część zastaniały leżące na drodze wzroku węgierskie przedgórza.

Powóz témczasem szybko się toczył, las gęstniał, droga spuszczała się w dolinę; mój widok zakrył się górami bliższymi, przeminął jak sen, ale wiem, że go odzyskam w dolinie, pragnę jak najrychlej znaleźć się w dolinie. Témczasem droga okrąża, niby z uszanowaniem, szczyt uwieńczony gruzami Czorsztyna, zbiega nad Dunajec, skręca się przy Dunajcu na zachód. Jestem wreszcie na dolinie Nowotarskiej. Tatrów jeszcze nie widać; zastania je szereg skał, któ-

re jak mur samorodny podnoszą się na przeciwnym brzegu Dunajca: przegroda urocza, ale w tej chwili nieznośna dla mnie. Pragnę ją przeminać, przemijam nakoniec, ale w tejże chwili chmury białe, olbrzymie przewalają się z wyższej Tatrów części, zapuszczają jakby zasłonę na cały ich ogrom, a mnie odejmują nawet nadzieję odzyskania go dzisiaj. Cóż robić?...

Szybko przebyliśmy Maniową, Charklową, wsie leżące na naszej drodze, i w godzinę stanęliśmy w Łopusznej, przed domem dziedzica tej wsi, a towarzysza mego w tej podróży.

TATRY

I

PODHALE.

OGÓLNY POGLĄD NA TATRY.

1 Maja 1832 z Łopusznej.

Dziś przecię miałem przed sobą Tatry w całej ich okazałości, w całym ogromie. Żaden obłoczek natrętny nie błąkał się po nich. — Deszcz całonocny obmył je znacznie ze śniegów; wyglądały jakby ete-rem oblane. Wybraliśmy do tego stanowisko wznio- słe, na jednej z gór nade wsią, zwaną Wielka góra. Napasłem do woli oko tym widokiem nowym dla mnie a okazalszym nad wszelki jaki sobie wyobrazić mogłem; przebiegałem w całej swobodzie ten zdumiewający łańcuch wysokości, od gór podpierających ogrom Łomnickiego szczytu, aż do miejsca gdzie się zniża i całkiem przerywa, nad rzeką Wagiem.

Tatry są częścią Karpat, częścią najzachodniejszą. Jest to grupa gór najpiękniejszych między górami Karpackimi przez swoją wzniosłość i dzikość. — Są one

wszystkie prawie w wyższej części obnażone, i pokryte lodami lub śniegami: tu znajdują się już lodowce alpejskim podobne. Leżą one na pograniczu Węgier i Galicji: linja graniczna, prowadzona rzeką Białką od jej zbiegu z Dunajcem, aż do wypływu z Morskiego Oka, okrąża Morskie Oko szczytami skał, później przecina je przez mil kilka w kierunku zachodnim, zwraca się potem na północ ku Babięj górze, i przeciąwszy jej wierzchołek, łamie się znowu na zachód. Przez owo odgraniczenie, ta część Galicji tworzy jakby odnogę otoczoną ze trzech stron Węgrami: jest ona całkiem w obwodzie Sandeckim, a ze strony Węgier przypierają do niej dawna ziemia Spiska i obwody czyli stolice Liptowska i Orawska.

Linja Tatrów, jak jest widziana z okolic Nowogotargu, ma kierunek od wschodu na zachód, ukośny cokolwiek ku północy od strony zachodu.

Nie śmiem oznaczyć ze ścisłością rozmiarów jej długości i szerokości; powiadano mi że długość może wynosić do piętnastu mil, a szerokość największa około sześciu mil.

Najwyższą częścią Tatrów jest strona ich wschodnia, jest ona zarazem i najdziksza na całej szerokości, aż do płaszczyzn na przeciwnej stronie węgierskiej. Górują nad wszystkimi szczytami Łomnica czyli Krępak, wyniesiony nad powierzchnią morza 8000 z górą stóp, i Krywań niższy od Łomnicy więcej niż o stóp 1000.

Oba te szczyty pokazywano mi dzisiaj, wszakże zdaniem innych, nie są one widziane z Galicji tylko ze wsi zwanęj Żab Suchy, przyległej Kościelisku. Wszakże na to zgadzają się wszyscy, że się przedstawiają najpiękniej i najokazalej patrzącemu od Kezmarku na Węgrzech, bo z tej strony podnoszą się od razu z płaszczyzny, bez żadnych prawie przedgórzów; z tamtej także strony jedynie można wejść na Łomnicę, wejście z innych stron niepodobne. Tamtą drogą Następca dzisiejszy tronu Cesarskiego w Austrii, doszedł do samego wierzchołka, na pamiątkę czego, postawiono krzyż na Łomnicy.

Oprócz tych dwóch szczytów, bielejących już wiecznym śniegiem i lodem, niepoliczona jest ilość szczytów mniejszych, między którymi znaczna liczba są lodowcami w całym znaczeniu tego wyrazu. Dostyc jest policzyć szczyty które tworzą grzebień Tatrów odrysowany na widokregu, a dopieroż niższe on nich z tej strony, albo leżące na ziemi od Węgier!

Piszę co mi powiadają albo o czem z pierwszego wejrzenia sam sądzić mogę. Może w tém nie ma ścisłej prawdy, ale mam przekonanie że niema także ważnego zboczenia od prawdy. Z resztą podaję tylko to co można mniej więcej sprawdzać samym wzrokiem.

Gewont, dzielący dolinę Zakopanego od Kościeliskiej, jest w łańcuchu przedniej straży Tatrów, ostatnią z owych szczytów wyższych i nagich, odznacza-

jących wschodnią ich połowę; jest punktem granicznym od którego zaczyna się połowa druga, zachodnia. Szczyty tego szeregu są już coraz niższe aż do Wagu. Przebijają się jeszcze i tutaj nagie i śnieżne wierzchołki, ale tłem całości jest już barwa życia, wdzięk życia. Zaokrąglenia gór łagodniejsze, lasy świeże lub trawy bujne, przestronniejsze doliny, cichsze wody, umiarkowane powietrze. Tatry, uważane w tych dwóch połowicach, wydają mi się małżeńską parą, gdzie jedno obdarzone jest okazałością, siłą, niszczącą mocą, przymiotami dzikiego męża, a drugie jest niewiastą rodną, z całą jej łagodnością i ujmującym wdziękiem. Geografia miejscowa nadaje nawet nazwisko Matry tym górcom; co może nie jest tak dowolne i nowe jakby się zdawało, skoro zważemy, że przed wiekami nazywano tu miejsce tak zwanym Babim górcom.

Dalsze przeciągnięcie tego łańcucha pograniczem Węgier i Moraw ku Austrii, zowią tu Fatrami. Nie widziałem ich dzisiaj z miejsca z którego oglądałem Tatry.

Patrząc na Tatry tak rozłożone przedemną, przeskakiwałem myślą ową przestrzeń kilkamilową, która mię od nich dzieliła, i widziałem jakbym był cały na miejscu: te szczyty tak ostre że ledwo się na nich spojrzenie zaczepi, to są milowe moze płaszczyzny; te garby rozsiadane są najeżone krociami skał ostrych, niedostępnych; te ciemne pręgi w różnych kierunkach jak żyłki marmuru, to są wielomilowe doliny, wąwozy,

rozłoly, niezgłębione parowy, przepaście, do których dalekie tylko spojrzenie dolecieć może; a między nimi świat spojrzeniu nawet niedostępny, myśli ludzkiej nawet nieznany, świat osobny, różny od wszystkiego co wiemy, świat zimy, zgrozy, martwoty, zamknięty kołem trudów i niebezpieczeństw nad wszelkie siły udzkie, nad wszelką odwagę ludzką.

Nie tracę jednak nadziei dotknąć się bliżej tego wszystkiego; ale to tak prędko nastąpić nie może. Od połowy września, a nawet wcześniej, do większej połowy czerwca, głębia Tatrów zasypana jest takimi śniegami, obwarowana powietrzem tak zimnym, że najzapalniejszy kochanek przyrody z całą swoją odwagą i wytrwałością, musiałby się od nich cofnąć, albo co chwila zagrożony jest śmiercią w otchłani śniegu pod lawinami, albo w objęciach mrozu. A tymczasem do koła mnie rozwija się pełna wiosna; ciepło coraz mocniej dogrzewa. Do koła pogoda, zieloność, kwiaty, szum wody swobodnej; u samego nawet podnóża lodowców ciemnieją wzgórza umajone puszciami świerków i zielonemi polanami. . . . Cóż stąd? Potrzeba czekać. Czekajmy!

PODHALE. — WIEŚ ŁOPUSZNA.

3 Maja 1832 r.

Ponieważ niemożemy pusić się dalej, obeznajmy się nasamprzód z tém, co nas najbliżej otacza.

Wieś Łopuszna leży na połowie prawie drogi między Czorsztynem i Nowymtargiem, nad brzegiem Dunajca; przebiega przez nią także potok tegoż co i wieś nazwiska.

Wieś dosyć wielka, skupiona częścią największą ku Dunajcowi. w części rozsypana pojedynczemi chatami po górach, które się natychmiast odewsi poczynają i rosną stopniami do niepospolitej wysokości. Góry te są na północ wsi i wchodzi do składu pasma, które osłania całą północną stronę Nowotarskiej doliny. Widok w tym kierunku zamknięty jest górami bliskimi i krótki w porównaniu do widoku na południe i zachód: na południe olbrzymie grono Tatrów, na zachód także góry o wiele razy odleglejsze niż Tatry, niższe od

nich, ale uwienzione wysokościami Babiej góry i Żywca.

Wieś Łopuszna jest własność obszerna; grunta jej w niektórych kierunkach rozciągają się do dwóch godzin drogi; w górnej części przesliczne lasy, odwieczne, pełne drzew wszelkiego rodzaju, mianowicie buków, jaworów i t. p. między lasami liczne polany; część dolna, płaszczyna naga, w części nieprzydatna na nic dla moczaru i torfów: a nawet miejsca uprawiane z wielkim trudem, skąpo wracają nakład uprawy; rolnictwo zatem jest tu rzeczą podrzędną, zysk z niego prawie żaden; najważniejszym jego przedmiotem owies i ziemniaki. To samo na całym Podhalu. Główny dochód dziedzica podobnej wioski jest wynajmowanie polan na wypas trzód i pędzenie wódki. Właściciel Łopusznej ma także gorzelnię. Mimo tych wszystkich niedogodności, mimo ziemi nieurodzajnej, pańszczyzny małej, czynszów także nie wielkich, mimo podatków najuciążliwszych, można przy dobrym zarządzie i roztropnej oszczędności, prowadzić życie wygodne a nawet składać kapitał. Moi gospodarstwo należą właśnie do tej liczby rządnych i dostatnich właścicieli. Życie domowe skromne, ale zaspakaja dostatecznie konieczne potrzeby człowieka: niema w niem zbytku, niema wykwinności, ale nie widzisz niedostatku, nie czujesz braku czegokolwiek.

Dom drewniany w stylu rodzinnym wszystkich naszych dworów szlacheckich; obszerny, porządnie

i mocno postawiony, przyozdobiony krytym gankiem, jak wszystkie nasze ganki, a na ganku poboczne ławki do siedzenia, jak to wszędzie u nas widzimy, mieści wygodnie całą rodzinę, która oprócz gospodarstwa, składa się z ojca samej pani T. . . żyjącego jeszcze, trojga dzieci i krewnej panny.

Przed domem dziedziniec przestronny, mający po lewej ręce domu drugi domek mniejszy, czyli oficynkę, gdzie kuchnia i mieszkanie służących, z prawej osłonięty budowlami gospodarskimi.

Dom ocieniają z przodu i boków piękne jesiony. W tyle domu ogród niewielki, ale dosyć starannie utrzymany; zdobi go nawet alea świerkowa bardzo cienista, bardzo miła do przechadzki, zwłaszcza podczas upału. Tuż pod ogrodem bieżąca woda, a nieco o podał, w jednym z kątów ogrodu, rodzaj altany ogrodowej, pozioma, niewielka, o jednym pokoiku i sionkach, ale ustronna, samotna, bardzo dla mnie ponętna. Patrzy ona jednem ze swoich okienek na północne góry i ma niepospolicie ładny widok, patrzy więc nań ciągle a razem słucha szumu niedalekiej wody, co się bystro przewala przez kamienie które ją chcą zatrzymać. Ta chatka mnie jest oddana, w niej odtąd moja główna kwatery. — Dziękuję moim gospodarzom; nie mogli mi w lepszy sposób okazać swojej dla mnie dobroci. Jestem z niej rad jak zdobywca z nowo-podbitego kraju, lepiej rad. — Dobrze mi w niej, dla tego daję jej miejsce w tych zapiskach.

Ale ją opuszczę na chwilę, aby powitać jeszcze jedną budowę, której niegodzi się pominąć; jest to tutejszy kościółek. Stoi on niedaleko dworu nad samym Dunajcem. Niepozorny, nie wielki, a należy do owych rzadkich pomników religijnych naszego kraju, które z powierzchowności gasną przy olbrzymach gotycyzmu, ale mieszczą w sobie więcej Ducha Śgo jak większa część owych podziwianych gmachów: jest to tajemnica architektoniczna naszego ludu chrześcijańskiego. Kościółek ten jest jeszcze jeden z owych kościołków modrzewiowych, które sięgają swoim wiekiem pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce. A że należy do tej rodziny, świadczy rok 1240, wyłobiony na jednej z jego belek. Ma on i organy; już je słyszałem.

Szkoda, że nie każdej niedzieli słyszeć je można, bo Łopuszna niema stałego proboszcza. A chciałbym częściej je słyszeć; tak błogie zrobiły na mnie wrażenie, tak rzewne, pośród nabożeństwa przy tym ołtarzu skromnym, gdzie przez tyle wieków powtarza się tajemnica boskiej ofiary, wśród tych ścian wątych a mocniejszych niż budowa niejednego narodu; w atmosferze modlącego się ducha tego ludu, który kolaniem swoim odnawia odwieczne ślady pobożności naddziadów swoich, i oddaje się Bogu, jak oni przed wiekami oddawali się w tym samym miejscu.

KONFEDERAT BARSKI.

8 Maja 1832 r.

Do pomników historycznych a rzadkich, które tu znalazłem, należy ojciec pani T... Jest to stary konfederat Barski, tak już rzadki w tych czasach. Bardzo też rad jestem z jego poznania; jestem tem radniejszy, że znalazłem w nim człowieka wyższego od innych z owego wieku. Posiada on dokładną znajomość kilku języków; ukształcenie jego jest niepospolite jak na szlachcica domatora, a jeszcze w takim zakącie jak Podhale; a nadewszystko uderza mię sąd zdrowy o rzeczach sfery wyższej, wytrawiony doświadczeniem długiego i nieprzespanego życia. Starzec ten ośmdziesięcioletni, wzrostu miernego, szczupły, zachowuje całą czerstwość władz umysłowych; siły ciała od roku zaczynają go już opuszczać, jeszcze rok temu po całych dniach nie zsiadał z konia, trudnił się gospodarstwem. Dziś pozostała mu nienaruszona siła wewnętrzna i słodycz rzadka w pożyciu. Przez wzgląd

na jego zdrowie, nie śmiem mu być natrętnym, wszakże i tak dowiedziałem się wiele ciekawego o przeszłości.

Miał lat szesnaście kiedy zbiegł tajemnie z domu rodziców, do obozu konfederatów, którzy właśnie w tych się stronach znajdowali. Nie długo wojował; ojciec go odszukał, wydobył, zawiózł do domu i wychłostał, wkrótce także rozwiązała się i konfederacja. Później wziął czynny udział w powstaniu Kościuszki. Po upadku powstania wrócił do domu i odtąd żył cały życiem prywatnem. Skłoniła go do tego najwięcej głęboka znajomość swoich współczesnych, nabyta w życiu czynnem. Odtąd przewidywał wypadek każdego ruchu i nigdy się nie omylił.

Między innemi opowiadał nam jeden przykład z powstania Kościuszki. Kościuszką był wówczas dyktatorem i odbywał przegląd swojego wojska. Zjechało się wiele szlachty z okolicy, jeden z nich postrzegł w szeregu powstańców poddanego ze swojej wsi, który tajemnie uciekł do wojska; bez żadnego względu na cokolwiek wyciąga go z szeregu, uderza kilka razy w twarz i każe natychmiast powrócić do wsi, gdzie mu jeszcze zapowiada chłostę za zbiegowstwo. Kościuszką, jakby tego nie widział, odwrócił się i odjechał w inną stronę.

Jeden taki przykład wiele objaśnia. Nasz stary konfederat widział tę rozkiełznaną niesforność w każ-

dym ruchu, i to go trzymało już w domu aż do śmierci.

Zachował on z pierwszej swojej wyprawy cały uniform. Wtedy po raz pierwszy widziałem mundur konfederata. Jest to kurta łosiowa z podpiętymi połamami, wyłogi są z amarantowej felpy.

Jako sąsiad Czorsztyna, znał ten zamek jeszcze zamieszkanym, żył z jego mieszkańcami i nieraz tam ucztował; — dziś patrzy na ruinę.

GÓRY ŁOPUSZAŃSKIE.

9 Maja 1832.

Przez te dni kilka obiegłem całą prawie okolice górną nad Łopuszną, poznałem się z bliższymi mnie przedmiotami.

Mniej mię zajmuje strona dolna, jest to płaszczyna, która w sobie samej niema nic nęcącego, oprócz widoku na Tatry. I tu jednak przechadzka jest miła, zwłaszcza ku granicy węgierskiej. Lubię chodzić w tym kierunku: jest tam kilka skał ogromnych, samotnych, rzuconych jakby dla przerwania jednotonności tych płaszczyn, takimi są: Kramnica nad Białką i Cisowa skała między wsiami Nową-Białą i Gronkowem.

Cisowa skała szczególnie zatrzymała moją uwagę. Sterczy ona wśród płaszczyny jak samotna wieża, naga w największej części, można jednak wejść aż na jej wierzchołek, który jest płaski i dosyć przestronny. Co szczególniejsza, że podobne skały znajdują się

wzdłuż całego pasma Tatrów, na równoległej prawie od nich linii i w niewielkiej odległości: tworzą one jakby łańcuch sztyldwachów przed górami. Skąły te są wapienne i znacznej wysokości. Staszyc o ile sobie przypominam, w swoim dziele o Ziemiorodztwie Karpatów, zastanawia się nad nimi; niepamiętam jakie daje zdanie.

Reszta płaszczyny z tej strony Nowegotargu, oprócz kilku sosnowych lub świerkowych borków, przedstawia pola nagie, częścią w rolach uprawnych, a częścią w odłogach jałowych, w bagnach, torfowiskach, zgoła przypomina nadmorskie płaszczyny zwane u francuzów LANDES, z jednym dodatkiem mnóstwa kamieni na całej powierzchni, tu przysłonionych nikłą murawą, ówdzie bez żadnej osłony coby łagodziła widok tej dzikości.

Całkiem inny kraj na północ wsi, w jej stronie górnej. Rolnik wprawdzie znajdzie tam jeszcze mniej jak na dolinie pola dla swojej pracy, ale życie roślinne samorodne jest bez porównania pełniejsze, silniejsze, wyższe: wszystko tam jest pastwiskiem lub lasem. Niektóre polany, zwłaszcza w położeniach niższych, i w sąsiedztwie wód, nie ustępują najładniejszym łąkom: taka bujność trawy i obfitość kwiatów. Co do lasów tutejszych, to tylko góry Karpackie mogą podobne wypielegnować; nieustępują one niezawodnie ani naszym borom poleskim ani nawet dziewiczym puszczołom Amerykańskim, jak je nam opisują: trzeba

cokolwiek zapuścić się w ich głębią, trzeba widzieć ogrom drzew, gęstwę zarośli, stopy warstw powalonych i porośniętych już nowymi lasami, aby sobie powiedzieć, że takie być muszą puszcze niezbadane dotąd, nie tknięte ani ręką ani nogą ludzką.

Znajdziesz to na mniejszą skalę, w mniejszym obrębie wśród lasów Łopusznej. Trafiłem nieraz na takie miejsca, że jest zupełnym niepodobieństwem przedrzeć się głębiej, przebić tę sieć żyjącą drzew, gałęzi, roślin, które ci zewsząd zastępują jak wał warowni. Oczyszczanie lasów jest tu niepodobne. Korzyść ze sprzedaży drzewa bardzo mała w porównaniu z wydatkiem koniecznym na taką pracę: spuszczenie drzewa odbywa się powszechnie nad wodami bieżącymi, na górach spadzistych, skąd drzewo zrąbane i oczyszczone z gałęzi samo ześlizgiwa się aż ku wodzie; gdzie niema tych warunków, tam sprowadzają drzewo jak najmniejszym trudem i kosztem, ze wzgórz bliższych, dostępniejszych, mających drogi dogodniejsze. A tymczasem w górach głębszych i trudniejszego przystępu, burze, ulewy, potoki, robaki, walą co roku drzewa na drzewa, warstwy na warstwy, z czego powstaje dziwna ruina, która służy i za warownię tym lasom, i za kolebkę późniejszym ich pokoleniom. Mam próbkę tej uprawy lasów przez samą rękę czasu, za pomocą żywiołów przyrodnych, w górach Łopusznej, które dotąd mogłem zwiedzić.

Góry Łopusznej składają się z licznych garbów

mniej ostrych, lub krągłych, lub płaskich, między któremi snują się doliny, parowy, wąwozy, mniej więcej głębokie, jedne bezwodne, inne ożywione potokami; przez nie tworzą się oddzielne wzgórza czyli szczyty, a każdy szczyt z własnym swoim nazwiskiem. — Między takimi szczytami w górach Łopusznej są znaczniejsze: Centyrz, Magóra, Wielka-góra, Turniska, Groń, Wyżnia, Ciaski, Kluczki i inne których nazwań niewiem. Ogół ich jako mający szczyty różnej wysokości, układa się w stopnie i tworzy niejako amfiteatr, którego częścią najdalej i najwyższą są Kluczki.

Różne są oblicza tych szczytów: niektóre dzikie nagiemi skałami jak np. Turniska, inne przeciwnie odkryte, wesołe, ożywione źródłem lub jeziorciem, jak np. Wyżnia. Ale podobne szczegóły na później. Tą razą chcę tylko zachować ogólny rys najbliższej mnie okolicy, jak mi się przedstawiła przy pierwszym poznaniu się.

WYCIECZKA DO ZAKOPANEGO I KOŚCIELISKA.

15 Maja 1832.

Ciekawość moja zaspokojona po części, a w największej części rozbudzona bardziej. Widziałem Zakopane i Kościelisko, zajrzałem w Tatry, ale w czasie tak nieprzyjawnym, tak dorywczo, że niemogę nawet powiedzieć abym już wszedł choć na ślad prawdziwego wyobrażenia o Tatrach. Zdaje mi się że byłem tylko w sieniach domu i wróciłem się z sieni.

Bądź co bądź jestem rad z tej dorywczej przejażdżki. Widziałem czegom dotąd nigdzie jeszcze nie widział. Widoki, piękności, wrażenia tego rodzaju były mi dotąd nieznanne. Jeżeli doznał zawodu, wina okoliczności: przepowiedzieli mi go znający niedojrzałość pory. Ale trudno było czekać. Jeden z moich najstarszych przyjaciół, mający przed sobą daleką i pilną podróż, raczył zboczyć z drogi z towarzyszem podróży dla odwiedzenia mię w moim podhalskim zakęcie. Świat goralski był mu równie jak mnie nie

znany: miał ciekawość jak ja, zajrzeć mu w oczy choć pod zasłonę. A więc zobaczymy przynajmniej Zakopane i Kościelisko, jedźmy! — i pojechaliśmy.

Zaczęliśmy od doliny zwaną Zakopane. Czas nam sprzyjał i czas nas pędził. Niegłęboko zapuszczaliśmy się, a cośmy obejrzeni to było jednym rzutem oka. Resztę czasu zabrał nam obiad i rozmowa z niektórymi urzędnikami znajdujących się tam hamerni. Wszystko to odbyło się pędem kilku godzin. W kilka dni opuściliśmy to miejsce. Ja wyniosłem z niego poznanie zacnego człowieka i notatkę w duszy losów Majora N... który tu wiele ucierpiał z tęsknoty porodzinnej i umarł. Nie żałuję dnia tak spędzonego w Zakopanem.

Dosyć już późno stanęliśmy w dolinie Kościeliskiej. Po ciemku wjeżdżaliśmy do niej; tego wieczora nic widzieć nie mogliśmy. Musieliśmy przestać na poznaniu karczmy miejscowej. Znaleźliśmy ją porządnie wymurowaną, ale oprócz tego nic albo mało co więcej.

Ranek nie polepszył naszego położenia, a zepsuł nam humor. pierwsze wejrzenia nasze padły na błoto po nocnym deszczu i na powietrze zasępienie mgłą, która się nie różniła od drobnego deszczu. Mimo to wyszliśmy na obejrzenie doliny i obeszliliśmy jej część najciekawszą. I tej jeszcze chwili nie żałuję. Mimo ścieżek rozmokłych, mimo mgły gęstej, ćmiącej najbliższe nawet przedmioty a leżącej na miej-

scach dalszych i na wyższej części gór otaczających dolinę, byliśmy nieraz wzruszeni, zadziwieni, upojeni, porwani urokiem miejsca, a którego niemogła zagasić sama niepogoda. Doszliśmy tak aż do jeziora zwanego Smerczyn Staw. Dalsza droga, w najpiękniejszym czasie niebardzo wygodna, stawiała obecnie nieprzyjemności na które nie wszyscy z nas narazić się chcieli. Na tem skończyliśmy dzisiaj naszą podróż do Tatrów.

Wróciwszy do karczmy, zostaliśmy zaproszeni przez miejscowego urzędnika na śniadanie. Tam się umysły nasze wyjaśniły. Dla obecności zapomnieliśmy o przeszłości. W gościnnym urzędniku znaleźliśmy miłego i uprzejmego człowieka, w jego żonie jeszcze miłszą kobietę a równie uprzejmą dla swoich gości. Pożegnaliśmy ich ze szczerą wdzięcznością za ich dobroć, a to nam pomogło pożegnać Kościelisko, bez żalu do kogo, lub czegokolwiek. Przyszło mi to łatwo, bo już na miejscu uknułem zamiar rychłego powrotu w te strony i miałem pewne przecucie, że mu nie przeszkodzi.

W miarę oddalania się od podnóża Tatrów, powietrze się wyjaśniało, słońce dogrzewało; wkrótce znaleźliśmy się wśród pięknej wiosny. Nie był to jednak skutek zmiany czasu, tylko zmiany miejsca: za nami ta sama chmura mgły leżała ciągle na Tatrach i dolinę w tej chwili może ulewny deszcz chłostał.

Po dwóch lub trzech godzinach jazdy, stanęliśmy

w Nowymtargu dla obiadu i pożegnania moich gości. Była to chwila jedna z najrzewniejszych dla mnie w moim tu pobycie. Rozstawałem się z najdawniejszym moim przyjacielem, abysmy wkrótce znaleźli się o kilkaset mil od siebie i Bóg wie na jak długo. — Z tē m rzewnē m uczuciem, nie bez łez zobopólnych, pożegnaliśmy się i w kilka minut byliśmy już na naszych drogach, — on ku zachodowi, a ja ku wschodowi.

Z WIELKIEJ GÓRY. — GÓRY TATRY. — DZIECI
GÓRALSKIE.

12 Maja 1832.

Całe Tatry białe od śniegu, który tej nocy spadł w górach. Nawet wyższe przedgórza po tej stronie doliny, od północy, pokryte są śniegiem w górnej swojej połowie. Niema go całkiem w strefie niższej, koło mnie; przeciwnie dzień dziwnie piękny i jasny. Dziś widzę najwyraźniej góry zwane tu Fatrami. Leżą one na drugim brzegu Wagu i stanowią jakby odrębne grono od Tatrów.

Z rana obiegłem płaszczyznę ku Węgrom, byłem aż na Cisowej skale. Dochodząc do niej miałem widok, który mię mocno zajął. — Do koła pasły się trzody, a na spiczastym szczycie Cisowej skały, kilkunastu pastuszków dzieci jeszcze, śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było w tym widoku. Ich strój góralski obcisły, krótki, ich guńki spuszczone z rękawów, zapięte tylko pod szyją, ulatujące śród tańca; ich ruchy szybkie, zwinne, polotne, a wszystko to w blasku

podnoszącego się słońca, przedstawiło mi jakąś fantastyczną grupę nadpowietrznych tancerzy.

W istocie dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne chłopskie dzieci. Natura ziemi rodzinnej, rodzaj życia i zatrudnień rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fizyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre ale czyste i lekkie, z resztą pewna swoboda nieznaną wieśniakom innych okolic, sprawiają to, że dzieci góralskie szybciej się rozwijają jak inne. W tym drobnem ciałku widzisz już dotykalnie pełny zaród przyszłego górala, jego dobre i złe własności. Widzisz już w tym chłopięciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip a razem taki upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym stopniu u dzieci innych okolic.

Słyszałem wiele o tem. Ażeby dać próbkę ich naprzykład zręczności, opowiem tylko jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty ale wymaga zręczności i odwagi. Skoro ujrzy węża, rzuca się na niego skokiem rysia i w témże mgnieniu oka chwytą go dwoma palcami jednej ręki za szyjkę przy samej głowie, a drugą ręką za ogon, i już go ma w swojej mocy. Następnie, żeby go zrobić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu w pyszczek brzeg swojego kapelusza, jak tylko wąż schwycił go i ścisnął zębami, chłopak jednym szarpnięciem kapelusza, wyrzywa wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny.

Oto inna powiastka malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego.

Dwóch kilkoletnich chłopaków zajrzało w jednej skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Skala wysoka i tak przykra, że z dołu niepodobna dostać się do gniazda, ale można się wdrapać na szczyt, a gniazdo leżało blisko szczytu. — Biorą się więc na taki sposób. Wylażą na wierzch, jeden kładzie się na głazie który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza go ku gniazdu, głową w dół. Pomysł udał się; gniazdo zdobyte z pisklętami, które się w niem znajdowały. Ale rozpoczyna się spór, w tém samym położeniu obu, jeden leży na skale, a drugi wisi w powietrzu na łasce leżącego. Leżący wymawia sobie naprzód taki udział w zdobyczy, że wiszący niechce na to przystać, pierwszy zagraża że go puści, drugi nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie bał się pokonać groźbą, pierwszy skutecznie ją i puszcza drugiego. Wysokość była znaczna, — zacięty chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet złamał sobie rękę czy nogę. Ale postawił na swoim.

Oto są górale; jak jedno tak drugie z tych dwojga dzieci, w zawiązku swojego charakteru, który z latami tylko się rozwija i wzmacnia.

Z GÓRY GROŃ. METEOROLOGJA GÓRALÓW.

25 Maja 1832.

Nigdy jeszcze Tatry nie wydały mi się tak wyraźnie, tak okazałe, tak blisko jak dzisiaj, z tej wysokości. A im wyżej postępuję, tem bardziej płaszczą się podnóżne ich przedgórze, one zaś, jakby chciały przybrać postać okazalszą, podnoszą się, rosną, zdają się podchodzić ku mnie. Zdumiewam się mimowolnie widząc je tak blisko siebie, owe góry co są o kilka mil odemnie.

W pierwszym złudzeniu o małym się nie podjął policzyć drzewa rozsypane po nich; o małym nie oznaczył kwadratową przestrzeń każdego płatka ich śniegów. Owa ogromna szerokość Nowotarskiej doliny, zwinęła się w głęboki wąski rozdół, jej lasy zamieniły się w ciemne plamki na dnie jego, Dunajec w taśmę blasku. Zmniejszyło się co podemną, rozszerzyło się co przedemną.

Skutek to wysokości mego stanowiska a jeszcze więcej przepowiednia bliskiego deszczu, według meteorologii goralów, a można być pewnym że się nie mylą. Mogę im przyświadczyć z własnego mego doświadczenia przez ten krótki czas pobytu w górach. Wiele razy miały nadejść dni deszczowe, przejrzystość powietrza podwajała się, a wszystkie przedmioty zbliżały się do oka na podziw. Powietrze zamieniało się w szkło przybliżające i powiększające. Z resztą zjawisko to nie jest do niewytłómaczenia.

Co mnie zawsze rwało w stronę ludu prostego, to ten jego związek z przyrodą niby martwą, owo ich porozumiewanie się wzajemne. Rozrzewniają mię nieraz dowody miłości któremi stworzenie niższe odpłaca wieśniakowi jego miłość dla siebie. Raz, w jednej z moich podróży, wypadło mi zajechać na noc do chłopa; było to zimą, w mróz trzaskący, jak powiadają. Śród pogadanki z gospodarzem dotknąłem mrozu, który mi był nie na rękę, obawiałem się jeszcze silniejszego nazajutrz. — «Niech pan będzie spokojny! odpowiedział mi wieśniak, jutro będziemy mieli odelgę. A kiedym go spytał: skąd to wie? moja lipa gwizdże! odpowiedział mi znowu. Prosiłem o wyjaśnienie i dowiedziałem się, że ta lipa, którą zapewne uważałem przy jego chacie, przepowiada mu wszelką zmianę pogody. Jeżeli huczy głucho a silnie, to znak ogromnej burzy; kiedy puszcza z siebie jakby wystrzały, to silny mróz przybliży się; a zapowiada

odelgę, kiedy gwiazdy różnemi głosami. W rzeczy samej nazajutrz rano przekonałem się, że lipa prawdziwie wróżyła; w nocy mróz przeszedł i odbywałem w ciepłe dalszą drogę.

Na Ukrainie znałem wieś, której barometrem był las pobliski. Z szumu tego lasu wiedziano o kilkanaście godzin wszelką zmianę pogody.

W Mikołajowicach pod Tarnowem, a zapewne i w całej tej okolicy, pewni są zmiany powietrza, kiedy pod zachód słońca, strona nieba od Węgier przybiera pewien blask złotawo-różowy: nazywa się to u mieszkańców: zorzą Węgierską.

Górale Podhalanie, zamknięci jeszcze bardziej niż inni w pewnym kole, mają może więcej niż inni podobnych przepowiednych znamion. Zapisalem sobie niektóre.

Kiedy wąż grzechoce, kiedy bociany krążą nad Nowotarską doliną, kiedy się Tatry przybliżają, kiedy Babia-góra zaczyna chmurzyć się, albo jak góral mówi: «czepek nadziewa» to są znaki pewnego deszczu.

Chmura od północy lub południa przynosi grad w okolicy Nowegotargu.

Wielka powódź nastąpi, kiedy mgła bardzo przezroczysta, woniejąca siarką, zalegnie powietrze, albo kiedy się napotyka węże wylazące na drzewa.

Podobnych przepowiedni jest bezwątpienia więcej i na wszystkie przypadki. Lud z tej strony zasługuje na zbadanie. Jest to jego strona wysoce poe-

tyczna, bo poetyczna rzeczywistością, wtajemniczeniem się ludu w życie przyrody rodzinnej, spóżyte z nią głębokie, ściśle, duchowe. Ale ta poezja, jak wszelka we wszystkim poezja, nie zdobywa się tak łatwo. Chocym i wiedział jak ją zdobyć, nie mógłbym tu, przez szczególne moje położenie, zastosować mojej wiedzy, chyba w części nic prawie nie znaczącej. Nie wątpię że się znajdą szczęśliwsi odemnie.

Lud tutejszy ma jeszcze osobny rodzaj znaków przepowiadających nadzwyczajne wydarzenia, klęski publiczne. Trwoży się on kiedy np. śpiew koguta podobny jest do płaczu dziecka, albo do miauczenia kotów, lub ma w sobie inne tony niewłaściwe jemu; kiedy także znajdzie się kogut niemający w ogonie szóstego piórka.

ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN.

STRZYGI, UPIORY, WILKOŁAKI, BOGIŃKI.
DZIWOŻONY.

6 Maja 1832.

Winienem pośrednictwu pani T. . . ważne dzisiaj posiedzenie ze starą góralką. Przedmiotem głównym naszej rozmowy, był świat nadzmysłowy Podhalan. Styszałem już o tém nie mało z różnych stron; stara Plewina zbogaciła znacznie zapas moich wiadomości. — Gdybyż jeszcze chciała była wypowiedzieć wszystko co wie, ale widziałem, że nie śmiała otworzyć się do dna: na co zresztą trzeba być przygotowanym z temi ludźmi, a przez naszą winę. Nie łatwo nam zetrzeć z czoła naszego, tę plamę Kaimową, za zabijanie rozumem ducha; my nie wiemy o niej, ale ją lud widzi, i żebyś niewiedzieć co robił, ma się przed tobą na baczności jak przed wężem; wiele, wiele potrzeba aby ci się zupełnie powierzył. Wszakże znalazłem moją góralkę mniej zamkniętą, niżlim się spodziewałem, i w istocie

rozmawiałem z nią w tak dobrej wierze, z powagą tak odpowiednią przedmiotowi rozmowy, że musiała to czuć i widzieć.

Z podobną przeto szczerością, opowiadała mi przykład z własnego swego życia, dowodzący istnienia złośliwszych duchów zwanych strzygami. Była wówczas młodą jeszcze dziewczyną, kiedy jednej nocy poczuła przez sen boleść ręki, jakby od ukąszenia. Ocknęła się natychmiast i czuła coś około siebie, nie mogła widzieć dla ciemności mocnej, ale strach ten zdawał się jej mieć postać ludzką. Zniknął skoro się zbudziła, zostawił tylko na jej ręku ślad zębów jakby ludzkich, co nazajutrz po dniu widziała i nosiła przez dni kilka. Szczęście jej że się obudziła, bo strzyga dusi ludzi jak upiór, albo je zabija wysysaniem krwi podobnie jak upiór. Strzygi, Strzygonie są więc rodzajem duchów złośliwych, nowych, mających pokrewieństwo z upiorami, może nawet są tem samem, tylko pod innem nazwiskiem: nie mogę przynajmniej schwycić, w zbyt ogólnem opisywaniu, charakterystycznych rysów im tylko właściwych.

Upiory grają i na Podhalu tę samą krwawą rolę co w całej Słowiańszczyźnie. Straszna ich głośność uwalnia mię od przytaczania co tutaj o nich słyszę, nie chcę powtarzać rzeczy powszechnie wiadomych.

Do tego plemienia należą jeszcze wilkołaki. Wilkołak jest to człowiek żyjący, ale pod przekleństwem, które go zmusza niekiedy przeobrazić się w wilka i

w tej postaci złe wyrządzać: jest to mocniejsze od jego woli ludzkiej, jest to kara, przeklęstwo za jakąś zbrodnię, stan pokutny najcięższy, bo jeszcze bardziej pogorsza dole człowieka. Znałem na Ukrainie młynarza: był to starzec, rządny gospodarz, człowiek uczciwy, ale w mniemaniu swoich sąsiadów uchodził za wilkołaka. Mówiono o tém z pewnem politowaniem dla niego, jak o nieszczęściu fatalnem, ale zarazem bano się go. Wilkołak jest także powszechnie znany w naszym kraju, ale nie wszystkim zapewne wiadomo, jakim sposobem człowiek wilkołak przemienia się w wilka. Oto po prostu, ile razy napada go ta konieczność, wychodzi na pień zrąbanego drzewa, daje z niego koziołka na ziemię i powstaje wilkiem. To samo robi, kiedy ma wrócić do ludzkiej postaci.

Wilkołak jest jedną ze złych istot najszkodliwszych. Niszczy bydło, rzuca się na ludzi; jest to niejako wyższy stopień wściekłego wilka, dla tego rzuca wielki postrach na swoją okolicę; sprawa z nim trudniejsza jak z wilkiem zwyczajnym.

Inne jest plemię, różne od wymienionych dopióro złośliwych duchów, plemię Boginiek. Boginka, może się uważać za to samo co francuzka Fée; jest ona pokrewna Rusałkom, Ondynom i im podobnym. Mówiąc nawiasem, ta nazwa bardzo mi się podoba i najlepiej według mnie, odpowiada francuzkiej nazwie fee.

Boginki góralów zaludniają lasy, wody, góry, jak

starożytne greckie nimfy i Dryady. Posłania ich są fantastyczne i wdzięczne. — Trwożą one ludzi, zwodzą, wyrządzają psoty, za to niekiedy sprzyjają im, służą w dobrem usposobieniu; mało albo nic nie różnią się pod tym względem od ludzi. Jednem słowem mają te same przymioty co ich pokrewne w innych krainach. Nie mam szczegółów, któreby mi posłużyły do dobitniejszego ich opisu.

Najobszerniej rozpowiadają tu o Dziwożonach. Jest to także ród istot nadprzyrodzonych, utwór zdaje się góralów i im samym tylko właściwy.

Jak Rusałki, lubo istoty złośliwe, są jednak przez iornę swoją wietrzne, piękne, wabiące, w harmonji z przyrodą sobie ziemią, tak Dziwożony mają rysy charakterystyczne odpowiednie więcej surowości i dzikości ojczyściej okolicy: całe ciało niezwykle kosmate, włos głowy długi rozpuszczony, piersi nadzwyczajnej wielkości; na głowie czerwona czapeczka z gałązką paproci. Ulubionem ich pożywieniem jest jakieś ziółko zwane: słodyczka.

Dziwożony najstraszniejsze były matkom, ponieważ porywały im dzieci. Dla tego czatowały przy chatach położnic i skoro znalazły chociażby matkę ale bez mężczyzny w domu, brały niemowlę a na jego miejscu zostawiły swoje, które są zazwyczaj krzykliwe, złe, bardzo brzydkie, jednem słowem rodzaj wyrodka. Wszakże można odzyskać porwane dziecię następnym sposobem: skrzywdzona matka wy-

nosi podrzutka na śmietnik, smaga go różgą, napawa ze skorupki jaja, i woła: odbierz swoje, oddaj moje! Dziwożona, tknięta w macierzyńskie uczucie płaczem bitego dziecka, odnosi pokryjomu porwane dziecko, a swoje na powrót zabiera.

Dziewczyny nawet dorosłe nie były od nich bezpieczne: trafiały się częste wypadki porywania ich przez Dziwożony.

W tej osnowie opowiadano mi następną powiastkę miejscową. Jednego dnia zniknęła nagle z Łopusznej młoda i ładna dziewczyna; gdzie i w jaki sposób? żadnego nie było śladu. Długi już czas upłynął od tego zniknięcia, kiedy jeden z mieszkańców Łopusznej, zaprowadzony jakąś potrzebą w głębią gór Łopuszańskich, ujrzał u jednego potoku, wśród największej dziczy, dziewczynę piorącą bieliznę. Zbliżył się i poznał dziewczynę zgmioną. Ta poznała go równie, opowiadała że ją Dziwożony porwały i w końcu błagała aby ją z rąk ich wybawił. Góral chętnie się do tego przychylił, a ponieważ pora obecna nie była po temu, umówiono więc pewien dzień, w którym ona znowu prac tu przyjdzie, a góral przyjdzie konno. Góral dotrzymał umowy, przyjechał w dzień naznaczony, znalazł dziewczynę, schwycił ją na koń i ruszył ku wsi. — Ale Dziwożony postrzegły to i puściły się w poгон takim pędem, że już, już dościgały uciekających.

Było to właśnie wśród łąki na której gdzie niedzie rosły gromadami kwiatki, dzwonki zwane. Dziewczyna

widząc niebezpieczeństwo krzyknęła do towarzysza: trzymaj się dzwonek! Góral usłuchał i kierował ciągle konia między dzwonekami, do których Dziwożony, przez jakąś tajemniczą własność tego kwiatu, przystąpić nie mogły; kiedy więc musiały kołować, przez ten czas uciekający, mając drogę prostszą, wymknęli się z dziczy i do wsi dobiegli.

Dziwożony, podobnie jak Rusałki, śmiały się tylko z kobietami, lękają się mężczyzn. — Zdarzyło się raz, że góral nadybał Dziwożoną w swojej rzepie, po prostu na kradzieży. — Dziwożona zdołała się wymknąć, ale została w ręku górala jej czapeczka: nieboga przybiegła w wieczór pod jego okna i śpiewała żałośnie:

Chłopcze, chłopcze wróć moją czapeczkę,
Nie będę już chodzić na twoją rzepeczkę.

Itak go błagała dopóki jej nie oddał zdartej czapeczki.

Dziwożony miały zapewne i mężów, ponieważ miały dzieci, ale tego szczegółu rozjaśnić sobie niemogę, nic o tem dotąd nie słyszałem.

Nie wiem jaka była obszerność ich dziedziny, czy obejmowała całe Podhale, czy jego część pewną; to tylko niewątpliwe, że Dziwożony przemieszkowały w okolicach Łopusznej. Pokazywano mi pieczarę, gdzie przed laty miało być główne siedlisko Dziwożon. Leży ona w urwistym boku Małogóry, na polach Łopusznej, nad potokiem zwanym takóž Łopuszną. Otwór pieczary zawalony dzisiaj takimi oczkami, że

potrzeba ciężkiej i długiej pracy, aby go oczyścić. Wewnątrz jej ma się znajdować pełno dziwów do niewypowiedzenia: podziemne przechody w różnych kierunkach a długie na wiele mil; złote mosty na podziemnych wodach; ściany z drogich kamieni i tym podobne bogactwa i osobliwości.

Zastanawiając się nad stanowiskiem dziwożon, widzę w tem pewien ślad pobratymstwa wyobrażeń między naszym ludem goralskim a ludami wschodnimi. Wiadomo, że Diw wschodni jest rodzajem złośliwego geniusza, nasze dziwo, w najwłaściwszym znaczeniu tego słowa, odnosi się głównie do zjawiska mniej więcej potwornego i odpowiada zupełnie wyobrażeniu ducha, który na wschodzie zowie się Diw i jest w pewnym pokrewieństwie z naszą Dziwożoną.

Nie ja pierwszy jestem uderzony tem powinowactwem niektórych wyobrażeń duchownych naszego ludu, z wyobrażeniami duchownymi wschodu. Już Staszyc mówi w swoim Ziemiopodstwie, że mu się zdarzało słyszeć między góralami Karpackimi, nazwiska duchów znane w mitologii perskiej: wymienia nawet niektóre, ale ich nie pamiętam. Stąd nie kładę tej okoliczności na karb przypadku, obyczajem bardzo wygodnym, który szybko rozstrzyga wszelką zagadkę, ale jej nie rozwiązuje.

Ja przynajmniej, nie mam po prostu odwagi, rozwiązywać tym sposobem podobnych zagadnień. Tyle razy musiałbym uciec się do przypadku, że w

krótce oburzyłbym się na siebie i możebym sobie powiedział: ej! głupi jesteś!

Nie tu miejsce wymieniać te wszystkie przypadki które mam pod ręką, ale mniemam że i tu jest miejsce życzyć, abyśmy bez uprzedzenia zwrócili latarkę naszych badań w tym kierunku. Kto może naprzód wiedzieć na co padnie jej światło, co nam odkryje?

ŚWIAT DUCHOWY PODHALAH.

NIEKTÓRE ICH WYOBRAŻENIA I POWIEŚCI W TYM PRZEDMIOCIE.

27 Maja 1832.

Waham się, czy iść dalej światem tajemniczym, w który się zapuściłem, czy cofnąć się? Postanowienie nie łatwe. Opuścić go nie mogę; iść dalej a tém bardziej prowadzić drugich dłużej, może ich znudzę, może rozśmieszę? — Nie o mnie tu chodzi ale o drugich... Témczasem przewracam machinalnie Nowe Ateny, dzieło zeszło-wieczne, pełne erudycji i dobroduszości księdza Chmielewskiego, i przypadkiem natrafiam właśnie na miejsce gdzie mówi o górach Karpackich: oto dosłowny wypis:

• Karpat-góra a raczej długo ciągnących gór kontynuacja, nazwana od słowa Carpo, że tam zbierają i zbierają różne profity obywatele i minerały, albo od miasta Carpis starożytnych Bastarnów. Niemcy ją zowią górą śniegową. Węgrzy Tarczacz, Polacy

Tatrami, iż ku krajom Tatarskim nałata się; nazywają się i Beskidami. Widać z nich na mil 20 a czasem 30 gdy wypogodzona aerja. Kamień stamtąd rzucony, niżej się stoczy na dół, wiele inszych ruszy z sobą w kompanji. Śniegi tu po całém leżą lecie, SENSIM czernieją, w jakieś obracają się robactwo. Dzikich kóz na nich mnóstwo, nie nogami chodzących, ale na rogach się od gałęzi i skał zawieszających. — Rodzą się w nich kryształ, djamenty, różne metale, według Szentywaniego. Na samym wierzchołku gór jest źródło a raczej jezioro, Oculus maris zwane, gdzie sztuki statków morskich często wypływają, znać że z morzem ma komunikację. •

No, pomyślałem sobie, dotąd nie powlokłem jeszcze Tatrów taką tajemniczością jak autor Nowych Aten, nie zaszedłem jeszcze tam, gdzie on dobiegł, mogę iść dalej; utwierdził mię w tém przedsięwzięciu drugi ustęp:

• W ziemi Sandeckiej, wyższej, jest między górami źródło, które ma tę własność, że jak kto z niego wody nabierze, to zaraz niebo się chmurzyć zaczyna. •

Tego nie dosyć. W towarzystwie podobnego pisarza mogę się na wszystko odważyć, a brak powagi z głębokiej nauki i z cytacji znakomitych, zastąpię szczerą wiarą w niezaprzeczone dla mnie istnienie świata duchowego, najmocniejszym przekonaniem, że we wszelkiem wierzeniu ludu, we wszelkiej baśni

jego, skoro umiemy obejrzyć je z różnych stron, trafimy na prawdę bardzo głęboką i bardzo pożyteczną. Bez tego przekonania, do którego przyszedłem własnym doświadczeniem, nie zapisywałbym jego powieści, nie słuchałbym ich nawet. Ale mój komentarz zachowuję na ten raz dla siebie samego, chcę być tylko prostym opowiadaczem rzeczy słyszanych; dosyć dla mnie, jeżeli będą przyjęte jako próbki poetyckiej fantazji goralów.

Wielka część tych powieści ma za główny przedmiot ogromne bogactwa ukryte w górach. Niewiem czemu to przypisać: czy wyobraźni drażnionej chciwością, czy przecuciu bogatych kopalni w ziemi rodzinnej? czy temu bogactwu wewnętrznemu, które Arabom wydało Tysiąc i jedna nocy?

W tym duchu są próbki następne.

W jednej ze skał nad Morskim Okiem leży pieczara zaledwo dostępna, tak jest obwarowana zarostami kozodrzewiny. Ktoby miał odwagę dostać się do jej wnętrza, znalazłby tam ogromne skarby. Ale przystęp do niej jest przez krużganki podziemne, bardzo ciasne i kręte. Na każdym zakręcie potrzeba zapalić i zostawić światło. W końcu dochodzi się do jaskini obszernej, oświetlonej światłami wielkiej jasności, które są właśnie skarbami tego miejsca; ale słyszysz głos zapowiadający: biada temu kto się ich dotknie. Na środku jaskini klęczą trzej mnichy; ów głos tajemny każe pokłonić się każdemu z nich z osobna, potem

wolno wziąć sobie z tych skarbów, wszakże nie więcej tylko tyle, ile siekiera na raz urąbie. Zginałby natychmiast, ktoby ten przepis przekroczył.

Podobna jaskinia znajduje się pod górą Gewontem. Na środku jej stoi słup dyamentowy, pod nim siedzi mnich obsypany bogactwami wszelkiego rodzaju. Mnich-strażnik udziela ich bez trudności każdemu, kto dojdzie aż do niego; ale dojście jest bardzo trudne, bo przechód niezmiernie ciasny i wszelkie światło w nim gaśnie.

Łatwiejszy jest do zdobycia skarb zakopany w złobie na polach Łopusznej, bo tylko na kurzą stopę ziemią przykryty; ale niewiadomo w którym miejscu jest zakopany.

Możnaby temu zaradzić za pomocą kwiatu zwanego florecyna, a który ma własność ukazywania swojemu posiadaczowi skarbów najgłębiej zagrzebanych, ale czegoż to potrzeba aby dostać tego kwiatu? Florecyna, jak mi ją pokazywano, jest bardzo podobna do paproci, tylko mniejsze i drobniejsze ma listki. Kwitnie tylko raz na rok, w wilją Bożego narodzenia, o samej północy. Żeby się posługiwać tym kwiatem, potrzeba go osiąść niewiedząc o tem.

Są jednak ludzie, którzy mają tajemniczą moc odkrywania skarbów górskich. Oto jeden z przykładów tego. Wyżej jeszcze niż Pięciostawy, leży jezioro zwane Żabieniec, mało zwiedzane dla skał nadzwyczajnie przykrych do koła, dla ścieżek niebezpiecz-

nych, także z powodu zimna, bo jezioro przez dzień miesięcy jest pod lodem. Owoż do tego jeziora przychodzi siedmiu Czechów, ścieżkami im tylko wiadomymi. Muszą oni wydobywać tam złoto, bo po ich odejściu znajdowano żużle z wytopionego kruszczu, a nawet piecyki. Ale nikt dotąd nie zeszedł ich wśród tej roboty.

Ci Czesi mogą być bajeczni, ale podobni im a rzeczywiście znajdują się w każdym prawie biurze urzędowym w Galicji, także dla złota. Ścieżki ich przechodu są wiadome.

Górale wierzą mocno w istnienie ksiąg czarnoksięskich. Według ich zapewnienia, księgi takie znajdują się na dolinach, to jest w kraju niegóralskim, np. w Krakowskiem. Wielka potęga zamyka się w tych księgach. Górale pokazują w górach jedną skałę, z której na zaklęcie odczytane z takiej księgi, wychodził smok, dawał się kulbaczyć i jeździć na sobie. Jakiś czas widywano jeżdżącego na nim Niemca, ale pewien Baca zabił smoka, a Niemiec zniknął. Baca był stąd w niemałym kłopotcie, bo wkrótce przyszedł jakiś człowiek z dolin bardzo dalekich, i ostro upominał się o zabitego smoka, jak o swoją własność. Niewiem jak się ta sprawa skończyła.

W innym wcale rodzaju jest powieść o błąkającej się głowie. Miejscem tego zjawiska, jest polana zwana Jaworzyna Kamienicka, od wsi Kamienicy; a początek taki. Naczelnik jednej bandy zbójckiej, miał

podwładnego, który był od niego urodziwszy, celniej strzelał, lepiej skakał, szybciej biegał, zgoła przechodził go we wszystkim; stąd zapalił się taką nienawiścią ku niemu, że go zabił, po zabiciu odciął mu głowę i zarzucił w pobliski parów. Ale ta głowa pokazała się wkrótce na polanie gdzie było spełnione zabójstwo, i odtąd nie chce jej opuścić. Ile razy ją znajdą, odniosą w dalsze miejsca i zarzucą gdzieś w przepaść, tyle razy ona znowu powraca na swoją polanę. Odznacza się tem szczególnie, że ma włosy niezmiernie długie.

ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN.

POWIEŚCI W DUCHU CHRZEŚCIAŃSKIM.

28 Maja 1832.

Pozostaje nam do odznaczenia najważniejsza część drogi, którą duch góralów przechodzi. Dotąd widzieliśmy go albo w jego brzasku, albo nawet zmroku; w stanie ducha, który czasem cofa się w swoją przeszłość pogańską, czasem zniża się do sfery poziomej, materialnej, nie wychodzi jeszcze na światło właściwe sobie. Taka jest cecha istotna powiastek, mniemań, utworów powyższych. W następnych odbija się już blask religii prawdziwej, kryje się myśl głębsza, wyraźniejsza, chrześcijańska, mądrość pełniejsza, odkrywa się świat z ducha jaśniejszego.

Lud góralski jest głęboko religijny, jak ogół plemienia do którego należy; jest on skromny, cichy w swojej pobożności, ale prosty i szczerzy; taki charakter mają jego powieści religijne i dla tego porywa mię ich istota, mimo formy nic prawie nie wazającej,

ale mającej tę zaletę, że nie zaciemnia ani wykrzywia prawdy, a przeto prawda jej łatwiejsza jest do ujęcia.

W najszczególniejszem poszanowaniu u góralów, jest pamięć świętej Kunegundy. Jej żywot ziemski prawie cały zamknięty jest obrębem tej okolicy. Ulubiona jej dziedzina między Krakowem i Tatrami, oznaczona jest całą śladami jej żywota. Wieliczka, jej posag wyplacony Polsce hojnością samego nieba; Pieniny, jej przytułek warowny w czasie burzy najścia tatarskiego; nakoniec Sącz, ostatnie jej mieszkanie i grób, miejsce z którego dotąd nie przestaje okazywać sposobem cudownym swojej miłości dla tego ludu; są to tylko widoczne węzły, które wiążą świętego ducha z tą krainą; ale jej pamięć rozlewa się tu obficie, panuje obszerniej, i dla tego najmniejszy ślad po niej, śledzony jest i strzeżony ze świętą troskliwością. Jeszcze przed lalą kilkunastu, leżał przy Łopusznej nad Dunajcem kamień z odciskiem ludzkiej stopy; według podania, była to stopa Ś. Kunegundy, z owego czasu kiedy, zmuszona opuścić Kraków zagrożony od Tatarów, udawała się do Pienin, i w swojej podróży zatrzymała się na tym głazie. Dziś go niema w tym miejscu, został podobno przeniesiony do Sandeckiego kościoła.

Cześć ludowi, który tak jest wierny w miłości dla tych, co przez swoją miłość stają się jego opieką i chlubą. Potęga ziemska, hucząca wielkimi czynami ziemskimi, może go przerazić, zdumieć, rzucić

o ziemię, ale nie jest jeszcze świętością w jego oczach, jest mu obojętna, po chwili przemija w jego pamięci razem z hałasem swoim — przeciwnie błogosławi on przez wieki, korzy się, pada twarzą i duchem przed kobietą, przed dzieckiem, przed wszelką słabością widomą, skoro z niej promieni potęga wyższej miłości, ofiary wyższej. Lud ją prosty poczuje, odkryje i uwieczni w swoim świecie.

Jest to jego własność nieoceniona, owo uwiecznianie wszystkiego, co raz dotknął swoim duchem. Idzie mu to bez trudu, bo przedewszystkiem uderza go prawda, i prawdzie tylko stawia swoje ołtarze. Ten ołtarz może być niezgrabny, przekształcony wpływami czasu, ale go postawił lud w miłości i czci dla prawdy; a co raz tak postanowił, już tego pewno sam nie zwali.

Następna powiastka małuje cześć Podhalan dla świętych im przedmiotów.

Do kościoła w Łopusznej wieszono obraz Ś. Antoniego; obraz nie mistrzowski zapewne, gdzie był nie jeden grzech przeciwko sztuce, a między innymi usta zbyt blade. Jeden z obecnych widząc to odezwał się żartem, że święty musiał tylko co jeść śmietaną. Natychmiast obraz tak ociążał, że wóz stanął w miejscu jak wryty, przytęm niebo okryło się chmurami i ogromny grad się puścił. Probowano siły łeczniejszego zaprzęgu, ale wóz z obrazem stał nie poruszony. W końcu dowiedziano się przyczyny tego wypadku,

i udano się do modłów błagalnych, a wnet wóz ruszył z miejsca, grad się zatrzymał i jasna pogoda wróciła.

W podobnej myśli słyszałem inną powieść ale nieuważnie, i dla tego niemogę jej przytoczyć jak mi była opowiedziana. To mi się tylko zachowało z ogólnej treści, że za przewinienie podobne powyższemu, cały lasek dotknięty został karą taką, że wszystkie jego drzewa powykręcały się w najpotworniejsze kształty i tak dotąd rosną. Lud pokazuje go jako widomy i trwający przykład kary za ubliżenie świętościom, światu wyższemu.

W innej powieści, bardzo prostej, dostrzegam ważną ideę o zamknięciu się w sobie, o niedawaniu innym należnego im czucia.

Był w Łopusznej parobek bardzo przystojny i równie zimny. Nie jedna dziewczyna okazywała mu swoją ku niemu skłonność, ale żadna nie mogła pozyskać jego wzajemności; każdą odepchnął z pogardą. Zdarzyło się, że raz idąc na mszę do Charkłowej, ujrzał w potoku łososia; schyla się, aby go schwycić i w tej chwili przebiją go nóż, który miał za pasem. Rana była śmiertelna, umarł z niej prawie natychmiast. — Nóż nieszczęśliwy wrzucono w potok, gdzie się stał przypadek, a parobka pogrzebiono; ale duch jego nie opuścił miejsca gdzie nóż był wrzucony, ciągle się tam pokazywał i strzegł ludzi. W tej trwodze, znalazły się śmiałe dziewczęta, które posta-

nowiły rozmówić się z duchem, aby dowiedzieć się czém mu pomódz. Dotrzymały co postanowiły, rozmówiły się z duchem i dowiedziały się z jego własnych ust, że odbywa pokutę za pogardę kobiet i że dopiero wtedy będzie od niej wolny, kiedy dziewczęta kupią mszę za jego duszę: a na świadectwo przed innemi ludźmi dał im rutę z własnego kapelusza. Dziewczęta zakupiły mszę żadaną, i duch parobka nie pokazał się odtąd więcej.

O podobnym duchu pokutującym, ale pokutą straszniejszą, przywiązana jest powieść do włości Ostrowska, leżącej między Nowymtargiem a Czorsztynem. Na jej polach, niedaleko drogi, znajduje się bagno, z którego nocą wybiega człowiek nagi i goni za przechodzącymi. Pokutnik ten straszniejszy jak pierwszy, bo samobójca podobno, miał się utopić rozmyslnie.

Wiele jest powieści, w których grają rolę czarci, czyli złe duchy pojmowane już ze stanowiska religji chrześcijańskiej.

W bukowinie Łopuszańskiej która leży pod górą Kluczkami, w sam dzień Śtych Piotra i Pawła, ujrzało djabła ubranego po niemiecku, jak przeszedł pomiędzy bydłem, wszedł do lasu i narąbał jawór; kłokolwiek chciał później ten jawór zrąbać, tak się kaleczył, że musiał zaniechać. Nie jedno drzewo tak napiętnowane napotyka się w górach; górale się bardzo strzegą, zwłaszcza w pierwszych dniach po wyżej spomnionem święcie, rąbać podobne drzewa.

Są znowu przykłady złych duchów odpłacających przysługę odługą. Pewnej nocy, bardzo już późno, zajechał przed jednego z kowali Charklowej, powóz zaprzężony sześciami dzielnymi karemi końmi. Wyjechał on z Dunajca, siedział w nim pan ubrany po niemiecku i sam się powoził. Zatrzymał się przed kowalem, bo jednemu z koni podkowa odpadła. Kowal ją przybił i widział, że była ze złota. Podróżny w nagrodę dał kowalowi strzelbę, a sam pędził dalej gościńcem. Od tego czasu dziwny strzelec z owego kowala; zabija takie zwierzęta i ptaki, jakich w całej krainie góralskiej niema.

Niepodobna spisywać wszystkiego, co slysze w podobnym rodzaju, a tem bardziej nie uważam za właściwe umieszczać tutaj wszystko, co mam w notatkach. Daję tylko próbki przedstawiające z różnych stron ducha Podhalan, ich życie więcej wewnętrzne, w objawieniu się zewnętrznem, na polu wyższem od życia powszedniego.

Z resztą nie wątpię, że będę jeszcze nieraz w konieczności dotknąć tej strony; zachowuję przeto do późniejszego czasu, co będzie mogło zrobić wydatniejszym ten ogólny zarys oblicza religijnego Podhalan. Muszę jednak cofnąć się na chwilę do powieści o obrazie Ś. Antoniego i lesie przeklętym. Co za głęboka nauka w tych powieściach dla ludu nie prostego nawet! Alboż przez grzech bezbożności nie widzimy narodów całych w potwornym stanie tego

lasu? Te grady co biją w ludzkość, ten wóz narodu, którego żadna siła niemoże poruszyć z miejsca gdzie uwiąż, skąd to wszystko? co to jest? Prawda znieważona, wyższy świat bluźniony lub pogardzony w wyższych ludziach, w wyższych uczuciach. I nie ma ratunku, niema postępu świętego, póki go człowiek nie przebłaga, póki mu nie wypłaci długu należnej części!

DOLINA NOWOTARSKA. — NOWYTARG.

29 Maja 1832 r.

Ze wszystkich dolin które dotąd opisałem, ze wszystkich które znalazłem na mojej drodze od Tarnowa ku Podhalu, które widziałem gdziekolwiek, żadna niemoże iść w porównanie z doliną Nowotarską. Mogą być miłsze od niej, wdzięczniejsze, na małą skalę, ale trudno o podobną, bo trudno o takie skupienie tylu i takich przedmiotów, jak są te które wchodzą do jej ogółu. Wszystko tu się składa na całość rozmiaru ogromnego, różnorodności wszechstronnej, różnorodnego wdzięku. Rozległość, oblicze wewnętrzne, widoki na zewnątrz, mieszkańcy, życie przyrody, życie ludu, pomniki dziejów, poezya gminu i tym podobne, wszystko to tworzy świat pełny w samym sobie, harmonijny, ogromny, różny od wszystkiego co dotąd widziałem, zasługujący ze wszech miar na uwagę i bliższe przypatrzenie się. Jestem dla niego pełen części i miłości, stąd pragnę i będę

usiłował skreślić go, chociaż w pewnej części, w rysach ogólnych a o ile można wiernych. Praca to jest nie krótka i nie lekka, niemając przed sobą innej w tych dniach, jej poświęcę całą tych dni swobodę.

Dolina Nowotarska zajmuje przestrzeń ogromnego obwodu, niepodobna mi oznaczyć ją z dokładnością milami, powiem tylko, o czém mię zapewniono, że ludność doliny wynosi z górą stotysięcy mieszkańców. Granice widokregu są granicami doliny. Granicę ową stanowią od południa Tatry, dalej ku zachodowi bieją cokolwiek niższe szczyty ale śnieżne, gór zwanych Fatrami; w skrócie ku północnym napotykasz wysoki Żywiec i następnie, jak olbrzymi kopiec narożny, jedyną w swoim rodzaju i w tej stronie, samotną, piramidalną Babią górą, od niej cała północna i wschodnia strona doliny zasłonięta jest pasmem przedgórzów, które się odznaczają szczytami i garbami nieposledniej wysokości, jak na przykład Kluczki, Szczyt Maniowski i inne nieznane mi po nazwisku; pasmo te kończy się na Pieninach przy Czorsztyńcu. Dolina jest znacznie dłuższa jak szersza; najwęższa pod Czorsztyńcem, rozszerza się coraz bardziej; w punkcie Nowegotargu oś jej szerokości liczy się już milami. Kierunek doliny od północo-wschodu na południe-zachód.

Niezliczone wody w potokach rozmaitej wielkości spływają się w dolinie to z przedgórzów, to z Tatrów. Najznaczniejsze między wychodzącemi z łona

Tatrów są: Białka, Wag, Czarny i Biały Dunajec. Wag odpływa do Węgier, do Dunaju, drogą którą sobie wyłobił pomiędzy najwyższymi górami, poczyna się jednak w północnym boku Tatrów i tym sposobem zarywa część okolicy Nowotarskiej. Biały i Czarny Dunajec zlewają się pod Nowotargiem w jeden Dunajec, który zabięra Białkę i wszystkie inne potoki.

Powierzchnia doliny nie jest ściśle płaska; u podnoża Tatrów z jednej strony, przy przedgórzach z drugiej, pogarbiona mniej więcej znacznemi wyniosłościami, spuszcza się jakiś czas ku swojemu środkowi nieznaczną potoczystością, aż do Dunajca, którego taże jest właściwie ostatnią głębią dna doliny.

Mówiąc o Nowotarskiej dolinie, powinienem tu zapisać piękne tyczące się jej podanie. Lud wierzy i powiada, że przed wieki cała ta przestrzeń zalana była morzem, które się zwało Karpackie morze; ale że jakiś, bardzo dawny Król Polski, kazał przeciąć górę Pieniny i tym sposobem cały ten kraj osuszył: stąd bieg Dunajca aż do Wisły.

W rzeczy samej przechód Dunajca przez Pieniny, jest tak wyłobiony między prostopadłemi skałami, tak ma pozór kanału, że okoliczność ta nadaje pewne prawdopodobieństwo podaniu ludowemu, przynajmniej co do istnienia przedwiekowego wielkiego ogromu wody na dzisiejszej dolinie nowotarskiej, i gwałtownego jej przedarcia się przez tamę Pienin.

Szczegóły podania mogą być późniejszym wymysłem, ale istotą jego jest ta pamięć ludu, która sięga czasów przedwiecznych, czasów owych, których dzieje częstokroć najrzeczywistsze, są dla potomności niepodobnemi do prawdy: lud jednak pozostaje religijnie wierny swojej przeszłości. Z resztą cóż w tém podaniu jest tak nadzwyczajnego? alboż jedno miejsce przeludnione dzisiaj, nie miało kiedyś innych mieszkańców jak mieszkańców wody? Gdzie są dzieje któreby nam dochowały pamięć wszystkich wstrząśnień, wszystkich zmian przez które przeszła ziemia od chwili jak wyszła globem ziemskim z rąk swojego Stwórcy? Mamyż co, na czém byśmy niewruszenie oparli zaprzeczenie nasze powyższemu podaniu? Ja przynajmniej nic takiego nie widzę i dzielę wiarę ludu w jego powieść, bo ma prawdopodobieństwo za sobą i otwiera ogromne pole uroku poetyckiego, człowiekowi unoszącemu się w przeszłość z miłością dla niej. O! gdybym mógł wypowiedzieć co za świat dziwny, co za tłum pomysłów, rodzi się we mnie z tej jednej powieści!

Wracam do obecności. Liczne i ogromne wsie zapełniają dolinę, lub ją otaczają. Między temi osadami, najcelniejsze miejsce zajmuje miasteczko Nowy-targ; uważane jest ono jako główny punkt tej okolicy, zowie się nawet Stolicą Podhalan. Położenie jego jest w istocie bardzo korzystne. Ludność dokoła niezmierna; przemysł odznaczający górali; dwa gościeńce

bite kupieckie, jeden do Spiża ku wschodowi, drugi na zachód zwany Tręczyński, trzeci do Krakowa, a z którymi się wiąże pełno dróg pomniejszych; zejście się dwóch Dunajców tuż pod miastem; bliskość kąpiel mineralnych już to galicyjskich już Węgierskich; okolica jak Tatry wabiąca corok wielu ciekawych wędrowców, są to wszystko okoliczności wyzywające do ruchu przemysłowego, ułatwiające odbyć jego wyrobów, a przez to sprzyjające podniesieniu się miejsca na stopę miasta porządnego, zaopatrzonego we wszystko; ale Nowy-targ nie umie jeszcze korzystać z tych darów. Miasteczko nie jest ani tak rozległe, ani tak zabudowane, ani tak ożywione, ani tak wygodne dla podróżnych, jakby być powinno i być mogło; jest to nie więcej jak miescina licha, podobna do tylu innych w całym tym kraju. I samo na tém niemało traci.

Pierwsze powstanie Nowegotargu, wedlug zapisków kronikarskich, sięgać ma najdawniejszych czasów Polskiej.

Między ciekawszymi szczegółami miejscowemi, jest Kościółek Ś. Anny, bardzo starożytny. Stoi on za miastem, w stronie jego północnej. Powiadają, że go zbójcy wystawili, a obraz w wielkim ołtarzu ma być ukradziony przez nich na Węgrach.

Na zachód Nowegotargu o pół mili, przy brzegach czarnego Dunajca, leży wieś Ludzimierz, niedaleko niego druga wieś Krauszów; o początku tych dwóch wsi zachowują górale następne podanie: w czasie

jednego najścia Tatarów, Polacy spotkali się z nimi na tych polach i zostali na głowę pobici; Tatarzy po zwycięstwie ucięli każdemu trupowi po jednym uchu i temi uszami napełnili dziesięć worów; owoż w miejscu gdzie obrzynano uszy stanął Krauszów, a Ludzimierz tam gdzie je odmierzano worami. O Ludzimierzu wzmiankuje Bielski już pod rokiem 1234, w ten sposób: •Teodor, Herbu Gryf, Wojewoda Krakowski, Klasztor Cystersneńskich mnichów w Ludzimierzu, wsi swojej niedaleko Nowegotargu, fundował, lecz iż od zbiegów często tam przenagabanie miewali mniszy, i przeto na Szczyrzyce się stamtąd przenieśli. •

Gruzy Klasztoru Cystersów pokazują dotąd w Ludzimierzu, a spomniony Klasztor Szczyrzycki jest i dziś osadzony Cystersami; ma on posiadać archiwum bogate w pomniki bardzo ważne dla dziejów podgórskiej okolicy, ale zarzucają mnichom, że przez dziwną ich nieużytość, przystęp do archiwum jest wzbronny.

W ogólności wsie w okół Nowegotargu są bardzo dawne. Szaflary, naprzykład, o milę od Nowegotargu ku południowi, mają być założone w 1200 roku; czego dowody znajdują się w aktach z owego czasu dochowanych. Wieś Zakopane, miała osadzić jakaś Staroscina Wielopolska rozbitkami ze zniesionej tam hordy Tatarskiej, łotrzącami w miejscowych górach. Na dowód tego przytaczają, że dziś jeszcze pewna ilość rodzin tej wsi zowie się Tatarami, a nawet dochowuje w swoich obliczach rysy mongolskie.

Tu z prawdziwą rokoszą zapisuję miłą mi wdzięczność dla zacnego męża, który mi dostarczał nietylko największą część podobnych wiadomości, ale z niez mordowaną cierpliwością wtajemniczał mię, że tak powiem, w życie Podhala. Niebyło prawie usługi, której-by mi w tym celu nie ofiarował, do której-by nie był gotów. Jemu to winienem po wielkiej części com się dowiedział o tej okolicy, com w niej widział. Chociaż obcy rodem tej ziemi, ale się wnarodził swoją dla niej miłością, i przez to miał siłę i wytrwałość zbadać ją wielostronnie i głęboko. Wiem od niego, że myśli nawet o publicznem podzieleniu się ze spółziomkami zasobem swoich wiadomości w tym przedmiocie. Bardzo mu życzę, bardzo pragnę aby swoje przedsięwzięcie mógł przyprowadzić do skutku. O ile go znam, mam prawo sądzić, że dzieło jego byłoby dokładniejsze, ciekawsze, użyteczniejsze, byłoby obrazem zupełniejszym tajemniczej dotąd strony Tatrów, przeszłości tej ziemi i ludu w jego stanie obecnym, jak wszystko co dotychczas o Tatrach ogłoszono. Spodziewam się tem więcej po jego pracy, że sam jest skromny i bez żadnych do autorstwa pretensyi, powoduje nim tylko miłość naszej ziemi i chęć przysłużenia się jej czem może. Położenie też jego sprzyja mu bardziej niż komukolwiek. Jeżeli kiedy, szanowny i kochany mężu, dojdą cię te słowa, przyjmij je jako wyraz wdzięczności i pamięci, które ci zawsze zachowam.

PODHALANIE. — LUD.

30 Maja 1832.

Tatry straciłyby niezawodnie połowę swojego uroku bez swoich mieszkańców; ogrom ich zostałby wprowadzie tym samym ogromem, przyciągałyby na chwilę, porywał, zdumiewał, przerażał zmysły a nawet potraçałyby głębiej ducha ludzkiego, ale jak rzadki byłby ten człowiek, który-by poczuł życie wewnętrzne Tatrów bez życia człowieczego na ich powierzchni, życia wyższego nad życie kamieni, wód, roślin—któryby zajął się niemi tyle ile dzisiaj każdy się zajmuje, krzepiony życiem mieszkańców. Tatry bez człowieka, byłyby tylko ciałem bezludnym, trupem olbrzymim i zajmowałyby o tyle wędrowca, o ile może zająć człowieka widok niezwyčajnego trupa. Uczucie takie może być bardzo gwałtowne, ale prędko nasycy człowieka aż do przesycenia, a wtedy przeradza się w niesmak.

Są w tym stanie pewne krainy; jedne bezludne, inne zaludnione takimi mieszkańcami, że życie ich

ziemi im się przez to niepodnosi, że drzewa, wody, skały, zwierzęta, żyją więcej, prawdziwiej jak ich człowiek. Jest i to zajmujące ale smutne! Komu by trudno było sprawdzić tę myśl na kraju przestronnym, niech poszuka bliżej siebie a znajdzie, że nieraz widział podobną okolicę, miasteczko, wieś, dom, i już oto ma na małą skalę co przypuszczam o Tatrach bez ludzi.

Nie mówię tego lekko; nie rzucam myśli co to czasem wyskakuje z pod pióra mimo wiedzy piórodziurczy. Nie powiedziałbym tego gdybym się nie znajdował kiedy niekiedy wśród takich ludzi, żyjących życiem tylko robaka grobów lub ran zaniedbanych, że wolałbym przebyć ten czas z duchem który objawia swoje życie jedynie szumem drzewa, ruchem wody, tchnieniem wiatru; byłbym już w sferze życia prawdziwszego, pełniejszego, miłszego, wyższego.

Nie stosuje się to do Podhalan. Winienem im za to wdzięczność. Przez wdzięczność chcę zachować ich obraz — bardzo niezupełny, niewykończony, ale ufam że wierny o ile go schwycę. Nie przyrzekam więcej. Znam całą trudność poznania i odmalowania narodu. Poznać naród!... Zwracam się do siebie i widzę, ileby to trzeba komuś żeby mnie poznał! Przez ile-to kolei bolesnych i szczęśliwych musiałby przejść razem ze mną! To samo z narodem, tylko na skalę bez porównania ogromniejszą, bo cały żywot człowieka jest chwilą w bycie narodu.

Przystępując wprost do niego przedmiotu, patrzę na górali Tatrzańskich ze stanowiska czysto-obecnego: nie znajduję go w przeszłości. Światło przeszłości pada bardzo słabo na lud tej okolicy; niema on na scenie publicznego życia takiej głośności jak mieszkańcy innych naszych okolic. Szczególnym przeznaczeniem jakieś odosobnienie, milczenie, brak ruchu odpowiedniego ruchowi dokoła, otaczały zawsze ten zakąt. Nie potępiamy jednak za to naszych górali. Ich byt nie przeminął jeszcze. Jest jeszcze przed nimi przyszłość i kto wie jak długa, jak wielka. Z resztą i ta okoliczność przytwierdza, że Gorale są plemieniem czysto-słowiańskim; a człowiek tego rodzaju nie wyłazi ci łatwo ze swojej nory. Wszakże z drugiej strony widzisz już w góralach coś różnego, jakby niesłowiańskiego, po części może z istoty ich posady ziemskiej, ich położenia tak fizycznego jak cywilnego, po części może przez obce im wpływy — zgola, że Gorale są Słowianami; pod pewnym względem wyżsi, pod innym znowu niżsi od swoich bratymców. Ale o tem we właściwym miejscu. Zacniemy od tego co w człowieku na pierwszy rzut oka uderza — od powierzchowności.

Jest-to w ogólności lud dorodny. Wzrost więcej niż mierny, a w wielkiej części wysoki. Budowa zgrabna, lekka ale mocna. Ruch pełen życia i zręczności. Głowy nierzadko piękne, bardzo często ślachetne w rysach twarzy, które powszechnie pra-

wie odznaczają się śmiałością, rozumem, wyrobionem życiem, pewną dojrzałością i siłą wewnętrzną, albo przebiegłością, zuchwalstwem, chytrą przed którym trzeba się mieć na baczności.

Ubiór ich za nadto obcisły, za nadto kusy, nie jest jednak bez wdzięku męskiego. Był on, jak się zdaje, pierwszym wzorem stroju dzisiejszych Huzarów, tylko mniej ozdobny, a raczej mniej upstrzony. Oto szczegóły ubioru górala.

Koszula krótka, mało cò przesiągająca piersi; spodnie opięte z grubego białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem; za obuwie ciężmy skórzane, to jest kawałki skóry przykrępowane tylko do nogi, bez oddzielnych podeszew, rzemiennym sznurowaniem, które dochodzi mniej więcej do połowy łytek; pas skórzany, szeroki z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprządek; gunka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją, najczęściej z rękawów spuszczone; kapelusz ze dnem niskim, wypukło-krągłym, o wąskich skrzydłach; włosy długie rozpuszczone po plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy, broda i wąsy golone; oto strój górali najpowszechniejszy. Podlega on pewnym zmianom w niektórych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Są w nim dodatki i ozdoby, ale te uchodzą tylko młodzieży lub Juhasom. Wtedy konieczna jest gałązka za kapelu-

szem lub pióro z jakiego ptaka dzikiego; śpinki błyszczące przy guńce i u rękawów koszuli; wyszywa nie na spodniach i t. d. Wszakże bez tych nawet ozdób, strój Podhalań wydaje mi się ładniejszy jak goralich innych okolic. Kapelusze z ogromnymi skrzydłami są dopiero u goralich węgierskich w używaniu.

Czas i tu także zaprowadził niektóre zmiany, szczególnie co do stroju głowy. Widziałem dawniejszy na jednym rysunku; podług rysunku i opowiadania które go dopełniało, był to wysoki kołpak okrągły, ozdobiony mnóstwem kamyków, paciorek i blaszek w rozmaite wzory, z piórem jakiego ptaka lub gałązką na boku. Niechce mi się jednak wierzyć aby ten strój był kiedy powszechnym. Strójąc się młodzież goraliska, przeplata i dziś jeszcze długie swoje włosy amarantowemi wstążkami, jak nasze dziewczęta Ukrainkie albo parobcy, tylko że ci ograniczają się na jednym kosmyku włosów pobocznych, który zowią seledcem.

Ubiór goralów może razić oczy nieprzywykłe do niego, może nie być w dobrym nowoczesnym smaku, ma nawet ważne niedogodności dla ludzi niezahartowanych na wszystkie nieprzyjemności powietrza, ale trzeba mu przyznać że nie przekształca ani zakrywa składu ciała, tak przylega do niego, tak wydaje wszystkie jego kształty. Ludzie co go pierwsi wymyślili i odważyli się nosić, musieli być doskonałej budowy.

Rzecz najważniejsza, że z pod tego stroju Podhalań przebija się ich charakter, ich strona moralna. Jest-to dla mnie prawdą niezaprzeczoną, że jak niema przypadku w niczem tak i w ubiorze; że ten albo ubiór przyjęty zwłaszcza przez pewną ilość ludzi, na czas pewnej trwałości, nie jest rzeczą przypadkową, ale koniecznością i jednym ze znamion widocznych wyjaśniających stronę człowieka mniej widomą. Nowe potwierdzenie tej prawdy mam na goralach. Kiedym sobie zadał pracę głębszego zastanowienia się, zdumiałem się nad tym stosunkiem, który zachodzi między ich ubiorem a charakterem. Byłoby zadługie, niewłaściwe w tem miejscu, wykladać wszystkie moje porównania, wszystkie wynikłości; strój opisałem wyżej a teraz wypowiem ile zdołałem wnikać w tajemnicę ich charakteru.

Goral dzisiejszy jest-to już mieszanina chłopca dawnego Słowiańskiego i chłopca zaczynającego cywilizować się oświatą, jaka do sfery ludu najłatwiej przeniknąć może. Zachował on z dawnego wiele dobrych przymiotów i wiele wad rodzimych; zarywa z wyższego ukształcenia, z nowego dla siebie porządku rzeczy, nieco dobrego, wiele rzeczy szkodliwych swojej dobrej stronie, niezgodnych z jego duchem ojczystym. Ma wyższość nad wielu innymi Słowianami przez poczucie się w swojej sile, w swojej wartości, i w potrzebie zdolny jest objawić je z wielką energią. Pod tym względem można go uważać za pobra-

tymca bliższego Serbom i innym plemionom południowych Słowian, jak Słowianom z tej strony Karpat. Rząd jest bardzo ostrożny w stosunkach z goralami, widocznie pobłaża im, niekiedy aż do słabości. W rzeczy samej, biorąc na uwagę ich charakter, ich fizyczność, położenie ich okolicy, lepiej mieć ich sprzymierzeńcami jak wrogami, choćby z poświęceniem niektórych korzyści panowania, co najczęściej jest pozorne i chwilowe. Gorale postrzegają się na tym przez instynkt niepodległości, stąd panujący im nigdy zupełnie rachować na ich miłość niemogą. Smutny był los urzędników którzy przez wypadki roku 1809 na Węgry chronić się musieli; droga wielu szła przez Tatry, gorale przewodniczyli i przewozili, ale mała liczba ujrzała Węgry, niewiadomo co się z innemi stało.

Goral zagrożony, raniony, napastowany ze strony tego uczucia, staje się strasznym wrogiem. Niezdolny do otwartej walki, uzbiera się zemstą, uzbiera się we wszelki oręż jaki tylko może dostarczyć zemsta najzaciętsza i najszybsza. Smutne tego przykłady nie są rzadkie, a mianowicie na polu stosunków z dziedzicami. Niedawno jeden goral, upatrzawszy porę i miejsce, schwytał pana swojej wsi od którego czuł się skrzywdzonym, i z zimną krwią połamał mu ręce i nogi. Co większa nie zataił tej zbrodni, spełniwszy ją, poszedł do sądu i sam odkrył ją Staroście, nie z żalu, broń Boże, ale przez uszanowanie dla prawa,

ciągle utrzymując że według prawa popełnił zbrodnię, ale zrobił co był powinien.

Pod tym względem położenie tutejszych posiadaczy, szlachty, jest bardzo niemiłe a nawet niebezpieczne: jest-to trwały stan skrytej wojny, tem obrzydliwszej i zaciętszej, że się toczy między braćmi. Stąd wielu nie śmie wyjechać za dom tylko zbrojno i w towarzystwie ludzi zbrojnych. To położenie utrzymuje konieczność hajduków czyli służby zbrojnej, do czego sam rząd upoważnia.

Nie zwałajmy jednak całej winy na goralą. Zazwyczaj druga strona wywołuje tę walkę, przez wymagania bezprawne, przez jakąś krzywdę: goral staje w obronie swojego prawa, szlachcic naciera silniej, goral zacieka się i poczyną działać zaczepnie, wtedy niepopelnia jakąś niesprawiedliwość; i tak z odwetu w odwet walka się rozżarza, krzywdy zobopólne tłoczą się na krzywdy, aż przychodzi do tego, że pojednanie staje się prawie niepodobnem.

Ażeby pozostać sumiennym i przysądzić ze złego co komu należy, trzeba być na miejscu i z bliska patrzeć. Bez tego trudno mieć wyobrażenie jakim brzemieniem ciąży na tutejszym ludzie niektóra szlachta. Jest-to chciwość, niemoralność, rozpusta, bezbożność, pycha w całym swoim cynizmie. W tych czasach właśnie, jeden z podobnych dziedziców tej okolicy i to majątniejszych, tak już przebrał miarkę, że został w kajdany okuty i pod sąd oddany. Dostyc słuchać o

jego sprawkach z mieszkańcami swojego majątku, aby zadrzeć ze zgrozy wszystkimi wnętrznościami, cóż dopiero musi dźać się z gorałem który jest pastwą podobnego zloczyncy, z gorałem którego pewne prawa sam Rząd najwyższy uznaje i szanuje.

Oskarżają goralów o chciwość, i w tej chciwości widzą jedno z główniejszych źródeł pieniania się ich z panami. Prawda że gorał ma za wiele tej wady jak na Słowianina, ale z drugiej strony trudno być wolnym zupełnie od niej temu, co jak gorał nic prawie niema, kiedy nadto ten co ma daleko więcej od niego, chce go poświęcić swojej własnej chciwości. I tu jeszcze zły przykład idzie z góry.

Jakakolwiek jest chciwość gorała, może się do pewnego punktu usprawiedliwić, a nigdy nie jest tak wielka jak naprzykład Szwajcarów. Miłość swojej ziemi mocniejsza w nim od ponęty wszelkiej zysku. Jest-to jeden z pięknych rysów charakteru naszego gorała. Ziemia jego jest mu niewdzięczna, a raczej biedna jak on, zaledwie ma z niej ziemiaki, owies i nabiał: mimo to kocha ją miłością rzadką, nieznaną prawie mieszkańcom ziem hojniejszych. Kilka tygodni oddalenia od gór już wpływa na zdrowie gorała. Goralę brani do wojska austriackiego, stojąc z wojskiem we Włoszech, tak marli z tęsknoty, że musia-no przeprowadzać ich pułki do krajów bliższych górom rodzimym. Gorał, zmuszony potrzebą, puszcza się na zarobek z kosą i sierpem aż za Wisłę, ale jak

najprędzej wraca do domu. Za nic w świecie nie zaprzeda się jak szwajcar, nie uwięzi się w obcym kraju dla Bóg wie jakiego zysku. Wyobrażenie więc o chciwości goralów jest przesadzone. Ma ona swój karb w przywiązaniu do rodzinnej ziemi, jest bez korzenia w sercu gorała; jest raczej niedobrym nabytkiem z obczyzny, której się gorał dotyka bądź u siebie, bądź w swoich przemysłowych i handlowych wędrówkach po za krajem domowym.

Wadę ową wynagradza Gorał trzeźwością, wstrzeźliwością, oszczędnością. Jest w tem do podziwiania i naśladowania. Trudno przestawać na mniejszem, utrzymywać życie pokarmem skromniejszym i lichszym. Stanowią go powszechnie: żur owsiany, i placki owsiane zwane moskałami. Taki jest powszedni pokarm gorała. Ziemiaki nawet mogą się uważać za zbyt kową już potrawę. Przez twardość ziemi i krótkość lata, ziemiaki często chybają; a cóż mówić o innych gatunkach zboża jak naprzykład: żyto lub pszenica. Nabiał także nie jest pokarmem zwykłym, wyjąwszy dla pastérzy w czasie letnim; reszta idzie na sery, a sery po największej części przedają się dla opędzenia innych potrzeb. Jeszcze rzadziej pokazuje się mięso na stole gorała.

Ten sposób życia nietylko że nieszkodzi goralowi, ale można śmiało twierdzić że mu jest bardzo korzystny. On to przyczynia się niemało do utrzymania go w wyższości umysłowej nie tylko nad chłopami

innych okolic, ale nawet nad szlachtą ucywilizowaną, a ciału nadaje tę lekkość, wytrwałość, zdrowie, siłę które wielce odznaczają goralci naszych.

Następnie pracowitość i czynność goralca jest niepospolita. Rzuca się on na wszystkie dostępne mu drogi pracy. Zajmuje się głównie rolnictwem i pasterstwem; oddaje się potem tkactwu, ciesielce, kowalstwu, furmanowaniu, kupiectwu mniejszemu rybami, nabiałem, owcami, strzelectwu i t. d.

W zatrudnieniach rękodzielnych goral rozwija niepospolitą biegłość. Takie wyroby jak naprzykład fajki mosiężne, toporki, torby są roboty krajowej, wychodzą z rąk krajowców i nie tylko że są dobre, ale często w wyższym stopniu ozdobne i piękne.

Nie jest rzeczą nadzwyczajną widzieć zegary ścienne, gdzie wszystkie sztuczki są z drzewa, roboty goralskiej i bardzo dobrze idące. A témczasem jest to dzieło chłopca, który niema ani narzędzi stosownych, ani pojęcia wyższej mechaniki albo wyższych rachunków.

Umysł ich z upodobaniem zwraca się w kierunku spekulacji, niekiedy wyższej. Niedawno jeden goral z tej okolicy, przedsięwziął szczerze zastosować do użytku ludzkiego tajemnicę latania. Kilka lat poświęcił on wymyśleniu i zrobieniu skrzydeł. Mniejsze próbki zadowolniały go i utwierdzały w zamiarze: przyszła wreszcie chwila próby na skalę większą. Zaczął od dachu własnej chaty i poszło mu pomy-

ślnie; to go ośmieliło na większą wysokość, w tym celu wyszedł na skalę znacznej wysokości, rozpuścił swoje skrzydła, wyleciał, ale niemógł utrzymać się długo w potrzebnej równowadze, spadł na ziemię nie po ptaszemu i obie nogi złamał.

Ten przykład maluje przedsiębiorczość goralca, jego odwagę. To samo można widzieć codziennie w położeniach mniej na oko niebezpiecznych, ale w istocie bardzo niebezpiecznych, w ich naprzykład życiu strzeleckim. Tam goral zasługuje prawdziwie na poklask uwielbienia. Widząc tylko miejsce a nie widząc na niem goralca w czynności, trudno przypuścić w człowieku tyle lekkości, tyle zręczności, tyle odwagi. Może to ocenić ten tylko, kto sam dotknął się tych stromów i przepaści. Ja się ich dotknąłem i nie dziwię się tej dumie która, pod różną miarą, ale w każdym goralu się przebija; tej zuchwałości którą napotykamy w innych położeniach jego życia.

Tak jest, goral jest dumny sobą, stąd ma drażliwość miłości własnej. Drażliwość tę podsycają sąsiedzi z równin anekdotami, żarcikami poniżającymi goralca. Niezdolny odbić podobnych pocisków, albo niemi pogardzić, goral zamyka się w sobie z gniewem tłumionym; stąd widziemy często w goralu nieszczerłość i podejrzliwość. Są to jednak stany przypadkowe; goral z natury swojej jest skłonniejszy do otwierania się i łatwowierności. A to z ważnej przyczyny, że goral ma silne religijne uczucie.

Wiara goralą jest głęboka, pobożność szczerą. Księżę ma w poszanowaniu, ale nie jest ich niewolnikiem. Umie i śmie oceniać osobistą ich wartość. Zdarza się naprzykład, że księdzu kazącemu z ambony nie idzie jakby powinno iść w takiej chwili natchnionemu Duchem Świętym, uważaj tylko, a oto gorale jeden za drugim, wysuwają się z kościoła, skupiają się na cmentarzu kościelnym; wtedy jeden z nich, zazwyczaj sędziwszy i poważniejszy, staje pośrodku i przemawia w duchu kazania lepiej, jasniej, z większą godnością i namaszczeniem jak kaznodzieja urzędowy i bywa lepiej wysłuchany.

Wypadki te wśród ludu prostego uderzają mnie niezmiernie; w moich oczach rzucają one wielkie światło na przyszły postęp religijny ludu.

Goral jest jeszcze w tym wyższy od wieśniaków innych stron, że każdy prawie umie czytać i pisać, a nawet kobiety. Ile razy jestem w ich kościółku, widzę księżeczkę nabożną w ręku każdej prawie dziewczyny. Niemała liczba goralów dochodzi do ukształcenia wyższego nad zwyczajne tutaj. Najpodobniejsze im szkoły są księżę Pijarów w Podoleńcu na Spiżu. Tam powszechnie oddają swoje dzieci i stamtąd wielu wychodzi po zupełnym ukończeniu szkół. Spotkasz nieraz goralą za pługiem albo bacą wśród gór który słuchał filozofii, umie po łacinie, a dziś uprawia rolę albo dowodzi trzodami.

W charakterze goralów jest jeszcze przymiot

rzadności. Chaty ich mają pozór przyjemny; budowane z drzewa ale obrobione gładko, starannie, i są obszerne. Przyczynia się zapewne do tego obfitość drzewa, ale jeszcze więcej miłość porządku, czystości i wygody. Izby przestronne — w każdej chacie jedna izba osobna, niby gościnna, gdzie zazwyczaj stoi warsztat tkacki: taki warsztat ma każda prawie rodzina. W chacie utrzymane wszystko czysto, ułożone porządnie. Bydło nie mieszka razem z ludźmi jak naprzykład w Krakowskim, ale pod osobnym dachem. Zagrody wszakże są przestronne, wygodne i dobrze utrzymywane; bo też mieszczą w sobie główny majątek goralą.

Objechawszy nędzne galicyjskie osady, pod Tatrami dopiero pocieszyć się można. Wsie ogromne, ładne; chaty wielkie, piękne, nie rzadko domki murowane. Cała zagroda zapełniona budowlami porządnymi. A temczasem mieszkańcy tych wsi, tych chat nie zbierają ze swojego pola jak kilkanaście korcy zarazem owsa i ziemniaków, a i to jeszcze zły rok nieraz wyniszczy. Ale za to jest pracowitość, rzadność, oszczędność, wstrzeźliwość, przemyśl. Człowiek wiele nie pożąda, obchodzi się jak najmniejszym a pracuje jak najwięcej. Karczmy w powszedni dzień stoją puste; jeżeli napełniają się w dni świąteczne to i wówczas przewodzi umiarkowanie. Niema zbytku w picciu, niema hałasu. Zabawa nacechowana pewną godnością; koszt jej opędza się zwykle składką, którą

w tym celu składają przytomni i chcący należeć do wspólnej biesiadki. Znalazłem ten obyczaj bardzo łudnym i godnym powszechnego nasładowania przez wieśniaków innych okolic. Nie dziw przeto, że gorale mogą się uważać za jeden z ludów używających dobrego bytu. Oni przynajmniej mają się za szczęśliwych na swojej ziemi i dla tego bardzo ją kochają. Mówił mi jeden z nich: gdzieindziej ziemia żyzniejsza, ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie tak zdrowe jak w górach. A gdy tak jest, co im szkodzi że śniegi padają czasem w Czerwcu lub Sierpniu, że urozy do 27 stopni po kilka tygodni trzymają, że zima ciągnie się przez całe sześć miesięcy.

Obyczaje goralów w stosunku do kobiet nie są rozwiązłe, nie są też zbyt ostre. Goral pod tym względem ma wiele wyrozumienia. O zbrodniach z powodu miłości nie słychać; grzechy zdarzają się i trudne są do uniknięcia przy rodzaju takiego życia jakie prowadzi młodzież obojęj płci, szczególnie przez lato: życia wspólnego, odosobnionego, wśród gór i lasów, w wolności zupełnej i prawie w bezczynności. Gorale też między sobą nie są bardzo zazdrośni, nie wymagają od kobiet ścisłej niepokalaności. Dziewka, mająca kilkoro dzieci, może być pewna że dobrze za mąż wyjdzie; dla porządnego gospodarza nie jest rzeczą obojętną mieć w dzieciach naturalnych swojej żony gotowych robotników; nadto mniemają, że podobne kobiety są prawie w ogólności dobre gospodynie.

O ile gorale są w tym względzie wyrozumiali między sobą, o tyle nie lubią ażeby do ich kobiet zalecali się obcy; szczególniejsz szlachta i dworacy. Tacy niech się mają na baczności. Wszakże i tu jest wyjątek, dla szlachcica nawet, skoro umiał sobie pozyskać miłość goralów; przez prawo nad ich sercem zyskał sobie prawo obywatelstwa między nimi.

Podhalanki, ponieważ ich kolej w tym obrazie przychodzi, mogą stanąć bez zaplonienia się obok Podhalan. Mają one liczne i niepospolite wdzięki płci swojej, jak gorale swojej, a nie rzadko w takim stopniu i w takiej pełni, że nic do zarzucenia, nic do żądania nie pozostaje. Odsunawszy na bok majątki, ostateczności jak w pięknym tak w brzydkim, powszechną cechą goralów jest szlachetność rysów: są one zazwyczaj ściągłe, drobne, proporcjonalne, ożywione okiem ciemnym, pełnym, pomiernej wielkości, ociemnione brwiami kształtnie i wyraźnie zakreślonymi, włosiem bujnym, najczęściej ciemnym. Uwieńczeniu temu odpowiada cała budowa, rzadko zbyt wybujała, powszechnie miernej wysokości, smukła, harmonijna we wszystkich swoich częściach, z nogą i ręką małą. Przyznają te zalety swoim kobietom sami gorale, między innymi tą piosenką:

Podhalskie dziewczeczki
Hej! jako sarneczki;
A z dotoń wargule,
Tylko skrobać grule.

Przystosowanie do krępej budowy kobiet na równinach. Płeć goralek przejrzysta, biała, więcej blada jak zarumieniona; takąż barwa i twarzy, co przy żyjącym wyrazie jest tem więcej nęcące jakimś wdziękiem tajemniczym.

W ubiorze goralek, bardzo prostym, zamyka się wszystko na co dobry smak w ubiorze wiejskim zdobyć się może; ma więcej niż nasze ubiory miejskie i salonowe, bo ściśle tylko tyle ile potrzeba do osłonięcia pięknych kształtów ciała, bez obarczenia ich niepotrzebnymi dodatkami. Biorę ubiór dziewcząt, więcej świąteczny jak powszedni, chociaż różnica między nimi bardzo mała. Koszula perkalowa, bez kołnierza, wycięta na piersiach i na plecach, i ściągnięta sznureczkiem; rękawy jej obszerne, marszczone przy pięści, obszyte i związane czerwoną wstążeczką. Na koszuli gorset, przykrojony do kibici, materiałny, najczęściej zielony, obszyty galonem po brzegach; nie uciska on piersi, tylko je robi wydatniejszemi, bo ledwo je w połowie przykrywa; i z przodu zapina się na haftki. Spodnica obrzerna, gęsto fałdowana, z materyi lub perkalu w kwiaty, na spodnicy krótszy od niej fartuszek muslinowy; za obuwie żółte bóty na wysokich podkowach. Po tem wszystkiem spływa z głowy lub ramion aż do ziemi rąbek z muslinu; z pod rąbka przebłyskują na szyi ulubione téj płci błyskotki i ozdoby. Włosy umuskane są aż do zbytku; rozdzielone wierzchem głowy na dwie strony

i splecione w jeden warkocz, spływają po plecach. Strój mężatek ten sam prawie, tylko mniej ozdób i głowa związana chustką, której część tylna rozszerzonym końcem spada ku szyi.

Goralki znają się na swoich wdziękach i troskliwie je pielęgnują. Trudno zobaczyć goralską dziewczynę pracującą pod gołym niebem bez obwiązki, która czoło i całą twarz zakrywa. Patrząc na te twarze obwiązane, na te oczy błyszczące z obłoku płótna, stawały mi w myśli kobiety niektórych okolic wschodu, kryjące podobnym sposobem twarz swoją.

Goralki są śmiałe, przytomne, pracowite jak gorale; są łagodniejsze od goralów, a nawet zalotne. Obyczaje ich są dosyć łatwe. Niemożna się temu dziwić, wzięwszy na uwagę wszystko co usiłuje zepsuć ładną a łatwowierną w swojej prostocie wiejską kobietę. Nie im kamienowanie za to. Broni je tylko ich niewinność do czasu; jeszcze nawet, po utracie tej niewinności, nie widzą szpetności złego w które je wciągnięto. Może to i lepiej dla nich. Może to sprawia że nierząd nie wydaje między ludem prostym tych skutków straszliwych, jakie nas przerażają w ukształcenszej warstwie społeczeństwa.

Bądź co bądź, kobiety goralskie odznaczają się wdziękiem łagodnym, który umila nazbyt może twarde i surowy ogół oblicza tego ludu.

ODJAZD W TARNOWSKIE.

1 Czerwca 1832.

Opuszczam góry na dni kilkanaście; ważna potrzeba odwołuje mię w Tarnowskie. Korzystam z chwil ostatnich, przebiegam okolicę, napawam się życiem które tu dopiero zaczyna się objawiać w swojej pełni. Nietylko przyroda ożywa, ale lud występuje w życiu najpełniejszym, najmiłszym, najrozmaitszym, właściwem jedynie temu krajowi; bo oto nadeszła pora pasterstwa, kiedy gorale wychodzą z trzodami koczować w górach przez całe lato. Ruch ten już się rozpoczyna. Trudno nie widząc wyobrazić go sobie; równie trudno z pierwszego wejrzenia schwycić jego obraz bądź w ogóle bądź w szczegółach; dla tego nie śmiem jeszcze dotknąć go piórem. Zostawiam tę czynność na później, a dzisiaj tylko się nasycam, przenikam, tylko się w nim rozpatruję, tylko go zachowuję w pamięci, odciskam na moich myślach, aby w swoim czasie przedstawić jak najpełniej, jak najwierniej.

— 123 —

Jest-to widok tak nowy, tak niezwykajny, dla tego nawet komu nie jest nowy, tak pełen ruchu, życia wszechstronnego, że go niepodobna schwycić wiernie w całości, od razu, jak niepodobna zapamiętać od razu wielkie dzieło muzyczne. Muszę wprzód nauczyć się tego obrazu. Nie chciałbym dać jego kopii martwej i zimnej. Byłoby to nic nie dać.

POWRÓT NA PODHALE.'

15 Czerwca 1832.

Powracam z Tarnowskiego. Znajduję dom Łopusznej w żałobie: ojciec pani T umarł. Opuścił dom gdzie się urodził, gdzie przeżył lat osmdziesiąt. Pustka w domie po człowieku; żal, smutek w pozostałych; a dokoła, przyroda cała, życie ludu, rozwija się i podnosi. Wszystko więcej żyjące, miłsze, weselsze jak w chwili kiedym się stąd oddalał. Płynmy i my z tym oceanem płynącym w wieczność. Stratom chwilowym chwila żalu i — dalej w drogę. Kiedyś, gdzieś znajdziemy się wszyscy, a témczasem zarabiamy na to, abysmy się znaleźli w miejscu lepszym niż to w którym się rozstajemy, w życiu którego by żadna śmierć nie przerwała. Umiejmy korzystać z obecnej chwili, zasługujmy aby ta chwila znalazła się na drodze nieśmiertelności pożądanej, błogosławionej. Ogólne życie świata naucza nas, daje nam przykład, idzie w swoich korbach,

— 125 —

pełni swoje prawo, jest w każdej chwili czem być powinno w ogóle stworzenia. Korzystajmy z widomego wielkiego przykładu. Starsze dzieci, poprawiamy się na wzór młodszych, kiedyśmy mniej lepsi, mniej posłuszni od nich; kiedyśmy stracili w nas samych nasze prawo, nasz ideał.

NARZECZE PODHALAN. — SŁOWNICZEK.

18 Czerwca 1833.

Nieznacznie, mimowiestnie wędrówka moja wzięła obrót nie w pierwszą myśl moją, a jednak logiczny. Główny początkowo mój przedmiot — Tatry — został podrzędnym, a miejsce jego zastąpił lud jego. Stało się to w skutku przeszkód niezależących odemnie — i nie żałę się na to, przeciwnie znajduję że przypadek był mędrszy niż moje postanowienie. To mi jednak daje do myślenia. Zdawało by się, że Tatry były tylko rzuconą mi ponętą, aby mię zwabić śród tego ludu — abym tak zwabiony, miał sposobność zawiązać z nim stosunek miłości, jak nieraz piękne ciała przyciągają wzajem ku sobie dwie osoby, aby między niemi zawiązał się stosunek ściślejszy, wewnętrzniejszy: ciała wówczas są tylko narzędziami roboty tajemniczej. Podobnie i mnie postawiono w obec tego ludu; zewnętrzność Tatrów posłużyła za narzędzie. Mnie się zdawało, że to powierzchowny urok ziemi, urok zmy-

słowy porywał mię w te strony; bynajmniej — dziś poznaję że to była władza przyciągająca człowieka który je posiada, ducha ludzkiego który je ożywia. Dziś myśl moja o Tatrach spokojniejsza, bez niecierpliwości czekam na chwilę bliższego poznania się, a cały pęd mój zwraca się ku ludowi. Między innemi zadałem sobie pracę nad jego mową, i zebrałem w tym przedmiocie kilka myśli, wpadłem na kilka uwag. Nie powinien on być nikomu obojętny. Naród odbija istotę swoją w swoim języku, więcej niżby się zdawało. Wyobrażenie choćby ogólne o języku goralów może bardzo ułatwić głębsze ich poznanie. Moja praca jest prawie nic. Niepodobna mi dokonać jej tak jak czuję, jakbym pragnął. Jest to nie więcej jak próbka, jak zachęta dla innych, jak ziareczko do przyszłej uprawy na tem polu, a daj Boże! przyszłego plonu.

Pisarze nasi szczególniej powinni by, przez swój własny interes, zająć się mocniej nauką tej rzeczy. Słownik goralski, przedmiotów świata goralskiego, jest według mnie, w naszym języku książkowym dosyć ubogi, nie zdąża w tem za innemi językami, posługiwac się musi nieraz nazwami obcemi a'bo określeniami; kto wie czybyśmy go niezbogacili gdybyśmy się lepiej obeznali z mową Tatranców? Łatwo jest przypuścić, że lud zamieszkujący od wieków góry, musi mieć swoją nazwę dla wszelkiego ich szczegółu. Ja sam natrafiłem już na wyrazy zupełnie mi

nieznane, a nieraz byłem w ich potrzebie i musiałem łątać mój niedostatek jak mogłem: umieszczam je w załączonym tu słowniczku.

Dwa plemiona goralskie gnieźdzą się na całej długości pasma najwyższych Karpat, przynajmniej na ich stoku północnym: gorale zwani ruskiemi i drudzy zwani polskimi; pierwsi mówią po rusku, drudzy mają narzecze właściwe sobie. Siedziba goralów ruskich rozciąga się od Bukowiny aż do Sanockiego obwodu, a nawet Jasielskiego, gdzie w pewnej przestrzeni jest widoczna mieszanina dwóch języków — ale od tego kresu reszta Karpat aż do Morawii osiadła, jest już goralami drugiego plemienia. Mowa, czyli narzecze jego nie jest-to język czysto-polski, nie jest nawet zupełnie Krakowski, mimo to spotykam w niej często na wyrazy znane mi tylko z niektórych dawniejszych pisarzy, takich naprzykład jak Réj, Kochanowski i t. p. Dla tego skłaniam się bardzo ku myśli, że gorale jedni dochowali może w największej czystości polską mowę z owych wieków, gdzie wszystkie języki Słowiańskie, pilnując się więcej spólnego swego źródła, mniej się między sobą różniły. Narzecze albowiem Podhalan, ściśle roztrząsnięte, wydaje się być tylko zlewkiem wielu języków, a głównie polskiego, morawskiego, słowackiego i ruskiego. Prawda, że go dotyczą wszystkie te ludy, i to sąsiedztwo mogło wpłynąć na mowę goralów, co po części mam także za prawdę niezawodną, ale nie idzie zatem żeby jaka

mowa nie miała swego własnego korzenia, swojej posady odwiecznej, swojego tła rodzimego. I ma je niezawodnie. Taki lud jak goralski, z natury swojego położenia, nie łatwo przyjmuje obce, jeszcze trudniej puszcza swoje. Ale dłuższe rozprawianie o tem nie jest moją rzeczą. Chcę tylko dać ogólne wyobrażenie obecnego narzecza Podhalan.

Słowniczek niżej umieszczony, jest-to próbka, powtarzam, bardzo małoznaczna, pokaże jednak niektóre odcienia tej mowy, niektóre jej żywioły. Dla mnie samego była ona nieraz potrąceniem do głębszego zastanowienia się nad kolejami tego ludu, w jego bycie wiekowym. Nie zostało mi wprawdzie nic więcej stąd jak domysły, przypuszczenia, ale je zachowałem w pamięci na przyszłość.

SŁOWNICZEK JĘZYKA PODHALAN.

- hale.** — Tatry — także pastwisko (hala). Najwłaściwiej jednak wyraz ten oznacza góry. — U dawnych Sarmatów góra zwała się także — Ala. — Naród Alanów, wychodził z pod gór Kaukazkich. Jest więc jakieś powinowactwo między wyrazem Alanin a wyrazem **Podhalanin** — który oznacza górala z pod Tatrów.
- Podhale.** — Kraj leżący u podnóża Tatrów.
- Polana.** — Pole czyste wśród gór i lasów, gdzie się trzody latem wypasają.

- Gran.** — Wierzch.
Gronik. — Wierzchołek. Podobieństwo z polskiem gran, zachowanem w wyrazach czworogran, sześciogran, ośmiogramny i t. d.
Tarnia. — Skala naga, stroma. Znalazłem ten wyraz w jednym najdawniejszym Starostwianskim przekładzie psalmów, użyty w znaczeniu wyrazu kolumna.
Uptax — równina między skalami.
Drapa — przykry bok góry, także rozdół, wąwóz skalisty, parów.
Skala — wszelki głaz, kamień.
Borowalzna — miejsce bagniste w górach, zarosłe mchem i kozodrzewiem, a niebezpieczne stąd, że przebiwszy tę powłokę można utonąć w bagnie które jest pod nią.
Miako. — Bagno.
Lax — miejsce wypalone z zarośli na pole.
Hator — pastwisko.
Otawa — potraw, łąka skoszona.
Juhas — pasterz, chodzący około trzody przez czas letniego jej przebywania w górach.
Baca — naczelnik pewnego oddziału Juhasów. U Szwajców batz moneta miedziana.
Barówka. — Chatka pasterska w górach — także
Šzafas — szwajcarskie Chalet, albo
Kaliba — u Czerkiesów Kaliba — pokolenie, to samo co u Szkotów Klan.
Gruby statek — bydło rogate.
Frohny statek — nierogacizna.
Strazyka — owca.
Jarka — owca jałówka.

- Wetula** — koza jałówka.
Zywina — wszelkie bydło.
Kiedel — stado np. owiec.
Hattlar — zrzeniec.
Mucyca. — warzonka wszelkiego rodzaju mleka.
Galca — wiaderko do dojenia.
Watra — ognisko w polu. Wyraz znany na Ukrainie i znaczący ogień w piecu.
Pirkać, wyplekać — odessać, odcykać mleko.
Jedla — jodła.
Smerek — świerk.
Świecik — modrzew.
Zimba — rodzaj cedru w górach.
Seckacze — sterczące przy drzewie reszty uciętych gałęzi.
Kabanica, cieślica — siekiera zwyczajna.
Clupoga, } — mała siekierka, toporek osadzony na ręko-
Wataszka } jeści mniej więcej dłuższej, albo na lasce;
rodzaj broni goralskiej. Zowią ją także: Wachlarz.
Zbożc. — Owies.
Jarzer — jęczmień.
Karpiek — brukiew.
Grala — ziemniak, kartofla.
Monkal — placek owsiany.
Gadzina — domowe ptastwo, drób.
Garek — nietoperz.
Gazda — gospodarz, kmięć.
Mawlasz — górnik.
Baala — kopalnia, ruda żelazna.
Pachotek — zbojca.
Niewiasta — synowa; — ruskie Newistka.

- Fratka** — kochanka (zdaje się z niemieckiego wyrazu Fraulein — panienka).
Kopiniak — płaszcz: wyraz perski oznaczający niemal to samo.
Gajdy — spodnie, bajdawery.
Engiew — baryłka.
Falenko — gorzalka.
Zaglówek — poduszka.
Piparek — cybuch.
Godziny — zegar.
Murań — ma to być każde miasto murowane a raczej miasto grodowe.
Kursa — zabawa składowa w zapusty.
Gwara-hwara — mowa, język.
Hasca — zysk.
Tyżeń — tydzień.
Okodnik — ścieżka po nagich górach.
Perać — ścieżka w górach między zaroślami.
Chodza, rzesta — droga.
Frahonier, furmanier — gościniec bity.
Cieplotka — krzyż, figura przydrożna.
Ztyraz — szubienica.
Centyza — cmentarz.
Jaz — tama wodna.
Stryaz — kra drobna.
Karniawa, fujawica — zamieć zimowa.
Wrężoga — mgła na pogodę.
Ciekawy — złodziej.
Zdatay — oszust.
Swaty — święty.
Swarny — dzielny, tęgi.

- Podufaty** — zuchwały.
Chytry
Wartki } rączy, prędki.
Fryszki }
Nizni — niższy.
Wyżni — wyższy.
Hasnować — zyskiwać.
Pytać — prosić, żądać.
Banować — załować, trapić się.
Naprać — nalożyć, napakować.
Zahubić — zapomnieć.
Zbesnić — zepsieć się, wścieć się.
Chodzić na fraj — chodzić w zaloty.
Kadykać — szybko iść.
Strybać — pić co gęstego, chleptać.
Uladzić — upatrywać, poziierać (ruskie).
Ciarac — mieniać. Ciarach — nienawistne nazwanie Szlachcica u ludu Krakowskiego.
Mistrzukać się — spieszyć się.
Dawać pozor — dawać baczość.
Nlepcé — nielatwo.
Drzewicj — pierwój, dawniej.
Dawalicj — prędzej.
Doolela, datela — dotąd.
Suczcy — przystoi, należy co do czego.
Stebodno — wolno.
Kirkak — na plecach (nieść).
Maj — tak jest.
Bie, Zie — odpowiada czasem mazurskiemu dyć; niekiedy polskiemu ba!

Ażebym dał dokładniejsze jeszcze wyobrażenie o mowie Podhalan, wypiszę tu niektóre sposoby ich mówienia. Są to wyjątki z jednego wiersza, który jest niewątpliwie napisany przez Poetę-górala. Cały wiersz nie zasługuje na umieszczenie; jest ciekawy tylko dla niektórych miejsc malujących duch języka i duch górala.

We wszystkich tych wyjątkach jest-to Goral który mówi.

Skądżeście my, Panasku? o co się pytacie?
Słówka wam nie rozumię, kiepską hwarę macie!

My tu Lachem zowiemy zakrakowskich ludzi,
Bo tam suknie z wielkimi nosą kołnizami.
My tu zaś po goralsku, jak widzicie sami.

Bie! kej jescze Panasku, mam iść dobrą milę.

Juzeksię tu i zestazał, jak widzicie sami.
Nie słysate-'k zeby kto tak robił. . . .
Ty-ta sobie wywodzis jakieś worensyje.

Jescze-bys mnie i styszał, dieboł ci w maciezy.
Miałbys-ci mnie w leb stselić, wpsód ja cię zastsele.
Tylko się smym na tobie wachlázem osmiele.

Znaj-ze wachláz goralski, — tsysta w garle stoi! —
Rozumiałeś ze się cię lada goral boi. —
Dieboł wię na co się was tu skidało tak wiele;
Takeście tu potsební, jako psi w Kościele.
Nie będzies mi się włócył, ty Lutse Marcinie,
Zabiję ja cię, nie trwam (nie dbam) na twoje pytanie (proźbę)
Widzis takie góralskie jest pozalowanie.
Abyścić nieucietyl, mógł byś-ci mię zdradzić.
Wytnę cię w leb wachlázem, wołę ja cię zglądzić.
Kieby nie tak jak ongi padło w Bujakowie,
Co się chłopci natlukli takiego po głowie.
A nie mogli go zabić, az wzięli na Sołę,
A on jescze wypłynął w chwilę, pod stodołę.
A ze chłopci musieli brnąć w Sołę do niego.
Ledwie i tam stłumili bestyę takiego.
Takie to te psy twarde, jak wąż, do zabicia.
Napapezys się dobrze, nim pozbędzie zycia.
Ale ja go zabite-k mam w Bogu nadzieję.

O tak! niech znają ześmy chłopcy swarni
Chociaz wychowani w lasowej owcarni!

Wszystkie te próbki powyższe, jakkolwiek nieliczne, są wyjęte wiernie z ogółu podhalskiego narzecza; powinny więc dać o niem pewne wyobrażenie.

W dopełnieniu ich to jescze powinienem powiedzieć:

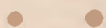
Odgarnąwszy na bok z narzecza podhalskiego niektóre obce mu należałości, znajdziemy w końcu tło

główne, jemu tylko właściwe, odwiecznie rodzinne. Jest to jedno z narzeczy języka polskiego, takie jak mazurskie, śląskie i t. d.; gałąź, więcej niż ze pnia polskiego, bo z tego samego korzenia, co i główny pień polski. Były czasy ich zupełnej jedności, rozdzieliły się później: dzisiejszy pień polski, silniejszy życiem strzelił w najwłaściwszym kierunku i rozrósł się w drzewo główne, inne zostały tylko odroślami bratnimi. Cała budowa języka podhalań, duch jego, członki pojedyncze, wiązanie ich, wszystko w nim okazuje brata językowi polskiemu, brata-bliźniaka. Przyczyna niektórych różnic w tem głównie, że pozostał ciągle językiem ludu nielicznego, oddzielonego, zacienionego i położeniem swoim i sferą tak swoich potrzeb, jak dążeń, w zatoce prądu głównego.

Mowa Podhalań najwięcej się zbliża do Krakowskiej; to samo mazurzenie wyrazów przez wyrzutnię głoski **a**, przez zamienienie litery **a** na **o** szczególnie przed **n**, jak na przykład Pan—Pon.

Jest mu właściwe, i to świadczy o duchu starym tego języka, kończenie pierwszej osoby pojedynczej przez **k** na miejscu naszego **m**; na przykład miałe-k zamiast miałem.

W wielu razach Podhalańin przerabia tylko swoim krojem wyrazy polskie, przez zamianę jednej głoski na inną, w której ma większe upodobanie, jako to: **a** na **o** na przykład: gwara, hwara; **o** albo **u** na **i** na przykład: jadła, jedła; swobodno, ślebodno.



Tak zamienia **e**, na **u**, a w wyrazach pieszczących **e**, na **i**, na przykład: Janeczku — Janiczku; czapeczkę — czapiczku.

Napomykam tylko każdy szczegół — nie zamierałem rozprawy uczonój. Kończę na tem, że język ten brzmi przyjemnie w ustach dobrze mówiącego; wybitny jest we wszystkich odcieniach bądź łagodnych, bądź ostrych, i nagina się do wszystkich; ale trzeba się z nim oswoić aby wszystko łatwo schwycić w rozmowie z gorałem, zwłaszcza, że mowa ich jest więcej szybka jak powolna.

PASTERSTWO W TATRACH. — PIEŚNI
PASTERSKIE.

22 Czerwca 1832.

Gorale są ludem pół-rolniczym, pół-pasterskim, więcej pasterskim jak rolniczym, a może nawet głównie pasterskim. Wielce się przez to wyjaśnia zagadka jego charakteru, odskakiwanie niekiedy od ducha słowiańskiego. Goral jest słowianinem przez miłość namiętą swojej ziemi, którą praca rolnicza około niej bardzo zasila i rozwija, stąd w nim przymioty Słowiańskie, cnoty słowiańskie, dzieci tej miłości; można więc powiedzieć że goral jest słowianinem przez rolnictwo; pasterstwo zbliża go do ludów pasterskich na wschodzie. Przypatrzmy się dobrze goralom z tej strony a znajdziemy dziwne zbliżenie pomiędzy nimi a pasterskimi plemionami naprzykład Arabów — zbliżenie w charakterze, dobrych przymiotach a razem złych skłonnościach. Już to dawno postrzeżono, że jest coś w pasterstwie co zaszczepia w człowieka

— 139 —

pewien rodzaj energii dzikiej; tę energią mają Arabcy którzy są jedynie pasterzami, tę energią mają i nasi gorale, i w tem zostawiają powolnych Słowian za sobą.

Ale w tej chwili patrzę na pasterstwo goralów z innej strony: zachowuję więc ideę powyższą na później, a wracam do przedmiotu właściwego.

Goral jest głównie pasterzem. To jest główne utrzymanie jego życia, główny wdzięk jego życia; to jego praca najglówniejsza, to dla niego najmilsze i najwdzięczniejsze pole pracy.

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć jego życie, jego góry w porze pasterskiej. W rzeczy samej jest co widzieć. Ale wtedy pomijaj wioski i chaty, idź wgóry, drzyj się po górach, szukaj miejsc najustronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy, bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz goralą w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia. Tak ja robię od mojego tu powrotu z pod Tarnowa. Wynagradzam sobie czas stracony i mogę powiedzieć, że w części wynagrodziłem. Co przez ten czas uzbierałem, tego w zupełności słowa nie wydadzą. Podzielę się tem czem się podzielić mogę.

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizacyą; kilka więc słów o tej organizacyi.

Dłuższa zima w Tatrach niż w górach niższych; jałowość Tatrów, a nawet w porze plodniejszej rzadkość pastwisk czyli Polan, zmuszają największą część Podhalan, szukać swojemu dobytkowi pożywienia le-

tniego w oddalonych miejscach, w przedgórzach; jest to konieczne dla handlu nabiałem a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla goral. Na ten cel każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, przedsiębiorców niejako, trudniących się przez lato wyłącznie tym przemysłem; jednemu więc z nich, na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, robić sery i t. d. Taki naczelnym pasterz zowie się Baca. Ma on do pomocy w tym gospodarstwie kilku lub kilkunastu pasterzy, od niego zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią Juhasami. Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem paść powierzoną im trzodę, pilnować jej, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, warzyć rzętycę, urządzać masło, robić sery i t. p. — pod kierunkiem Bacy, który jest naczelnym wodzem Juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed właścicielami powierzonego mu dobytku. Baca też zawiera umowy o polany, bądź z właścicielem jakiej wsi, bądź z gromadą. Osnowa umowy jest zwykle ta, że mu wolno, jeżeli ma do czynienia z gromadą, wypasać swoją trzodę po wszystkich polach, łąkach i lasach w obrębie tej wsi; a po całej własności prywatnej, jeżeli ma do czynienia z pojedynczym właścicielem. Z resztą różne są rodzaje tych umów, stosownie do zobowiązań przyzwolenia obu stron. —

Właściciel ma prawo oznaczać miejsca na koszary, czyli nocne stanowiska trzody; według tego jak chce sobie użyć pewne miejsce nawozem trzody. Stosunek jest często kilkunasto — a nawet kilkadziesiąt letni, dla tego, pośrodku podobnych wypasów, są porządna, drewniana budowa; służy ona Bacu za dom, Juhasom za przytułek; tam nadto składają się wszelkie naczynia pasterskie, urządza się i przechowuje się nabiał; jest to zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn a nawet sklep handlowy. Budynek ten zowie się bacówka — czasem szalas albo koliba. Jest on zwykle porządny, z dobrego i gładko obrobionego drzewa, jak wszystkie budowy goralów, o jednej lub dwu izbach, o jednych drzwiach; okien niema prawie żadnych. Pośrodku bacówki leży wielki kamień, na którym roznieca się ognisko, pod ścianami łóżka ze mchu i paproci; naczynia do nabiału lub z nabiałem są rozmieszczone po półkach lub rozwieszzone po ścianach.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne; całym ich pokarmem chleb i nabiał a głównie rzętyca, czyli przewarzona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszej, gęstszej i posilniejszej. Własność jej lecząca z osłabienia ciała przez wycieńczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Z początku sprawia rozwolnienie żołądka, ale po dniach kilku zaczyna wzmacniać i tuczyć. Psy pasterskie

nieznają także innego pokarmu tylko rzętycę i mają się jak najlepiej.

Niekiedy, wyjątkowo, wyprawiają sobie Juhasy pasterskie uczty. Dzień to zwykle świąteczny a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży w kieliszkach; wówczas przy śpiewach i muzyce ma też miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć przeniosłszy się myślą w kraj równie piękny, pod niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne.

Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach Czerwca, a zamyka się pierwszych dni Września. Przez cały ten czas, Podhale przedstawia widoki nieznanne krajom równym, o których niemożna mieć prawdziwego wyobrażenia, nie dotknąwszy ich własnymi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo, wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę.

Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu Maja; za to też objawia się od razu pełniej niż gdziekolwiek indziej. Roslinność przytłumiona długim zimmem, rozwija się we dwójnasób szybciej i bujniej; zaledwie można się postrzedz na jej przejściu z martwoty do pełnego życia. Cała okolica wychodzi od razu w swoim stroju świątecznym wiosen-

nym, jak kobieta ze swojej gotowalni; uderza cię tym mocniej, że nie musiałeś być świadkiem jej ubierania się.

W owych to dniach ostatnich Maja rozpoczyna się pasterska wędrówka gorali, i rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten prześliczny podnosi jeszcze bardziej młode życie przyrody. Miałem radość być jego świadkiem, a z miejsca nieraz takiego, żem go ogarniał spojrzeniem w części jego najważniejszej.

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu, z ciemnej głębi Tatrów wysuwają się ciemne karawany, nierozpoznane jeszcze, powoli zbliżają się ku tobie, coraz wyraźniejsze, corazogromniejsze, wkrótce kupią się wszystkie w dolinie, zalewają jej przestrzeń, przesuwały się po niej; zaczynasz rozróżniać w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naladowane różnymi sprzętami; po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi, w różnych kierunkach; każdy oddział zmierza ku przedgórzom aż póki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach; ale za to jutro widzisz już wszystkie góry, lasy, polany zaludnione trzodami; słyszysz ze wszystkich stron dzwonki zawieszane u szyi bydła; zewsząd uderza cię granie fletów, skrzypców; ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy i pasterek, a dzikie skały odpowiadają ich hakaniu.

W tej to porze trzeba poznać góry, a kto je tak

pozna, temu trudno nie pokochać je i później nie tęsknić za niemi; tak ja przynajmniej sędzę z tego co sam doznaję.

Życie takie nie ustaje razem ze dniem, długo przeciąga się w noc. Tej chwili szczególnie pilnuję, i wtedy dopiero upojenie jest zupełne. Obieram sobie zazwyczaj miejsce dalekie od wsi, ustronne, wyniesione, w pół omroczone drzewami i czekam aż ucichnie gwar dziennęj muzyki, ryk i dzwonki pasącego się bydła, aż przemoże cisza nocy i okolicy; wtedy rozpoczyna się muzyka nocna, odpowiedniejsza temu, jeżeli bydłę ryknie zablakane, i słyszysz w głosie jego trwożę co zasiadła po dzikich miejscach; jeżeli śpiew się odezwie, to czujesz w nim serce które szuka drugiego serca, a śród tego ztąd i owąd wyrывa się huknienie pastérki ostre, długie, obja się o skały, oblatuje echem całą okolicę i ginie gdzieś w przepaści oddalenia.

Wtedy-to rozlacza się wkoło mnie żyjącem przypomnieniem noc ukraińska ze swojemi utyciami, ze swojemi śpiewami. Tyle - bo jest podobieństwa, w śpiewie szczególniej goralek, w długim jego przeciąganiu, do śpiewu naszych dziewczek, ukraińskiego, tęsknego, wlokącego swój smutek w jakąś nieskończoność, zatrzymującego się na pewnych tonach, jak żeby serce przysłuchiwało się samo sobie, i po chwili ni-
knącego w nieschwyconej nieskończoności. Niema tego uroku śpiewu goralski, jest mniej rzewności, mniej

słodyczy w jego dźwięku, ale wiele go przypomina.

Na próbkę tej muzyki i poezyi umieszczam niektóre ich śpiewy. Może one przeniosą, chociaż jako tako, czucie czytającego w tę chwilę, która mię tyle upaja.

I.

Juhasy, Juhasy, coście owce paśli,
Zgubiłam wianeczek, wyście mi go naśli *)
Juhasy, Juhasy, dyć się Boga bójcie,
Zgubiłam wianeczek dyć mi go powróćcie.
Zgubiłam wianeczek w zielonej ubocy,
Ten mi go powróci, co ma carne ocy.
Dyć-em się taifa, taif się nie będę,
Gotuj kołyseckę, ja pieluski będę:
Gotuj kołyseckę z dzewa limbowego **).
A ja pielusecki z rąbka bielonego

II.

Idzie woda, idzie, z daleka się sieje
Idzie mój Janicek, zdaleka się śmieje
— Idzie woda, idzie, drobny piasek niesie.
Cekaj mię frairko w smerckowanym lesie.
— W potoku za laskiem siwe konie pija.

*) Nalezli. — **) Limba — rodzaj cedru. —
Poda do KARPAT.

Nie chodź tam Janicku, bo cię tam zabiją.
Bodaj-ze ta woda, bodaj-ze zmalala,
Cobym cię Janicku pierwój uwidziała.

III.

Héj! tęskno mi, tęskno, sama niewiem czego;
Bez mego Janicka, dalekom od niego.
Boli mię główecka, serdusko nie cuję;
Héj! nikt tego nie wie, za kim ja banuję *).
Bodaj ten cłek nie zył, bodaj nie wiekował.
Co on to kochanie na świecie fundował.
— Nie płac frairecko, otsyj sobie ocka,
Psyde ja do ciebie jak się ściemni nocka.

IV.

Bodaj cię Bog skarał, bodajes skamieniał,
Jak będzies Janicku odemnie uciekał.
— Widziałaś ty dziwcę, ten kamień nad wodą.
Héj! jak on popłynię, ozenie się s tobą.
— Widział-ześ ty kiedy zeby kamień pływał?
Cemuś się zalecał, kiejc się zenić niemiał?
Leciały gołębje, w źródle wodę piły,
Bodaj cię Janicku moje lzy zabily.

V.

Bodaj ty dziewcyno maliniaku (?) zjadła,
Coś ty Janickowi do serduska wpadła.

*) Banować — tęsknić. —

Chyba cię dziewcyno diabli malowali
Co do twoich licek taką krasę dali,
— Ej! dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
Bo do moich licek takiej krasy tseba.

VI.

Héj! ładnaś dziewcyno, ładnaś i do smaku,
Nie zal mi puść z tobą z hory taj do światu *).
Ja pudę po wirsku, ty pudzies doliną,
Jak się nie zendziemy, to se wezmę inną.

VII.

Werbuja, werbuja i na siłę biorą;
Héj! nase frairki, gdzie się nam podzieją?
Héj! trawka zielona, kto ją będzie kosić?
Jak pudę na wojnę, budę sablę nosić.
Włosy moje, włosy, moje carne włosy,
Nie będą otsąsać s po pod buków rosy.
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni rozbili,
Zeby nam tam bezeń chłopców nie gonili.
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni stsaskali,
Zeby nam do niego chłopców nie bierali.
Nowy Sąc, Nowy Sąc, héj! okragłe miasto;
Do niego syroko, ale z niego ciasno.

*) Do światu — w świat na niziny.

Reszta śpiewków są albo ułamki śpiewów większych, albo śpiewki w duchu Krakowiaków.

Hej! sycko *) ty mnie mój Janicku budził,
Pokiś wianecka u mnie nie wyludził.
Wziąłeś wianecek, weź-ze i mnie samę,
Bo bez wianecka sierotą zostanę.

Nie było mnie w doma, byłem za górami;
Moja frairecka posła z zbójnikami.
Albo się zwerbuję, albo pudę na zbój,
Juz-ci ja frairko nigdy nie budę twój.

Leciały gołębie, leciała ich para,
Kiedy ja cię kocham, to drugiemu wara.

Zasię chłopcy, zasię,
Kupiłem se Kasię;
Dałem krajcar za nią,
Nie patscie mi na nią.

Choćbyś mnie ty matko w sksyni zamykała,
To mię nie upatsyc, kiej ja będę chciała.

W moim ogródecku majeronek bujaj,
Niech do mnie nie chodzi tylko zbójnik sumny.

*) Sycko — wszystko.

Cemu ty dziewczyno nie chces na mnie patsyc,
Jak ja cię nie wezmę, nie wezmie cię Slachcie.

Dziwcęta, dziwcęta, cobyscie wiedziały,
Co to za zaraza ten parobek stary.

Wysoki zamecek,
Wziąłeś mi wianecek,
— Wyzsa jesse skała
Samaś mi go dała.

Ku potoku wartko idę
Caray gawron wodę pije.
Pije, pije, pokrakuje,
Moja miła poplakuje.

Jabym orał, jabym siał,
Jabym ciebie dziwcę chciał,
Kiej-by mi cię chcieli dać,
Umiałbym cię sanować.

Hej niema to jak Juhasom,
Nic nie robią tylko pasą,
Na groniki wybiegają,
Za styzkami pozierają.

Hej niemas-to niemas jako pod Halami.
Nauca cię spiewać dziwki za owcami

Choć ja pod Halami, niechęć Podhalana ;
Zdarłabym se nogi po same kolana.

Dyć-to pod Halami sytko dobrze rodzi :
Owiesek posiejesz, zytko się urodzi.

Podhalskie dziwecki,
Hej! jako sarnecki ;
A z dołów wargule,
Tylko skrobać grule.

Niektóre z wierszy umieszczonych powyżej, mogą być całością skończoną, nakszałt Krakowiaków, o innych mam przekonanie że są urywkami należącemi do pieśni większych. Umieszczam jedno i drugie w nadziei, że ich całość później się odszuka. Jestem za tem aby na polu poezyi gminnej zbierać i składać jak najstaranniej wszystko cokolwiek się nastreczy. Robić brak między niemi w tej chwili, w tym stanie w jakim je dziś mamy, byłoby niewłaściwem i szkodliwem — bo ich wartość pokaże się dopiero obok ich całości, a dziś wszystkie prawie zasługiwały-by na odrzucenie. Lepiej zachować je jak są i starać się o więcej

MUZYKA I TANIEC GORALÓW.

25 Czerwca 1832.

Obraz Podhalan w ogólności a w szczególności ich pasterstwa niebyłby zupełny, gdybym nie powiedział coś o ich muzyce i tańcu: muzyka i taniec są w ich życiu, są w chwilach pełniejszych czuciem, ruchem i wdziękiem, są więc ważną częścią jego życia, nieobojetnym rysem jego oblicza dwustronnego: wewnętrznego i zewnętrznego.

Narzędzia muzyczne najpowszechniejsze między goralami są: skrzypce, gęśl, bas, lira czyli kobza, i dudy to jest dwie piszczałki wprawione w miech z koziej skóry: ale powszechniejsze są flety, piszczałki, fijkarki i dudki rozmaitego rodzaju, nakoniec trąby pasterskie czyli ligawki.

Skrzypce, basetla, gęśl, stanowią muzykę więcej domową, konieczną gdzie są tańce; można jednak czasem usłyszeć skrzypce i gęśl w głębi gór najustronniejszych. Kobza i dudy są najczęściej instrumen-

tami śpiewaków zebrzących, muzyków błędnych. Najulubiensze Juhasom i górom są ligawki i cała rodzina piszczałek. Ligawka służy Juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą; jej to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia ile się razy za nadto rozproszy i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcej; głos jej donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się jak żęby z ich piersi był wydobyty i dziwne robi wrażenie, a nawet bardzo miłe, kiedy się rozlegnie po głuszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach.

Milsze są od niej łagodniejszym dźwiękiem piszczałki. Są one rozmaitego kształtu; zajął mię szczególnie jeden rodzaj, jest to flet otwarty z obu końców i ma tylko dwie dziurki dla dwóch palców, mimo to ma głos dziwnie miły i rozmaity. Wygrywano na nim jak najdokładniej wszelki śpiew goralSKI.

Co się tycze ich muzyki, skala jej nie jest rozległa. Śpiewy ich są posępne, wysilone, przeciągłe, wyobrażają niejako hukanie z jego rozgłosem po górach. Jest w nich pewna jednotonność, dla tego uczenie się ich trudne; udało mi się jeden zrozumieć i zdaje mi się że już wszystkie umiem. Mimo to, słyszane między górami nietylko że nie rażą, że nie męczą, przeciwnie ozywiają, porywają, zachwycają.

Równie trudno dać wyobrażenie o tańcu goralSKIM. W niektórych częściach przypomina on taniec

Rusinow; ale ma jedną figurę właściwą tylko goralom, kiedy gorał zamknięty krążącym kołem taneczników, wyrabia na środku rozmaite skoki, a razem cisną raz poraz siekierką w górę i chwytą ją w powietrzu ze zręcznością zadziwiającą. Nadaje to jakiś męski charakter tańcowi, przypomina wojenne tańce starożytnych.

Muzyka tańca jest całkiem oryginalna, niepodobna do żadnej muzyki tego rodzaju; jest niby jednotonna, ale tak rozmaita, tak jakaś nieskończona, tak dzika w swoim tonowaniu, że mieszkający nawet od dawna między goralami wygrać jej niemogą. I rzadki jest ktoby tego w zupełności dokazał.

Nieraz, słuchając muzyki prostego ludu, żalowałem mocno że nie będąc sam muzykiem, nie jestem zdolny zająć się zebraniem tych melodyi, a razem pragnąłem aby się znaleźli tacy, którzyby temu zatrudnieniu poświęcili część swoich trudów i zdolności. Oddaliby przez to wielką przysługę mianowicie poetom i muzykom. Nieocenione skarby czucia i prawdziwej sztuki leżą w muzyce naszego ludu. Nigdzie też może wielostronny jego charakter ogólny, nie maluje się wybitniej w odcieniach swoich: każda nasza okolica ma w swoich melodyach właściwe sobie piętno. Inny jest śpiew Litwina, inny Ukraińca, inny Mazura, inny Goral; inna skoczność Kołomyjki, a inna Kozaka lub Krakowiaka; smutek głębszy, melancholja niewysłowiona, lubo znajduje się na dnie śpie-

wu wszystkich prawie okolic, ale jak rozmaita, jak malująca oblicze swojej ziemi i serce swoich mieszkańców; widzisz w muzyce dumki ukraińskiej pola Ukrainy nieobejrzone, tęschne a coś w nich głęboko rozrzewniającego, widzisz w śpiewie Litwina jednostonnym, dzikim, puszcze szumiące wiecznym wiatrem, rozlegające się rykiem dzikich zwierząt; widzisz równie w muzyce Gorala jego góry ludne echami, życiem trzód, tętnące całą swobodą nieuglaskaną przyrody i mieszkańca.

Muzyka ludu jest jednym z najzdrowszych źródeł naszej muzyki sztucznej, a muzyka ludów słowiańskich jest może pod tym względem najwyższa. Wiadomo że geniusz Mozarta niemal się zasilł melodyami Słowiańskimi, przesiąkł nawet niemi, ztąd ten urok dzieł jego, który mu daje taką wyższość nad największemi nowoczesnemi mistrzami.

Pan Waclaw z Oleska dał dobry przykład umieszczając niektóre melodye przy swoim zbiorze pieśni galicyjskich, ale jest-to dopiero próbka, bardzo mała w porównaniu z tem co zostaje do zrobienia. Miejmy nadzieję, że się znajdą gorliwi i na tej drodze. Jedna tylko obawa powinna towarzyszyć tej pracy, to jest aby zachować tym melodyom charakter ich ludowy nietknięty. Sztuka nasza, zarażona martwością konwencyonalności, jest tak nieszczęśliwa, że wszystko czego się dotknie, traci natychmiast swoją że tak powiem, dziewiczość duchową, którą miało w życiu

swojem wśród ludu, w piersiach ludu. Jest-to niby to samo, a czujesz że nie to samo — jak kobieta którą znałeś niewinną i widzisz po utracie niewinności. Sztuka nasza odbiera powszechnie tę niewinność utworom gminnym; widzieliśmy to już nieraz na pieśniach ludu wygładzonych niby przez sztukę — nie życzylibyśmy podobnego losu muzyce jego.

NA SKALE TUBNISKA. — GÓBY JAKO POLE
DLA POEZJI.

29 Czerwca 1832.

Lubię bardzo te skały. Odróżniają one tę górę od wszystkich okolicznych, nadają jej pewną dzikość. Drzewa rozsypane po nich, tworzą cień i ustron przychylną głębszym myślom.

Niedaleko mam grotę, której, według wiary miejscowej, duch strzeże. Głęboka w tem prawda. Coż jest czego-by duch nie strzegł? gdzieby na dnie duch niemieszkał? gdziebyśmy się mogli przedrzeć, cobyśmy mogli osiąść, nie porozumiawszy się wprzód z opiekuńczym, panującym tam duchem? W duchu jest źródło i zagadka wszelkiego życia, wszelkiego istnienia. Całe stworzenie widome i niewidome jest czem jest przez Boga, przez Ducha Bożego. Człowiek jest człowiekiem przez ducha ludzkiego, przez część ducha Bożego. Cóż nas upoważnia twierdzić, że skała także, że kamień także niema swojego ducha? Jes!

duch stworzenia, jest duch ludzkości, jest duch narodu, jest duch pojedynczego człowieka, jest duch ogółu, musi być i w każdej części ogółu. — Bóg jest w niebie, na ziemi i na każdym miejscu — wraza nam Kościół tę prawdę od dzieciństwa naszego. Dzieci wierne w dojrzałości swojej niewinności religijnej, kierują podług tej prawdy całe swoje życie; lud prosty, część najdziecinniejsza narodu, trzyma się jej jak najmocniej. Nie żartujmy z tej wiary, bo on zawsze na końcu wygra i zawstydzi naszą mądrość zmysłową, całkiem pelzającą po wierzchu rzeczy. Nie zabijajmy w nim tego uczucia. Biada nam, gdybyśmy potrafili je zabić. Chrystus powiedział o gorszycielach dzieci: kto by zgorszył jednego z tych, byłoby mu lepiej żeby sobie uwiązał kamień młyński u szyi i rzucił się z nim w morze. Słowa te mogą się stosować do gorszycieli ludu, który przez prostotę, przez niewinność swoich wierzeń, jest dzieckiem w obliczu Boga.

Oto jest co mię tak przywiązuje do niego, co mię pobudza stać się podobnym do tych, których aniołowie są zawsze przed obliczem Bożem. patrzą zawsze na prawdę: oto jest co mną kieruje i w tej pracy. Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, powieści, podania, wyobrażenia, nawet przesady i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamyczki mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozaiki poetycznej — nie! wziąłem je z łona życia, jako ży-

jące czucie ludu i za rzecz żyjącą podaję. Chcę je zachować w życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej sztuki.

Kiedy rzucę okiem na cały obszar tego kraju przedemną: kiedy się cofnę w jego wieki przeszłe, kiedy nadewszystko zapuszczę myśl w głębie jego życia, niemogę wstrzymać się od żalu że dotąd poezya nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku widomego, jak np. w nowszych czasach rozlał Walter-Skott na góry swojej ojczyzny. Wiem że to niełatwo, ale nie przez brak poetyczności tej ziemi. Jest ona, a może nawet większa jak w ludzie Szkockim. Tylko trzeba odedrzeć nieco zwierchną jej powłokę, dostać się do głębi, zgodzić swojego ducha z jej duchem, objąć swoim czuciem najżywszem całe jej życie. A wtedy znajdziesz je wszędzie.

Szyller w jednej ze swoich poezyi żali się na zamarcie, na bezdusność świata obecnego, tęskni za życiem duchowem Greków, oplakuje Nimfy, Dryady, wywołuje bóstwa Greków. Żal jego słuszny, kiedy go zastosujemy do świata książkowego; — nie ubolewałby za przeszłością, gdyby zeszedł był do naszego ludu: byłby tam znalazł ów świat ducha, którego świat grecki był tylko zamglonem mętnem przecuciem; byłby znalazł między naszym ludem w świecie który go otacza, życie i Nimfi Najad i Dryad, ale prawdziwsze, wyraźniejsze, bo objawione przez ducha chrześcijańskiego, nie domysły, nie odgadywania.

nie wymysły ludzkie, ale pewność wewnętrzną, silną i oczewistą jak wiara, nieomylną jak światło wiary prawdziwej.

Tak jest! wszystko żyje dla naszego ludu. Przyczyłem na to niemało już świadectw, pozwałam sobie pomnożyć ich liczbę jeszcze kilką nowemi, które, jestem pewny, zajmą same przez się a razem potwierdzają tę prawdę, że lud czuje życie i czucie we wszystkim.

W mniemaniu Podhałań wężę mają swojego króla. Odnacza się on między innymi wielkością, nadzwyczajną pięknnością kolorów i koroną na głowie w kształcie złotego grzebienia. Zagrożony wydaje gwizd donośny, a wtedy wszystkie wężę których ten gwizd doszedł przybywają mu na pomoc.

Bydło, stworzenie niższe od człowieka, ma także swój język, rozmawia między sobą: można je słyszeć w pewnych chwilach a mianowiciej w nocy przed Ś. Jerzym. I oto powiastka z tego powodu. Pewien gospodarz wiedzący o tej tajemnicy, chciał podsłuchać swoje woły, ukrył się więc w oborze i w rzeczy samej po chwili jeden wół westchnął, drugi zapytuje go o przyczynę westchnienia; jutro, rzekł mu pierwszy, czeka nas smutna i ciężka praca — jaka praca? — będziemy wiezli naszego gospodarza na cmętarz. — Wół powiedział prawdę, gospodarz który to słyszał tej nocy jeszcze umarł.

Oko moje w tej chwili zwraca się na górę nie-

daleką zwaną Centyrz, czyli Cmentarz, z czasów jakiejś kłeski niepamiętnej, podobno morowego powietrza; to miejsce dostarcza mi także zajmującą powieść. Jest na tej górze pień ogromnej grubości, z pod którego wychodził czasem duch w postaci Mnicha. W pierwszej chwili zjawienia się był on bardzo mały, ale zaledwo stanął na ziemi rósł nagle i wkrótce przenosił wzrostem swoim najwyższego człowieka. Przybierał on różne postaci, ale najwięcej pokazywał się w sukni mniszkiej lub bieli. Objawienie jego poprzedzała czasem wielka burza, czasem mocny zapach kwiatów. Nierzadko wychodził z wody; a kiedy miał odejść wchodził do wody, rozpościerał nad nią swoją odzież, malał stopniami, aż póki całkiem nie zniknął. Dostyc było mówić o nim, aby się natychmiast pokazał. Nic niemówił, nikomu nic złego nie robił; zapytywany odpowiadał jedynie skinieniem głowy lub ręki. Ostatni człowiek który go spotkał, krzyknął na widok jego: «wszelki duch Pana Boga chwali!» Mnich odpowiedział: «i ja go chwale», po czym natychmiast zniknął i już go odtąd nie widziano. Miał to być duch pokutujący Mnicha, który kiedyś uciekł z klasztoru i został w tych miejscach przez zbójców zabity.

Niektóre tu miejsca są obwiane tajemniczością straszną a niezaprzeczoną. Jedno z takich miejsc znajduje się niedaleko drogi do Morskiego Oka, już w głębi gór. Jest to w lesie ustronnym, odwiecznym, ciemnym i z samego już pozoru niemiłym: a jego wła-

sność, że obudza chęć nadzwyczajną do samobójstwa. W tych kilku ostatnich latach, dwie osoby zastrzeliło się w tem miejscu, obie należały do warstwy wyższej społeczeństwa. Ten sam który mi to opowiadał, jest także człowiek ukształcony i daleki od ślepowierności w zabobony, a zaręczał mi, że przez ciekawość zwiedził to miejsce i wnet poczuł w sobie samym tę chęć odebrania życia sobie; a w sposób tak silny i tak razem nęcący, że nie wie na czemby się skończyło, gdyby nie był zrobił wielkiego wysilenia i nie oddalił się z lasu jak najrychlej.

Może to być dziwne dla niektórych, dla mnie nie jest bynajmniej. Dostyc być prawdziwym chrześcianinem, aby sobie rozwiązać tę zagadkę, przynajmniej do pewnego punktu ogólniejszego. Mamy kościoły, miejsca gdzie człowiek nabiera życia dobrego, siłę ku dobremu, dla tego że są poświęcone duchem Chrystusowym, że są pod władzą ducha Bożego wyłączną; muszą być także miejsca gdzie wyłącznie zły duch panuje. Nasz lud czuje to na pewnych mieszkaniach, a my możemy widzieć na pewnych miastach, na całych narodach uległych mniej więcej złemu lub dobremu duchowi; z tą jedną różnicą, że działanie jego jest tutaj widome, przez narzędzia widome, przez ludzi, a tam mniej widome, przez przedmioty bezwładne na pozór, przez drzewa, przez skały, niekiedy przez utwory sztuki jak obrazy, posągi, książki, albo wcale niewidome, przez bezpośrednie działanie ducha na

ducha, jakiego przykłady każdy z nas mieć może, skoro się zastanowi, albo na samym sobie, albo na innych.

Taka jest ziemia, taki jest lud, nietknięte prawie dotychczas przez naszych poetów. Wiele na tym traci nasza sztuka, nasza literatura. Zaczynaj pierwszy pracę do której innych pędzisz! może mi ktoś powiedzieć — i słusznie. Był-to mój głos wewnętrzny, poszedłem za jego nakazem — zaczynam, ale wiem naprzód że nie zdobędę się na więcej jak na próbkę niedoskonałą. Nie będzie to wina moich chęci, ale położenia całkiem wyjątkowego, a przez które niepodobna mi wejść w życie rzeczywiste tego ludu tak blisko, na tak długo, żebym je mógł schwytać w całej prawdzie dotykanej, co jednak czuję koniecznym dla poety tych okolic. Pole to jest dla pisarzy, którzy będą mieli mniej jak ja przeszkód a więcej przyjaznych okoliczności: na takich ono czeka. Bodajby jak najprędzej wystąpili.

KILKA MYŚLI ROZJAŚNIAJĄCYCH POETYCZNĄ STRONĘ GORALÓW.

4 Lipca 1832.

Zbiрам tu razem kilka myśli które mi w tych czasach przyszły a rozjaśniły dla mnie stronę poetyczną goral. Uważam to za konieczne, jak jest konieczne w mojem przekonaniu zapatrywać się na pojawy duchowe i umysłowe ludu z właściwego jemu stanowiska. Tylko w takim zapatrywaniu się, można je pojąć jak powinny być pojęte, można z nich całą korzyść wyciągnąć. Myśli te chwytane dorywczo niemają widocznego między sobą ciągu i związku, ale wychodzą wszystkie z jednej głównej idei i w jeden punkt uderzają, i to stanowi ich związek zakryty. Czytelnik szukający istoty nie zatrzyma się na formie.

I. Zabobony.

Wielka jest ważność wszelkich podan ludu, jego nawet przesądów i zabobonów: wszędzie tam na dnie

jest głęboka prawda, iskra zadziwiającej wiedzy w przedmiotach niedocieczonych pracą innego rozumu. Wiele razy miałem pokorę przyjąć je jak rzecz ważną, a cierpliwość zbadać, tyle razy znalazłem w głębi prawdę świadczącą jakiejś prawdzie religijnej chrześcijańskiej.

Jest-to korzyść prostoty wewnętrznej ludu. Nie wiele wie ale co wie to dobrze, a nigdy nie powiada że wie dobrze co wie złe, albo że wie czego nie wie w istocie. Pycha rozumu nie zaprowadza go na manowce fałszywych systematów, doktryn, budowania na okruszynie prawdy całego świata fałszu, podawania domysłu, przypuszczenia za pewność i tym podobnie, a co w takiej ważnej części wchodzi do składu naszej cywilizacji. Czego lud nie wie szczerze uznaje że nie wie. Instynktem prawdy widzi natychmiast co jest nad jego pojęcie w pewnej chwili i nie sili się dociekać, a przez to unika zabratenia w fałsze z których czasem niepodobna się wycofać, jak się to nam przydarza; nie stawia się w konieczności wykręcania się przebiegłością rozumu prawdy w fałsz albo fałszu w prawdę.

Lud nie jest nieomylny; nic nad to prawdziwszego dla mnie. Ma przesady, ma zabobony naganne, szkodliwe, i temu niezaprzeczam. Ale nie raz przekonałem się, że potępiamy go z tej strony najczęściej dla tego, że nie umiemy jej zbadać.

Wiele on ma mniemań które odrzucamy jako za-

bobony a w których wina ludu ta tylko, że widzi głębiej, dalej jak my. Zadawałem sobie w tym przedmiocie szczerą pracę, brałem nieraz zabobon po zabobonie, przesąd po przesądzie i najczęściej w zadumieniu korzystałem się przed czystością prawdy, którą w tych skorupach napozór niezgrabnych odkrywałem.

Powiedzmy sobie i tę jeszcze prawdę, że zbyt ostro, zbyt jednostronnie powstajemy na zabobony. Bez wątpienia obrzydliwe bywały czasem skutki przesądów, zabobonów ludu, ale w moich oczach daleko są obrzydlwsze i zgubniejsze skutki fałszywych systematów filozoficznych, teorii politycznych, doktryn religijnych. Mniej straszny dla mnie głupi, zabobonny człowiek ludu, jak przewrotny mędrzec, jak zepsuty człowiek cywilizacji. Wprawdzie przez zabobon ludu palono nieraz na stosach, topiono i spełniano tym podobne zbrodnie, ale policzmy te ofiary i ofiary fałszywych mędrków, przewrotnych reformatorów, a zobaczymy gdzie ich więcej padło — jeżeli wielka liczba na jednej stronie, to na drugiej nieporównanie większa — przez jednych mogły cierpieć części narodu, a przez drugich całe narody giną, a giną w tym co jest najżywotniejsze dla człowieka, tracą życie w Prawdzie. Zobaczymy wtedy przy głębszej bezstronności, tę smutną różnicę między prostotą ludu a cywilizacją, że w jednej znajdujemy pod fałszywą nawet powłoką, najczęściej prawdę zbawienną, a w

drugiej przeciwnie pod pozorami prawd najponętniejszych kryje się najczęściej fałsz najszkodliwszy. Złe ludu prostego jest, można powiedzieć, złe dziecka, a nasze jest złe męża dojrzałego już i wytrawnego w złem

Zawsze ja, dzięki Bogu, wysoko ceniłem tę dziecianną prostotę, tę niewinność wewnętrzną ludu. Straciłem wiele, bardzo wiele, na drodze obecnej cywilizacji, ale dotąd jeszcze przechował się we mnie ten instynkt pierwotnej prostoty ludu, ta struna jego sumienia, to zapamiętanie owej niewinności, owego dzieciństwa uczuć wewnętrznych, przez które każdy człowiek przechodzi, co w życiu późniejszym puszcza tak niebacznie, co tak niedbale strzeże przeciwko Duchowi świata, co tak łatwo pozwala sobie wydrzeć, a przynajmniej zasypać późniejszemu życiu, późniejszemu zepsuciu które nazywa postępem, udoskonaleniem się, a co jest takim postępem, takim udoskonaleniem się, taką dojrzałością, jak nadgniłość dla niektórych owoców; dobre to być może, a nawet konieczne dla niektórych owoców, ale nigdy nie jest dobre dla człowieka, dla owocu Ducha Bożego. Przez ową to resztkę ocaloną dochowałem najdroższą dla mnie rzecz: spójność podstawy wewnętrznej z prostym ludem, miłość ku niemu, zdolność pojmovania go, oceniania, nakoniec łatwiejszy wstęp do jego sfery moralnej, wiele razy potrzebowałem zasilić się prawdziwym poświęceniem się na drogach przez puszcze

naszej cywilizacji, gdzie tak łatwo wzrok olśniewa, kamieniuje czucie, wietrzeje siła prawdziwej oliary.

II. Lud artysta.

Pozwalamy sobie lekce ważyć wiarę ludu w świat ducha, pomiatamy utworami pod którymi lud przedstawia go sobie, uzmysłowia: widziemy w tem nic więcej jak niezgrabną igraszkę fantazyi nieujętej karbami naszej sztuki. Mylimy się, że już nie powiem bluźniemy duchowi jego. Może być że w tem przedstawieniu świata duchowego, lud nie jest artystą podług naszych wyobrażeń, ale to pewna, że istotą utworów jego jest prawda najważniejsza dla człowieka, najniezaprzeczniejsza dla człowieka który nie spadł niżej zwierzęcia, i pomimo nieokrzesania form daleko mniej skażona, przetworzona, sfalszowana, znieważona, jak w naszej sztuce, pod naszymi formami więcej obrobionemi z wierzchu. Lud nie zna się na formach, ale dziwnie zna się na duchu rzeczy; może nie znaleźć formy odpowiednej swoim pomysłom prawdziwym, poczuciom pięknym, ale też fałszowi niedaje formy łudzącej prawdą, nie poświęca formie ducha prawdy.

Może być niedorzecznem wyobrażać sobie świat ducha jak go niekiedy lud wyobraża, odziewać w takie formy w jakie lud niekiedy go odziewa, ale jeszcze niedorzeczniejsza zaprzeczać istnieniu tego świata, wpływowi jego na świat zmysłowy i działaniu

nań pod formami zmysłowemi. Jest-to prawdziwa, mianując rzecz najwłaściwiej, głupota cywilizacji nowoczesnej, wielka, niczém nieusprawiedliwiona, a gorsza w swoich skutkach niż się nam zdaje. Lud prosty pod tym względem jest daleko wyższy, rozumniejszy, więcej chrześcijański od tych, co go za tę wiarę potępiają; oni tłumią, gaszą prawdę na której stoi, przez którą żyje prawdziwie cała budowa prawdy chrześcijańskiej na ziemi, a lud ją uznaje i wprowadza w swoje życie, nieodpowiednio zapewne jej wysokości, ale jak umie i może, a z dobrą wiarą.

Takie źródło i tak cel mają wszystkie jego powieści, podania, wierzenia, a nawet przesady i zabobony. Jest-to jego sztuka, jego literatura; a ma tę wyższość nad naszą, że utwory jej nie są martwe jak nasze posągi, obrazy, poemata, — przeciwnie żyją, działają, wiążą się z życiem ludu, dzielą je, stanowią część żyjącą, działającą jego życia, jego sfery spraw ziemskich, zatrudnień wszelkich, spajają w sposób nieobojętny drabiną snu Jakóbowego, świat niewidzialny ludu ze światem widzialnym.

Postawmy utwory naszych artystów, postawmy bohaterów naszych pieśni, poematów, dramatów, obok utworzonych sposobem ludu przez lud; jak-że oni są niżsi pod względem życia. Byli kiedyś, to prawda, a najczęściej nie byli i doskonale to wiemy naprzód; dajmy jednak że byli i żyli; możemyż ręczyć z całą siłą wiary pewnej siebie, że są i żyją gdzieindziej

jak na płótnie lub w okładkach książki, jeżeli to życiem nazwać można? Inaczej się ma z utworem ludu; dla człowieka ludu był on, jest — niemoże nie być skoro raz był; bo czucie, bo siła twórcza ludu sięga dalej jak do martwego spomnienia, sięga do samego dna rzeczy, do ducha, z tej głębi wszystko czerpie, do niej wszystko odnosi, a tam tylko jest prawdziwe życie i prawdziwa nieśmiertelność. Weźmy np. Bolesława śmiałego w tragedii Wężyka; cóż on jest obok tego Bolesława, który według podania ludu, dotąd się błąka w tych górach, pokutuje, cierpi, nie wyszedł z życia narodu, przechodzi z nim jego koleje, pracuje dla niego, odrabia swoją część złego którą na naród sprowadził.

I takie wyobrażenie jest jedynie głębokie, prawdziwe, jedynie moralne, stawia wielką naukę pod formą sztuki, jest w duchu religii prawdziwej. Nasi zaś bohaterowie są to tylko mumie moralne, zabezpieczone przeciw zupełnemu strupierzeniu papierem, płótnem, kamieniem, na tak długo, jak długo trwa ich upowicie.

To samo na polu malarstwa. Weźmy najpiękniejszą madonę Rafaela i obraz robiący cuda. Cóż mi po obrazie Rafaela obok obrazu cudownego. Jeden dla prostej uciechy zmysłowej, dla oczu, drugi daje mi zdrowie i ciała i ducha, podnosi mię w świat szczęścia najwyższego, w świat zbawienia. Tu prawdziwe życie a tam blask tylko pięknej formy.

III. Sumiennosc ludu w poczyl.

Jest jeszcze drugie źródło wyższości jaką dostrzegam w sztuce ludu, i zasługujące abyśmy i my zbliżyli się ku niemu.

Nikt mi zapewne nie zaprzeczy, że kiedy czytamy jaki nasz poemat a tem bardziej romans, pierwsi niewierzemy w wierną rzeczywistość osób i wypadków opisywanych i gdybyśmy musieli szczerze odpowiedzieć odpowiedzielibyśmy: że ten romans czy to poema jest nic innego tylko igraszka artysty, przystrojona pozorem celu i tonu mniej wlecej powaznego a umyslowiona dla igraszki czytelnika. Lud prosty wierzy w to co tworzy, nie igra ze swoim utworem, ze swoja sztuka, nie rozkoszuje sie nia, ale skoro wchodzi na jej pole to z potrzeby powaznej, dla celu powaznego, przez to pokazuje z jednej strony, wiecej zdrowego sensu, wiecej dobrej wiary, wiecej powaznego umyslu jak w ogolnosc artysci ucywilizowani, a z drugiej dowodzi, ze ma glębokie poczucie prawdziwego zycia, które może być małe w objawianiu się, ale jest silne w swojej istocie.

Sumiennosc ta w literaturze ludu idzie z jego natury, która niema potrzeb zbytowych, idzie z głębi ducha zapełnionego czuciem religijnem, idzie także z jego położenia materialnego. Niedola jego ziemski trzyma go tak mocno w świecie rzeczywistości, w karbie konieczności najściślejszej, że każdy czyn w

którym objawia swoje uczucie, idzie sumiennie z jego uczucia. Nie jemu—to wolno nudzić się nudami dobrego bytu, i w tych nudach, w przesycie zadowolenia materialnego, wymyślać sobie idealne nieszczęścia, trapić się marzeniami, kaleczyć się i boleć przez rozpustę moralną, jedynie dla urozmaicenia życia, dla drażnienia drętwiejących uczuć, dla karmienia bezładu który już wszystko zużył, dla podsycecia żądź konających już po strawieniu wszelkiej swojej pastwy, jak tego przykłady widzimy w sferze ucywilizowanej. Bóg zabezpieczył lud prosty przeciw temu samobójstwu najstraszniejszemu, bo duchowemu. Lud prosty, zwłaszcza nasz, niedomyśla się nawet, nie wyobraża sobie, niezdolny jest wyobrazić sobie stanu podobnego, a następnie niezdolny jest do podobnych chuci. Jeżeli usłyszysz jaką powieść ludu, bądź pewny że jej autor nie dla igraszki ją wymyślił, ale zmuszony był ważną jakąś pobudką, bądź ogólną, bądź osobistą. Napotkasz-li pieśń miłośną? o! niezawodnie twórca jej rzeczywiście, szczerze był zakochany, możesz na to przysiąc — a czy przysięgłbyś sumiennie, że jakiś z naszych poetów kochał rzeczywiście, bo napisał wiersz miłośny, choćby nawet bardzo namiętny? ja przynajmniej nieśmiałybym tego zrobić o ile znam się cokolwiek na naszych poetach. Jeżeli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnem nieszczęściem, przyciśniony szczerym smutkiem, obarczony cierpieniem

a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśni.

Człowiek ludu nie tworzy jej, kiedy w ogólnym skarbcu znajduje odpowiednią całkiem swojej potrzebie, chwytą ją i posługuje się nią jak własną. Nie znajdzie-li takiej? wtedy sam tworzy. A ta samorodność tem łatwiejsza, że nie myśli o formie objawienia, nie zawadzają mu przepisy, wymagania sztuki obliczonej, wymierzonej, wyważonej nie miarą ducha twórczego, ale rozumem który nie zdolny jest przejść po za karby materji: dla śpiewaka z łona ludu prostego dosyć kiedy mu sumienie jego i innych przyświadczy, że w tem co wypowiedział, co wyspiewał jest wierne wydanie jego czucia, jest prawda tak żyjąca w słowach, jak w jego piersi, jak w piersi ogółu.

IV. Kycie wyższe w poczyl ludu.

Jest jeszcze jeden rys który cechuje sztukę poetycką ludu, a który szczególnie wybiją się tu między goralami.

Kiedy my musimy nasze pomysły przylepić do kawałka papieru lub płótna, wdłubywać w bryłę kamienia, tłem utworów ludu jest cała rodzinna ziemia, cały kraj rodzinny, rodzinne niebo a nawet i piekło kiedy tego potrzeba; zgoła cały świat duchowy i widomy. Jak to jest olbrzymie w porównaniu do naszych robót! Chcesz zdarzenia w obrazie? oto tym obrazem jest cała okolica, nie pędzłem skopiowana,

ale namalowana, żyjąca tchem wieków. Trzeba mu posagu dla wypadku lub człowieka, to całą górę w posąg zamienia. Jeżeli puści w obieg jakie uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzyką: jest-li pieśń wesola? to cały lud staje w chór i płąsa i klaszcze w dłonie; jest-li smutną? to z tysiąca oczu łzy płyną. Nidosyc mu na tem; nidosyc mu ziemi, materji, dla niego duch rzeczy jest wszystkiem. — sztuka jego zachodzi w świat ducha. Ktos zasłuzył sobie u niego na pamięć przychylną; więc mu się otwiera na wieki jasny świat wyższy i ztamtąd opromienia sferę swoich braci blaskiem niebieskim, jak za życia świecił czynami cnotliwemi, nie przestaje służyć jako duch tym, którym służył jako człowiek. Inny zarobił na pamięć przekłątą, więc jego miejsce w świecie ducha niższym, podziemnym; i lud widzi go w ognjach i mrokach zatracenia, w łańcuchach niewoli wiekowej, pod chłostą mąk wiekowych, w stanie grzechu przemienionego na karę.

Jednem słowem, jemu koniecznie potrzeba ażeby utwor przeznaczony dla niego, jakiegokolwiek ogromu jest forma, był nakształt świątyni, nakształt kościoła, nakształt kaplicy przydrożnej, bodaj by wreszcie nakształt tego krzyża na samotnej mogile, byleby zawsze w nim trzymał najpierwsze miejsce jego świat nadzmysłowy, jego Bóg, byleby był ożywiony, poświęcony duchem Bożym. I ma takie utwory, miałby

ich więcej i doskonalsze, gdyby nasi mężowie sztuki tak biegli w obrabianiu, w wynajdowaniu form pięknych mieli jeszcze taką miłość, taką cześć dla prawdy, jaką lud ma, gdyby się postawili w takiej zdolności otrzymywania natchnień prawdziwych, o jaką ludowi łatwo, i połączyli sztukę tworzenia formy z potęgą ożywiania jęj tchnieniem świata wyższego, ale nie abstrakcyjnego, tylko rzeczywistego dla ducha, jak ten materialny rzeczywistym jest dla zmysłów człowieka. Chodzi tylko o to aby posiadać niewinność wiary jaką lud posiada, a bez której pisarz religijny jest najobrzydliwszym dla mnie świętokradcą, a jego utwory religijne potworami, które więcej złego rozmnażają między ludźmi jak szczerę bluźnierstwo, jak szczerą bezbożność. Niewinność tę wiary sam Chrystus określił polecając ludziom życie w duchu i prawdzie. — Chrześcianin powinien to rozumieć — Chrześcianin-artysta powinien umieć zastosować to na swoim polu. — Taki Artysta zrozumie wszystko co powiedziałem — potrafi korzystać ze wzoru który mu lud przedstawia.

MELSZTYN. — ZAMCZYSKO

11 Lipca 1832.

Jestem znowu w Mikołajowicach po dwudniowej podróży z Tatrów. Tą razą będę ją sobie przypominał po odwiedzinach w Melsztynie. Dziś dopiero zwiedziłem i dotknąłem się zbliżka szczątków tego zamku.

Przedziierałem się do nich z Zakliczyna. — Dla moczar, które zalegają wielką cześć niziny pomiędzy Zakliczynem a Dunajcem w kierunku Melsztyna, musiałem kołować na wieś Wesolów. Za Wesolowem przeprowiłem się przez Dunajec, zasiany w tej stronie kępami, i drogą po nad Dunajcem dojechałem do podnóża Melsztyńskiej góry.

Z tego miejsca poczyna się wędrówka piesza. Uboczą rozdołu odcinającego z północnej strony Melsztyński szczyt od innych, doszedłem do przerwy w szczątkach północnego muru. Znużony byłem spieką i przykrym wchodem, chciałem więc przedewszyst-

kiem wypocząć, ale w takim miejscu, żeby mieć zarazem pewny widok. Po skruszonych więc murach w których wyraźne jeszcze ślady komnat, dostałem się na strom góry wiszący nad zatoką Dunajca. Z tego miejsca miałem pod okiem trzy niemal boki góry i całe półkole niziny zadunajeckiej z krążącemi koło niej górami. W tym miejscu, dzieło ludzkie spojone z dziełem przedwiecznego Budownika w całym znaczeniu tego wyrazu. Mury zamku z prostopadłą ścianą góry, zdają się tworzyć najściślejszą jedność; zniszczenie nawet dotyka zarówno obojga: ziemia tu, jak matka dzieląca los dziecka, popękała pod rodzinemi gruzami; cały bok góry pokryty potokami niebieskich ulew i ziemskich powodzi, nasterczony powywracanemi drzewami, pogarbiony ogromnemi bryłami oddzierającej się co rok ziemi, tworzy dziką harmonją z osuwającym się Melsztynem.

Orzeźwiwszy się winem i dorodnemi poziomkami, które tu w wielkiej obfitości znalazłem, podziękowawszy za nie miejscowemu duchowi rozwalin, który je tak gościnnie ofiaruje wędrowcom, jakby przez wdzięczność za nawiedzenie jego dziedziny, udałem się grzbietem góry ku zachodniej wieży, najokazalszej i najlepiej dochowanej części tych rozwalin.

Wieża jest kwadratowa, obwiedziona wysokim murowanym tarasem; żadnego już na niej pokrycia; trzy ściany w zupełnej całości, czwarta znacznie u góry wyszczerbiona; w niektórych oknach dochowują

się futryny z ciosowego kamienia; wewnątrz wieży zrujnowane, tylko na ścianach ślady sklepien z których się piętra tworzyły. Podziemna dawniej część wieży zawałona gruzem, zarasta bżem dzikim i innym zielskiem.

Kiedym ją oglądał i przy pięknym krzaku dzikiej róży układał wiązanekę pamiątki z jej kwiatów, postrzegłem ku mnie zbliżającego się człowieka. Pozdrowiliśmy się wzajemnie. •To wy zapewne tutaj mieszkacie? zapytałem go, wskazując na chatkę opartą o mur północy. •Nie, ale niedaleko, zaraz pod górą, we wsi Melsztynie. •Zapewne wiele wiecie o tym zamku i zechcecie nam opowiedzieć. •Jakże nie mam wiedzieć, odpowiedział, już to osmdziesiąt lat z górą jak żyję na tym świecie. •

Pojrzałem na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem; na głowie żadnego prawie włosa siwego, zęby zdrowe, twarz pełna i czerstwa, postawa prosta, w każdym ruchu moc i żywość niezwykle ludziom podobnego wieku: on tymczasem dalej mówił: •ja tutaj urodziłem się i mieszkałem nim poszedłem do wojska. Panowie Tarłowie, panowie Lanckorońscy, do których ten zamek należał, za mojej pamięci żyli. Co to za mocny był zamek! a jakie piękne i bogate pokoje! nie raz, nie tysiąc razy chodziłem po nich; dziś jeszcze mógłbym panom pokazać gdzie co stało. •Właśnie też was prosimy o to. •

Starzec przychylił się chętnie do naszej prośby

Przedewszystkiem poprowadził nas kilkanaście kroków wstecz, ku zachodowi, nad głęboką fosse, która odcinała posadę zamku od reszty góry coraz rozłożystszej i mówił:

•Z tej tylko strony można było do zamku wjechać. Przez tę fosse był most zwodzony, a tutaj gdzie stoimy, wielka brama. •

Zwróciliśmy się potem ku wschodowi. — •W té wieży, mówił dalej, co po prawej ręce, siedziała straż co bramy pilnowała. Na pierwszym i drugim piętrze były piękne pokoje, a pod spodem w ziemi więzienie; jeszcze niedawno można było do niego wchodzić. — Dalej, jak panowie widzicie tę dziurę między drzewami, to była studnia, taka głęboka, że dno jej było równe z wodą Dunajca. Dunajec płynął wtedy po pod samą górą, a od spodu studni szedł aż do niego podziemny kanał. — Cała studnia wyłożona była ciosanym kamieniem; można było dojść aż do jej wody, bo im wyżej, tém była szersza. Niedawno dopiero panowie powybierali z niej kamienie, że były bardzo duże i ładne, przez to się i zasypała. Na prawo za studnią były stajnie, jedne w ziemi a drugie na wierzchu, właśnie w tych samych murach, tylko że się już wszystko zawaliło. Zaraz od stajni, jak te ściany, zaczynały się pokoje; pod spodem były więzienia, a kogo tam raz posadzono, już ten więcej świata nie zobaczył. Na prawej ręce tych pokoi, była kaplica zamkowa. Cały zamek ach!

jaki był piękny, trudno opowiedzieć; wysoki jak wieża, na trzy piętra, pod czerwoną dachówką, szkła w oknach były różnego koloru. Z tej strony, na lewej ręce, jak panowie widzicie ten kawałek muru nad tą chatką, taki mur szedł od bramy aż do pokojów; nic tu nie stało, tylko w murze były dziury do strzelania. Te drzewa jak są dzisiaj tak i dawniej rosły, tylko że niektóre starsze poschły, a drugie mniejsze wtedy, są dzisiaj już wielkie. Mówili starzy ludzie, ale tego za mojej pamięci już nie było, że jak panowie widzicie tę górę gdzie zamek ten stoi, a góra bardzo wysoka, tak od zamku aż na drugi brzeg Dunajca, stał most na słupach, precz, nad te pola, nad ten las, aż tam na drugi brzeg rzeki, że można było jak z dachu spuścić się od zamku za rzekę. . . .

•I przez co ten zamek spustoszał? •

•Trzeba wiedzieć moi panowie, że w tej stronie byli kiedyś konfederaci. Panowie zapewne tego nie pamiętają, ale ja byłem już wtedy dorosły. Otóż stali oni obozem koło Zakliczyna, przez kilka tygodni, w zamku mieszkał wtedy pan Lanckoroński. Pan to był dobry: kiedy naprzykład spotkał chłopów co wódkę swojego dziedzica wieźli, a wiedział że im ciężko na konie, to odykał czopy i wódkę na ziemię wypuszczał; otóż miał on sługę, który niewiem przez co uciekł i przystał do konfederatów; pan Lanckoroński spodziewał się zapewne że mu naprowadzi gości, dla tego wyjechał z zamku, bo był przeciw

konfederatom. Jak raz wpadli konfederaci do zamku, poodbijali piwnice, powypijali co znaleźli, krzyczeli: niech żyje pan Lanckoroński! i dalej butelkami w okna. Było to jeszcze pół biedy; konfederaci natłukli tylko butelki i okna i odjechali sobie, ale zaraz po nich wpadli kozacy i wszystko do góry nogami przewrócili. Od tego czasu nikt tu już nie mieszkał. Zamek coraz bardziej pustoszał. — Pan Lanckoroński umarł, a późniejsi panowie brali kamień, dachówkę na stajnie, na gorzelnie, zwyczajnie na to, z czego są pieniądze. •

Potarłem sobie tylko czoło, przygryzłem wargi na ten argument który dzisiaj zbić trudno. Nagrodziliśmy uprzejmość Wojciecha Kareckiego (tak się starzec nazywa), i kilkokrotnym rzutem oka pożegnawszy rozwaliny odeszliśmy drogą którąśmy przyszli.

Żal obudzony ostatnimi słowy opowiadacza, długo mi towarzyszył i na bolesne naprowadzał uwagi. Dla kilku groszy pomagać losowi niszczącemu, zacierać w zawody z nim ślady podobnych pomników! Tak—żeśmy dalece zmaleli, stracili rodzinne czucie? Wszakże i to prawda, że pewnym ludziom podobne mieszkanie jest smutne w tych wesołych czasach; nie każdy wart mieszkać gdzie jego ojcowie mieszkali, nie pozostaje więc jak zagładzić do szczętu mówiące ich pamiątki. Od tych nic się nie wymaga, nie się im nawet nie wyrzuca. Ale jest część narodu, na której leży obowiązek, jeżeli nie odbudowania zamków,

nie zachowania ich gruzów, to przynajmniej zebrania i podania następcom wszystkiego co pomniki podobne dostarczyć mogą. Węgrzy naprzykład, mają kronikę swoich zamków, czyż i my mieć jej nie możemy? Nie jest to praca nad siły nasze, a korzyść z niej wielka. Jest w tem wielki interes poetów i pisarzy, którzy przyjęli na siebie obowiązek dochować ludowi jego podania, jego pomniki wszelkie, jego życie przeszłe, którzy się podjęli przenieść je w dziedzinę jego umysłową. Niezawodnie literatura nie jest cała w przeszłości, ale przeszłość jest jedną z bogatych jej kopalni. Są w przeszłości chwile, które nigdy przejść nie powinny, jest blask który pada na obecność jak promień ożywczy i którego nie godzi się lekceważyć, są pomniki z których w obecności nowe wyrastają, a więc godne troskliwego pielęgnowania, są źródła życia z zatamowaniem których literatura jeżeli nie wysycha w swoim korycie, to znacznie opada. Dobrze—to, żeśmy zdołali rozżarzyć jej ognisko, pilnujmyż aby nie przygasało, aby pałało coraz wyżej, a to nie stanie się innym sposobem tylko kiedy będziemy je podsycać wszelkiego rodzaju żywiołami, a tych pełne są piersi naszego ludu, naszych dziejów, i w końcu naszej ziemi. Dla tego tak mię porywa każda nasza ruina, dla tego gdybym mógł własnymi siłami, uwiecznićbym każdą przynajmniej w tym stanie, w jakim się obecnie znajduje.

Słońce jeszcze nie zaszło kiedyśmy dojechali do

Panińskiej góry. Czas prześliczny zachęcił nas i ją dzisiaj odwiedzić. W ówczesną godzinę byliśmy na szczycie. Powietrze nadzwyczaj wyjaśnione, słońce spuszczaające się ku zachodowi, odkryły nam całą okolicę w blasku takim, żeśmy nie żalowali tego zбочenia z naszej drogi. Nakreśliłem już dawniej ten obraz, dziś go tylko widzę piękniejszym pod światłem, który nań pada. Ale urok tego rodzaju nie da się ująć w wyrazy.

Przestałem więc tylko na tej rokoszy, ztem z Panińskiej góry powitał miłe mi strony, po górach dziś mi najmiłsze, najprzyjaźniejsze.

PODRÓŻ DO DRUŻBAK.

26 Lipca 1832.

W tych dniach zaznajomiłem się z częścią Węgiei, dawniejszym Spizem, o ile z drogi i w drodze zaznajomić się z jaką okolicą można. Wszakże w jednym jej miejscu przepędziłem kilkanaście dni. Winiem to dwóm kobietom, które dla zdrowia swojego potrzebowwały kąpiel wapiennych które są w Drużbakach. Oprócz mnie było jeszcze dwóch mężczyzn. W takim towarzystwie puściliśmy się do Drużbak.

Podróż to jednodniowa z Łopusznej, droga bardzo ładna i w kilku miejscach mile mię zajęła.

Granicę Węgierską przebyliśmy we wsi Nowa Biała. Droga długo trzyma się Dunajca i w niektórych miejscach jest prześliczna. Oprócz Niedzicy, pod którą przejeżdża się, zachwycił mię widok Czerwonego Klasztoru. Leży on wśród ogromnych lasów z tej strony Dunajca, a tłem jego są Pieniny na drugim już

brzegu. Jest-to miejsce gdzie Dunajec ujęty jest w skały jak w kanał olbrzymi.

Przebyliśmy pasmo Tatrów Magorą. Wysokość jej niepospolita; odznacza się szczególnie silnymi wiatrami, tak silnymi, że porywają ludzi i bydło. Są to jednak chwilowe uderzenia ale bardzo niebezpieczne.

Zatrzymaliśmy się w Podoleniu dla narady z tamtejszym lekarzem. Miasteczko Podoleńca jest mile-słynie szkołami Księży Pijarów; z tego to miejsca rozlewa się oświata na kraj goralski, gorale najchętniej oddają swoje dzieci do Podoleńca. Poznałem jednego z księży Pijarów, była to jedna z chwil miłych dla mnie w tej podróży: był w Polsce i dobrze mówi po polsku choć rodem z tamtych okolic; nadto przypomniał mi moje dzieciństwo szkolne, czas przepędzony w Międzyrzeczku Koreckim, gdzie także Pijarowie trzymali szkoły.

Na obiad stanęliśmy w Kezmarku. Jest-to jedno ze znaczniejszych miast w tej okolicy, i w samej rzeczy pozór jego odpowiada stopniowi na jakim go stawiają. Ma wiele kamienic wcale porządnych. Tu przygrywała nam śród obiadu wędrowna muzyka Cyganów, którzy na Węgrzech słyną jako najbieglejsi muzycy. Granie ich bardzo mi się podobało, nade wszystko że wybierali nasze śpiewy, które dziś obiegają Europę. Tuż przy Kezmarku leży Zamek Tekelego, którego Sobieski pokonał. Jest on dziś pusty ale dobrze zachowany. Nie widziałem jeszcze w

tym rodzaju nic tak ogromnego. Dość spojrzeć na niego aby mieć wyobrażenie o potędze tego co go zamieszkiwał. Ale najpiękniejszą rzeczą w Kezmarku jest widok na Tatry, a mianowicie na Łomnicę i Krywań — widziałem je stąd w całym ich ogromie, bo od Kezmarku aż do nich cała przestrzeń jest prawie płaszczyzną. Z tej strony można wejść aż na sam szczyt Łomnicy. Oddalenie, krótkość czasu swobodnego, nie dozwoliły mi schwycić tego widoku jakbym pragnął.

W dalszej drodze ku Drużbakom co mię uderzało to ogromne wsie. Na Ukrainie tylko widywałem podobne. Są one przytęm porządne, pokazują dobry byt mieszkańców. Lud jest Słowacki, dorodny, przystojny, i postawą i strojem mało się różni od goral podhalskich. Uważa się także za lud goralski i zowie się Tatrańcami.

W późną noc przybyliśmy do Drużbak i stanęliśmy gospodą w głównej oberży, na cały czas kąpiel naszych. Drużbaki, po niemiecku Rauschenbach, leżą w miejscu bardzo przyjemnym, wzgórzystem, w sąsiedztwie gór coraz wyższych i rozległych lasów. Wieś ta, a szczególnie dom gdzieśmy mieszkali, przez swoje położenie na wzniesieniu, ma rozległy i rozmaity widok, zamknięty wysokimi wzgórzami.

Kąpiele Drużbak są dosyć znane: są to wody wapienne, używają ich w potrzebie wzmocnienia się. Dom nasz stał tuż przy sadzawkach z których ta

woda rozprowadza się po łaźniakach. Jest ich kilka ; dosyć obszerne i bijące źródłami. Mnie zajmowały najwięcej skamieniałe dokoła ich od ich wody trawy i rośliny ; zajmowały mię też bardziej, że jeszcze w dzieciństwie słyszałem o takiej wodzie, która w kamień obraca wszystko co w nią włożysz. — O ! jak nieraz pragnąłem dostać tej wody aby utrwalić na zawsze kwiatek który mi się podobał, nie wiedziałem że w tej operacyi utraci największy swój wdzięk, bo barwę, i zostanie tylko kawałkiem wapna nakształt kwiatka. Dotknąłem się teraz tego cudu i oto jeszcze jedno miłe złudzenie dzieciństwa uciekło przed rzeczywistością ! Próbowałem pić tę wodę w mocnym pragnieniu, ale niemogłem, tak znalazłem odrażającym smak jej słodkawy.

Kąpiele w czasie naszego pobytu były wcale nieliczne. Zaludniły się raz szczególniej ale Szlachtą madziarską, którzy tam sprawili sobie łaźnię winem. Po raz-to pierwszy widziałem tę szlachtę w jej naturze. Zdumiałem się nad jej podobieństwem do naszej szlachty, i to nie przez same tylko ogromne wąsy. Gdyby nie mowa obca, byłbym nieraz myślał że jestem na naszym jarmarku, wśród mojej braci jarmarkującej.

Oprócz wód wapiennych były w Drużbakach inne wody ale wręcz im przeciwne bo zabijające. Od k. kilku zniknęły, zostały tylko po nich kotliny. Niewiedząc o tem, naraziłem się raz na rzeczywiste

niebezpieczeństwo. Miejsca te leżą nieco o podał od mieszkań ; w jednej z moich przechadzek natrafiłem na dół, widzę w nim kilka dzieci z boku, przy nich zdechłe żaby i wróble, wszedłem na spód, położyłem się przy jednej dziurze, poczułem jakiś zapach dosyć nawet przyjemny, przybliżyłem się ku dziurze, przytknąłem nos do niej i poznałem że ten zapach stamtąd wychodził : nieumiałem sobie zdać sprawy z tego, zastanawiały mię tylko zdechłe żaby i wróble. Wróciwszy do domu opowiadam moje odkrycie ; przstraszyłem wszystkich, — dopiero dowiaduję się że te dziury, są to otwory źródeł arsenikowych, że w pewnych porach dnia wybucha z nich taki silny wyziew, że zabija ptaki przelatujące blisko w tej chwili, że co widziałem nieżywe to zginęło tym sposobem. Kiedy jeszcze woda była w tem miejscu, Zakonnica jedna z kąpiących się poszła tam nogi wymoczyć, trafiła na porę wyziewu i padła trupem. Podziękowałem za ostrzeżenie, a razem miałem za złe tamtejszemu urzędowi, że nie obwaruje przystępu do podobnego miejsca.

Drużbaki będą mi jeszcze pamiętne burzą którą tam widziałem. Nadeszła ona wieczorem, jak noc najczarniejsza, i całe niebo zaległa i trwała godzin kilka. Mało podobnych burz widziałem i to na Ukrainie. Widok przerażający i zarazem okazały do nieopisania. Użyłem go do woli bo dom z jednej strony ma galerią krytą — tam się umieściłem przed desz-

czem. Był to grzmot i błysk nieprzerwany — światło błyskawic tak silne że jak w dzień widziałem góry najdalsze, drzewa na nich pojedyncze, wioski pod niemi; rozróżniałem kościół wśród wioski. A wszystko wśród ulewy dawno niezapamiętanej w tych stronach. Ogromne też szkody poniosła ta okolica. Wszystkie prawie zboża były wytłuczone i z ziemią zmieszane; wszystkie drogi poryte potokami. Widzieliśmy to sami wracając w dni kilka z Drużbak. Przedstawiano mi tę burzę jako słabą próbkę burzy w górach, która całe lasy wali, całe skały rozdziera swoim grzmotem i stacza w doliny.

Wyjechaliśmy z kąpiel nie słabsi, nie zdrowsi jak przyjechaliśmy do nich. Mój czas przeszedł mi bardzo przyjemnie, a nadewszystko przybyło mi wyobrażenie o Ziemi Spiskiej — i widok Łomnicy. Teraz jestem pewny że ją widziałem.

GÓRA KLUCZKI.

10 Sierpnia 1832.

Powracam z Kluczek, gdzie dopiero dzisiaj byłem po raz pierwszy, chociaż oddawna wybierałem się. Załowałbym tej przewłoki, tyle pięknego ma to miejsce, gdyby mi jej nie wynagrodził z lichwą, dzień dzisiejszy, tyle w nim skorzystało moje uczucie głębsze. Wiem naprzód że słowa pisane ani w części nie wydadzą, co bym pragnął wydać, ale . . . tak jestem pełny tej chwili, tak mi potrzeba wylać się z moich uczuć w jakikolwiek sposób, tak wiele mi zależy aby jakikolwiek ślad dotykalny został po niej, a przytém noc miesięczna taka śliczna, taka cisza, taka swoboda w mojej pustelni; sen gdzieś jeszcze za górami — będę pisał.

Kluczki są jednem ze szczytów w pasmie północnym Łopusznej i najwznioślejszy w tej okolicy. Leży on w dziedzinie Łopusznej, około dwóch godzin drogi. Od kilku dni postanowiliśmy połączyć odwiedzenie tej

góry z wiejską rodzinną biesiadką na jej szczycie. Uskuteczniłszy to dzisiaj. Towarzystwo nasze było liczne; cały dom zacnych moich gospodarzy, przytęm jeden ich krewny i jedna krewna, wyruszył na całodzienne koczowanie, a nadewszystko towarzystwo nasze było dobrane; kobiety miłe, żywe i ładne, mężczyźni mili, żywi, dobrego serca, ukształconego umysłu, a ja? . . . starałem się nagrodzić co mi brakowało miłością dla wszystkich i wdzięcznością za ich przychyłność dla mnie niezastępowaną, a która mię tylko rozrzewnia każdym swoim dowodem. Kobiety musiały jechać dla dzieci i dla przewiezienia wszystkiego co było konieczne do uczy na Kluczkach; my mężczyźni woleliśmy iść pieszo. Dzień do takiej przechadzki nie zły; pochmurno ale za to nie cierpieliśmy od upału, który w tej okolicy o tej porze bywa często nieznośny.

Droga niebardzo wygodna, ale sposobna do jazdy wozem a nadewszystko rozmaita, miła nawet wdziękiem dzikim. Trzyma się najwięcej dolni, rozdołów, dla tego kręci się, brnie przez potoki, obchodzi szczyty leżące w jej kierunku, drapie się po stokach, znowu się spuszcza, odpoczywa niejako czasem w dolinie którą znajdzie na wyżynach, i znowu drze się pod górę. Mysmy się mniej pilnowali drogi, więcej nas zajmowało co się z boku nastęcza, wybaczaliśmy to w lasy, to na wzgórze; czasem przez to przedłużaliśmy ją, czasem prostowaliśmy. Minęliśmy tak wiele

wzgórzów, które nas coraz wyżej podnosiły; zatrzymaliśmy się na Wyźniej, która mi się najwięcej w tępasmie podoba; przebrnęliśmy szczyt Ciarki, powiadam przebrnęliśmy, bo jest pokryty licznymi źródłkami i moczarami. Ostatni to szczyt przed Kluczkami i najwyższy po nim. Tu dopiero droga prawdziwie przykra po stoku Kluczek: niekiedy niebezpieczna dla wozu spuszczającego się z góry zwłaszcza naładowanego. Tutaj goral udaje się do swego sposobu hamowania: uwiązuje z tyłu wozu ogromny konar albo i drzewo mniejsze z gałęzmi ponadcnanami i obróconemi końcem wyższym ku wozowi; gałęzie te ryjąc się w ziemi, zahaczając o kamienie których tutejsze drogi są pełne, tamują pęd wozu i ułatwiają koniom powolne schodzenie z góry. Przebyliśmy i tę drogę i oto jesteśmy na szczycie Kluczek.

Znaleźliśmy spółtowarzyszki nasze krzątające się w szałasie około podwieczorku. Zostawiliśmy je z ich zatrudnieniem, a sami pusciliśmy się na obejrzenie szczytu i widoków z niego dokoła.

Szczyt jest dosyć przestronny, w niektórych miejscach ocieniony drzewami, w największej części odkryty. Widok z niego na wszystkie strony przecudny, obszarem który zajmuje i bogactwem rozmaitości. Można to pojąć, wyobraziwszy sobie wysokość której niema równej w jednych promieniach na kilka mil, w innych na kilkanaście, a w innych Bóg wie jak daleko—gdzie granicą widokresu jest granica

sily ludzkiego oka. Taki kraj leżał przed nami a raczej pod nami. Niemiałem jeszcze w mojem życiu podobnego widoku. Brakowało tylko pogody zupełnej, jasnego powietrza, pożyty blasku słonecznego. Mimo to nie straciliśmy. W obrazie było więcej ruchu, więcej różnorodności życia.

Na południe mieliśmy Tatry.—Grube chmury przewalały się po nich: to je całkiem zasłaniały, to odkrywały raz od spodu, drugi raz od wierzchu, to znowu niektóre szczyty, czasem pewne góry w całym ich ogromie; nierzadko w niektórych miejscach blask słońca zaświecił. Ta walka chmur z pogodą, cienia ze światłem, ta ich gra ustawna na tych olbrzymich klawiszach, była mi daleko miłsza, jak nieruchomość, zadumanie gór pod jednotonnym światłem nieba wypogodzonego, powietrza drzymiącego. Nigdy też Tatry nie wydały mi się tak nęcącymi, nigdy tak różnolotnymi, wieli razy wystąpiły z pod osłony obłoków....

Najograniczeńszy widok mieliśmy wzdłuż pasma wzgórzów, które się przedłużały po prawej i lewej ręce. Najnowszy dla mnie leżał od północy. Cała ta przestrzeń, o ile bliższa oka, pokryta górami, lasami, dolinami, polami, przypominała mi morze które w największym wzburzeniu swoim, nagle z nieruchomiało na wieki: szeregi wzgórzów wyobrażały mi fale jego. W oddaleniu coraz większym wszystko to coraz się spłaszczało, przybierało pozór równiny, której granicą były dopiero góry Świętokrzyskie. Zwróciliśmy

perspektywę ku owej stronie i dostrzegliśmy Kraków; świecił on jak biała plamka na ciemnym tle całej prawie tej przestrzeni. Nie wątpię, że z lepszą perspektywą, a może przy dniu zupełnie jasnym, byliśmy napotkali nie w jednym miejscu naszą Wisłę, teraz odgadywaliśmy tylko jej bieg.

Żalowaliśmy tego chwilę, aleśmy zapominali o tem czego widzieć niemożemy, dla tego co leżało tuż pod naszym okiem. I nie leżało nieruchome. To stąd to zowąd od chwili do chwili wymykały się obłoczki mgliste z pomiędzy gór, z łona lasów, jedne rozszerzają się, rozwieszają się po górach, inne zwiłają się, staczają się na dół, i oto wiatr powionął, a wszystkie te mgły wędrownie, biorą jeden kierunek, dążą ku nam, przepływają pod naszymi nogami i nikną w dalszych górach, a na ich miejsce inne wychodzą.

Przez ten czas przygotowano podwieczorek i wezwano nas. Odbiliśmy tę biesiadkę w szałasie, przy ciepłym ognisku, bo niekiedy przykry chłód zawiewał, a jeszcze więcej przy ciepłym sercu które się między sobą znały, rozumiały, kochały, nie miały nic do tajenia sobie. Była więc swoboda, ochota, prawdziwa radość i wesołość. Było jeszcze dobre jedzenie i wino rzeźwiące. Zgoła nie zrobiliśmy krzywdy temu miejscu, które nieraz patrzy na ochotę uwijających się tam Juhasów.

Po jedzeniu znalazłem sposobność być na chwilę samotnym: jest—to dla mnie konieczność po pewnym

czasie, choćby wśród towarzystwa najmilszego, wśród zabawy najszczęśliwszej. Oddzieliłem się niepostrzeżenie od moich spółbiedników, zdała od szalasu usiadłem pod drzewem — ze spojrzeniem swobodnym na obraz namalowany duchem i siłą Najwyższego Twórcy. Sam teraz byłem; swobodniej mogłem rozpatrzeć się, swobodniej zastanowić się nad tem co widzę. Na com spojrział, nowa myśl budziła się; każdy przedmiot był ostrogą dla myśli. Im dalej puszczałem oko, tem rześniejsze, tem głębsze marzenia podnosiły się z duszy, prowadziły duszę coraz, coraz dalej. — W końcu oko ustało, tylko duch sam szedł i szedł po całym kraju, zatrzymał się na ziemi rodzinnej, w miejscach dzieciństwa i młodości, obszedł towarzyszków niepowrotnej już drogi, pukał do przyjaciół, dotknął serc rodziny! A oniż-to czują? Dla czegoż-by nie czuli? Ta przestrzeń materialna jest dla ciała, nie jest, niemoże być przestrzenią dla ducha. Jestże duch słabszy od pioruna, powolniejszy od światła, mniej przenikliwy jak ciepło, jak elektryczność, mniej czuły jak magnetyzm? Nie! duch jest wyższy nad to wszystko w tych wszystkich przymiotach; duch jest dzieckiem Ducha Bożego, jest Jego obrazem i podobieństwem, ma cząstkę jego istoty, jego potęgi. Ale od niegoż zależy aby go poczuło wiele razy zechce? Alboż niema ludzi którzy nie czują ducha Bożego? Gdzież jest człowiek któryby czuł go w każdej chwili? Ja sam ileż razy jestem w tej nieczułości? Mogę się dziwić że mnie

nie czują, kiedy jestem przy nich całym duchem? Szczęście to jednak wierzyć, że w tej chwili mój przyjaciel, mój brat, moja siostra, zadumała się o mnie, łzy jej popłynęły na moje wspomnienie, pragnie mnie widzieć, wrywa się do mnie, bo duch mój jest przy niej. Postrzegłem obłok który płynął dołem w moją stronę. Pragnąłem zobaczyć w nim postać z mojego kraju, odebrać jakąś wieść przez niego: przepłynął obojętnie. . . .

Niebo temczasem zaczęło rozchmurzać się, powietrze się wyjaśniło, moje marzenia opadały powoli; życie wracało do oka; okolica stanęła przedemną w nowym wdzięku, i znowu widziałem tylko góry i lasy i cały byłem w tym widoku, kiedy za mną głos niewieści zadzwonił, obejrzałem się, spotkałem piękne oczy, zerwałem się z pod mego drzewa, i — żegnaj mi piękny widoku! Bo człowiek jest królem tej przyrody całej, jest nad wszelką przyrodę. Ogrom Tatrów jest okazały, zdumiewający, ale czémże on jest obok wielkiego człowieka! Czémże jest kwiat najpiękniejszy, obok kształtów pięknej kobiety. Mam ją obok siebie z pięknym okiem, z sercem czystym, z duszą niepospolitą, i miałbym się w tej chwili zajmować widokiem, który bez człowieka jest tylko igraszką wzroku. A ja w tem jednym ciele widzę więcej wdzięków jak w najpiękniejszym kwiecie; — lechce mój wzrok barwa kwiatu, ale blask oka kobiety zapala serce miłością, porywa. Cóż kiedy mi-

łość otworzy ten kwiat zamknięty, jedno jej tchnienie a Bóg wie jakiby się skarby odkryły! Szkoda byłaby, piękny, żywy kwiecie! żebyś przeszedł ten świat nieotworzony, nierozwinięty! wielka szkoda dla ludzi. Tyle miłości opromienia ciebie mimo twej wiedzy, mimo twej woli, kiedy wszystkie twoje usiłowania są w tem aby ją ukryć, aby ją stłumić, cóżby to było gdybyś jej dała całą swobodę!...

Wkrótce byliśmy wszyscy razem. Razem jeszcze obchodziliśmy górę i oglądali widoki. Zmierzchać już poczęło, kiedyśmy się wzięli ku domowi. Powrót był nierównie miłszy niż podróż na górę. Wszyscy szliśmy pieszo, dzieci tylko wsadzono w bryczkę. Spuszczaliśmy się prawie ciągle z góry, nie czuliśmy więc żadnego znużenia. W połowie prawie drogi zaskoczyła nas już noc zupełna, ale księżyc czarodziejsko przyświecał. Góry oblane były jego światłem; skały je odbijały; błyszcząły przydrożne potoki jak lustra salonów; iskrzyły się uroszone łąki jak mléczna droga gwiazd niebieskich. A gdzie mieliśmy zarośle, tam krocie świętojanek nam przyświecało, jedne nieruchome w mroku gęstwin, w kępkach trawy, inne skrzydlate przemykały się przed nami, krążyły około nas jak latające gwiazdki. Nigdy nie zapomnę tego wieczora, tej przechadzki nocnej. Zakończyła ona godnie cały ten dzień, którego także nigdy nie zapomnę. Daj Boże więcej podobnych!

WYPRAWA w GŁĄB TATRÓW.

WYPRYTA
GŁEB TATROW

LEŚNICZOWSTWO BUKOWIŃSKIE.

12 Sierpnia 1832.

Właśnie w tych dniach doniesiono nam, że śniegi od dwóch tygodni zginęły, ma się rozumieć w miejscach dostępniejszych, bliższych doliny. Postanowiliśmy nie zwlekać dłużej i wyprawić się w głąb Tatrów; czekaliśmy tylko ustalenia się pogody, która przez te ostatnich dni kilka często się zmieniała. Dziś ją znajdujemy pewną. Niebo wprawdzie chmurzy się, ale barometr idzie w górę; nadto gorale miejscowi zaręczają, a na tém więcej można polegać jak na skazówkach barometru.

Wyruszamy z Łopusznej o czwartej po południu. Towarzystwo z samych mężczyzn; jest nas pięć osób oprócz służącego. Odbywamy tę wędrowkę konno. Opatrzni jesteśmy dobrze w perspektywy, w strzelby, a co najważniejsza w żywność i wino. Każdy, obyczajem wojskowym Rzymskim, dźwiga część tego zapasu w swojej torbie podróżnej. Zasób ten jest

konieczny dla puszczającego się w góry. Prędzej puszczaj się bez broni jak bez żywności. Napad zbójców rzecz nadzwyczajna, ale głód bardzo rychło zajdzie drogę i schwyci cię za wnętrzności, w skutek ruchu, powietrza i wody górskiej. Na karczmy nie rachuj, nie znajdziesz ich tak jak w górach innych krajów; po części przez niedbalstwo krajowców, a w wielu miejscach dla niepokonanych przeszkód miejscowych; latem drogi niepodobne do utrzymania, a zimą i to ośmio lub dziewięćmiesięczną śniegi i mrozy o jakich niēmamy wyobrażenia, skazują te miejsca na wieczną bezludność.

Mieliśmy przed sobą dwie drogi, jedna dalsza przez Nowy targ; jest ona bardzo wygodna dla powozów nawet, ale znacznie dalsza, a dla nas wierzchowych niekonieczna; wzięliśmy więc drugą, mniejszą ale najprostszą przez wsie Nową Białą, Białkę i Bukowinę.

Okolo ósmej wieczorem stanęliśmy w Leśniczostwie Bukowińskim, zrobiwszy dwie mile drogi. Miejsca które zamierzaliśmy widzieć, były przed nami jeszcze o mil trzy i więcej. Musielibyśmy nocować w górach, pod gołym niebem, na jakiej polanie. Jakkolwiek nie mieliśmy wstretu od podobnego noclegu, rozważyliśmy jednak, że polany jeszcze niepokoszone, konie nasze nie miałyby żywności, a przytęm nie byliśmy zabezpieczeni przeciwko nocnemu chładowi, przeto woleliśmy przepędzić noc w leśniczostwie.

Leśniczy, znany moim towarzyszom, uprzejmy, ludzki, nietylko że pierwszy podał nam tę myśl, ale ofiarował się być naszym przewodnikiem, jako najświadoszy tych miejsc przez swój urząd i kilkoletni tu pobyt.

Wszakże i tak dzisiejszy wieczór nie był dla mnie stracony. Leśniczowstwo leży na samym już wchodzie do Tatrów najwyższych, na miejscu bardzo wyniosłem, wesołem i pięknem. Pogoda ustalająca się spędziła z niebios i gór do najmniejszej chmurki; pełny księżyc świecił całym blaskiem; Tatry stały tuż przedemną, w takiej bliskości, w jakiej nie widziałem ich jeszcze dotąd. Niedaleko szumiała Białka w głębokiej dolinie: jednem słowem wieczór ten przeszedł mi jak najmilej, dopóki sen nie nadszedł.

WOŁOSZYN. — ROSTOK POTOK. — SIKLAWA
WODA.— WODOSPAD.— PIĘCIOSTAWY JEZIORA.—
ŚWISTOWA GÓRA. — MORSKIE OKO.

13 Sierpnia 1832 r

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej drogą wygodną, przestronną, urządzoną i utrzymaną kosztem właściciela tych okolic P. Homolacza, która się poczyna od Nowegotargu a przechodzi przez wsie Białe Dunajec, Poronin, Leśniczostwo Bukowińskie aż do Morskiego Oka. Droga ta jest utrzymana jak tylko być może najlepiej tam, gdzie jedna ulewa rozburza najmocniejsze kamienne dzieła.

Śliczny poranek spełnił przypowiednie wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów, wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości; tylko groźniejsze od innych lodowce błyszczały wiecznym śniegiem.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskim a polskim powietrzem; kto go nie skosztował z przy-

prawą świeżości porannej; ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czucia, na całą istotę człowieka: zdaje się że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się a w ówczas powitała nas z boku jakaś rokoszna dolina, jakaś góra naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Tak minęliśmy Niebieską dolinę, polany: Gładową i Klinkówkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Na raz ujrzeliśmy się na Polanie zwanej Łysa, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Do koła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne płaczącem się kozodrzewiem, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwo nędzną murawą i mechem przystrojony, z głową przypruszoną śniegiem, stał tu jak odzwierny.

Pojrzałem do koła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewo-

dniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany! i poświęciłbym lata, przebłąkałbym lata wśród ciebie, gdyby to od mojej woli zależało!

Od Łysej polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż po pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilką laty było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód zwanych Cieplicami, że w czasie najcieńszej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się dla posiłku.— Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić jak powietrze górskie i woda górska trawią dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białką na uboczu góry lażała polana Białowoda; na południe szła droga ku Morskiemu Oku; od zachodu mieliśmy dolinę Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu-stawów i wpada do Białki, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wąska i głęboka na kilkaset sążni, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem; ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy postrzegli że się znajdujemy na wysokości na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już która dzieli państwo świerków od

państwa kozodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę wydającą się pagórkami kilkunastu kroków przy ogromie mas dookoła siedzących; cała jej powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy wyszli, pokazano nam w niezmierniej wysokości dwie dzikie kozy; gołemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwone plamki, dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę; w tym np. miejscu któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jej uboczu, jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień niezatrzymany niczem dla nadzwyczajnej gór spadzi stości stacza się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła, strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności gorali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy, pojedynczo. Strzelec zaopatrzony w żywność na dni

kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, za zwyczaj w jakimś miejscu niedostępnym, przyczają się w skałach i czeka zwierzyny. Wiadomy miejsc i obyczajów zwierza, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści pod jego nogami, wtedy kładzie się na kamieniu połową ciała wychylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrzejsze a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaskoczy; a mgły zwłaszcza na Krywaniu są tak gęste, że człowiek wśród niej nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje tylko siedzieć w miejscu i czekać aż się mgła usunie.

Odpczawszy spuściliśmy się znowu z góry ku wodom Rostoka, i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy eokolwiek wygodniejszą, chociaż głązy i drzewa postręcane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawałone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za to kilkaset-sążniowe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc in-

nych obrazów co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca gdzieśmy wkraczali do strefy już kozodrzewia, ujrzelismy nakoniec Siklawą wodę; jest to wodospad utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego więcej jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący białan, biały jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tem szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tem trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Rostok, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdym kilkadziesiąciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądziemy być u kresu, złudzenie! do spodu Siklawej wody niepodobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczyrych prostopadłych opok; musimy pisać się wyżej. Krótka w prawdzie przeprawa, ale podobnie nużąccej niemieliśmy dotąd, bo po uboczach to skalistych to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dościliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewala się Siklawia woda, i zgrzani, w półomdleni padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Prze-

krojony od sterczącej na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwóma pasmami kilkunasto-łokciowej szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jej wyżłobienie i wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej: a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 50 sążni. Leżąca woda połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa poblizsze miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam, będącym około godziny drugiej z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Ma to być przysionek z lodu otaczający Siklawą wodę. Niepodobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu rozsianych pod tysiącznemi kształtami; i zapewno że takie dzieło mgły niedojrzanej prawie, musi być nadzwyczajne.

Czas naglił; dziś jeszcze mieliśmy być przy morskiem oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym czuciom, i pożegnać wodospad. Pięcio-stawy były teraz celem naszej podróży. Ta sama woda przewodniczyła mi i dalej, drogą równie trudzącą po gła-

zach i siatce kozodrzewia. Sto-kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłej, a raczej ubocza i to przykrego, po którym wśród zwaliska głazów szumi i huczy potok, także wodospad ale nieco wolniejszy i węższy jak Siklawą wodą, postawiły mię w okolicy, jakiej nie podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraźnia nigdy mi nie przedstawiła. Znalazłem się wśród pustyni skał, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć mógłbym przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior,—nad jednym z nich stałem; gdzie niegdzie nad wodą zarośle kozodrzewin, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskru, pliszka niby zabłąkana, zresztą Pan tej całej dziedziny, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to miejsce na moją pieczarę, tyle znalazłem w niem uroku przy najdzikszej samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kociel; dno jego we trzy piętra: najniższe zalane okrągłym jeziorem z którego wypływa potok tworzący Siklawą wodę; brzegi jeziora uzielenione gdzie niegdzie kozodrzewiem i trawą; po lewej ręce, patrząc w południe dwa mniejsze jeziorka, jedno za drugim, po prawej trzecie także niewielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszem, a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wąskimi strumykami ze środkowem najobszerniejszem; kamienny samotny sza-

łas nad jeziorem najwyższem, cisza grobowa tego elbrzymiego ustronia; echo Siklawej wody krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mię do kąpieli w jeziorze nad którym znalazłem się, chciałem też niby ochrzcić się jako przypuszczony już do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla nadzwyczajnie zimnej wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu-stawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu oku. Była czwarta z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę Mnich zwaną, u jej to podnóża na stronie przeciwnej leży Morskie oko; ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich: samo wejście na owe skały nagie, prostopadłe, już nie jednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojej głowy i zręczności nóg, postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt i to wyboczenie nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku, doliną Pięciu-stawów, szło nam jako tako: nie było tam innych zawad jak ogromne kotliny, zavalone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami jak dziś Pięć-stawy, ale w tej chwili zupełnie są bezwodne, dopiero stanawszy na uboczu gór wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy.

Można to sobie wyobrazić jakokolwiek, przedstawisz górę tak wysoką, że dolina Rostok długa przynajmniej półtorej mili, zdawała się nie mieć jak kilkaset sążni, a przytęm gładką prostopadłą niemal i ścieżkę równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, za ledwie poznaną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie roskoszy niebezpieczeństw. Jest to jedno z tych miejsc, które mniej śmieli przebywają tym sposobem, że im zawiązują oczy i postępują prowadzeni przez dwóch goral, z których jeden idzie przodem a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami gorale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności jakie okazywałem w tej przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznym oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy chcąc wypocząć, nie mogłem inaczej tylko oparłszy się o górę której bokiem szedłem takiej prostopadłości są te ściany, a w tedy pod nogami miałem przepaść, nad którą podemną tylko orły krążyły.

Po takiej przeprawie dościliśmy wreszcie grzbietu Swistowej góry. Z tej wysokości, w ogromnej pod nami głębi, dojrzeliliśmy Morskie oko; wtedy poznaliśmy jak znacznie wyżej leżą Pięć-stawy.

Okolo 6-tęj stanęliśmy nad Morskim okiem.

To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi, (nie tęj którą myśmy wzięli) jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwie-

dza, podziwia, a nie jeden opisuje. Morskie oko nie zrobiło na mnie wrażenia jakiego się spodziewałem, niezawodnie dla tego żem już widział Pięcio-stawy. Mimo to zasługuje na to co o niem mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów; brzegów tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć niemożna, a czemu na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, tak mniejszemu wydaje się z powodu olbrzymich wysokości które je dookoła otaczają. I my byliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o niem. W nadziei że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wiosel silnie pędziliśmy; w półgodziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach, nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego oka jest niezmierna. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego oka jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na

to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kocięj podobną. Gorale także powiadają, że przed laty kilkunastu, jakaś ryba nieznaną im, porywała pijące owce a szczególnie czarne: pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia skoro się pokazała i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego oka jest rzeczywiście więcej niż szklanna, przypomina to co wiemy o przezroczystości wody północnych stron Oceanu: na dnie kilkunasto-sążniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego oka. — Pierwszym jest jezioro zwane Czarny-Staw. Leży one we wschodniej stronie Morskiego oka, w obrębie tychże samych szczytów nabrzeżnych, ale na podniesieniu wyższem mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista Mních zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego Zakonnika z odrzuconym kapturem; a dłuższe wpatrzenie się, daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego-Stawu i potoku który

się spuszcza po przepascistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem: zdaje się że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody tworzącej Białkę, każe się domyślać obfitego jej przyplywu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca, jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka jak grzmot największy, obchodzi dookoła jezioro, i w chwili kiedy głuchnie w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tém większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rokoszną tę okolicę. Słoneczna luna błakała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjeźdnym i pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie czekające nas przy Morskiem oku i wróciliśmy do Leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przyprowadziła.

Taka podróż niemoże zaspokoić, rozdrażni tylko, przez pół odsłoni wdzięki gór; pragnąłem ją powtórzyć, inaczej się stało; musiałem przestać na 13 Sierpnia.

KOŚCIELISKO. — ŹRÓDŁO CZARNEGO DUNAJCA. —
SMERCZYN STAW. — GÓRA ORMAK.

22 Sierpnia 1832 r.

Jeszcze w Maju puszczałem się był na zwiedzenie doliny Kościeliskiej. Zdawało się, że w tém przy najmniej miejscu, jako leżącym wśród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł złagodzić niecierpliwość dostania się do wnętrza Tatrów; ale mój zamiar nie miał powodzenia—śnieg, deszcz i mgła witały mię naprzemiau w Kościelisku: zaledwo wyniosłem z owego czasu pamiątkę niższej części doliny i kilku szczytów błyskających naprzemian między chmurami. A témczasem to miejsce uchodzi za jedno z najuroczniejszych w Tatrach, na co i ja się zgodziłem o ile z pierwszego i krótkiego rzutu oka osądzić mogłem: postanowiłem przeto zrobić powtórna wyprawę.

Droga z Nowegotargu do Kościeliska idzie przez wsie: Szaflary, Biały Dunajec, Poronin, Zakopane, zawsze po nad wodą Białego Dunajca; później rzuca

się pod same góry w bujne świerkowe lasy, i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej doliny. Droga ta trzechmilkowa z górą, ubarwiona jest miłą różnorodnością, szczególnie od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdołu, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielonością jakby wśród wiosny; po lasach gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika, jednym słowem przebyliśmy tę drogę bez najmniejszej nudy. Naraz gościnniec zbiegł na odkrytą dolinę i skręcił się ku południowi. — pojrzałem przed siebie, na tę i na tę stronę pasma wysokich gór świerkami okrytych, tylko w jednym miejscu przerwa aż do dna doliny na kilka sążni szeroka, po jednej i po drugiej stronie dwie ogromne skały jak dwie kolumny w bramie, a z pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał — to wjazd na Kościeliską dolinę! Minąwszy wspomnianą bramę, ujrzeliśmy się na rokosznej płaskiej dolinie, owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższej darni, ocieniały dokoła góry i lasy ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszem nad inne dziełem przyrody: po prawej ręce szumiał pod górami Dunajec; gdzie niegdzie z pomiędzy gór lesistych wytykały nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem; droga wyprostowana, wysadzona drzewami szła środkiem płaszczyzny i nikała w wąwozie który się zamykał dalekimi górami — ta mała dolina, to przysio-

nek Kościeliska! Gdzie ona zwęża się tam się zaczyna właściwa dolina Kościeliska. Hamernia i budowy należące do niej zapełniają początek doliny. Jest tu także oprócz wygodnej murowanej oberży, kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed laty kilką, Homolacz, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Wieczorem 21 Sierpnia przyjechaliśmy do Kościeliska, dla tego zwiedzanie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz. Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całej doliny. Długość jej ma wysokości półtory mili; dno tak wąskie, zwłaszcza w części najniższej, że między potokiem który je przebiega a górami bocznymi droga za ledwo się przeciska. Góry tworzące Kościeliską dolinę są jedyne w swoim składzie, jedne z najpiękniejszych w rodzinie Tatrów. Pomiedzy niemi, po lewej ręce idąc w głąb doliny, są: Gewoszt, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty Miętuska, Uplaz i t. d. — po prawej Tomanawo, Turnie, Smytnia i t. d. Ormak lub Pyszna, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolistymi pierściami dolinę Kościeliską od południa i odcina ją od Węgier. Z resztą każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach, ma swoje nazwisko, ale tych i dowiedzieć się i wyliczyć trudno. Boki gór po większej części bardzo przykre, w niższej strefie mają wiele różnorodności, tu pięknym lasem porośłe, tu ze stromych skał nagich obwieszane drze-

wami to rosnącemi to powalonemi przez coroczne ulewy i wichry w rozmaitych położeniach; dalej usłane kozodrzewiem, a najwyżej nagie.

Ciekawy jest początek nazwiska tej doliny. Podczas jakichś wojen w Polsce, wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Gorale udali że się cofają przed większą liczbą i tym ruchem wprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, poczem przeciąwszy im w ciasnych miejscach odwrót, głazami i drzewami spuszczanemi ze szczytów do jednego ich zniesli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości ta dolina przewana została Kościelisko. Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie leżącej pod Gwontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanej dziś Biały potok; zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone po niej kości ludzkie do niezliczenia. Tę klęskę według jednej powieści mieli ponieść Szwedzi, według innej Tatarzy.

Nazajutrz przy pięknej i pewnej pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie,

Pierwsze stanowisko jest zaraz niedaleko Hamerni, przy źródłach Czarnego Dunajca. Jedno z nich leży na malenkiej płaszczynie pod Uplazem, w kształcie okrągłego zwierciadła, spokojne takż jak powierzchnia zwierciadła, chociaż woda jego rozlewa się na dwie strony nadzwyczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset kroków dalej bije drugie źródło obfitsze, ciekawsze,

już to przez położenie swoje, już przez podanie przywiązane do niego. Później obszerniej o niem powiem.

W południowej ścianie Uplazu znajduje się pieczara zbójców. Aby dostać się do niej, potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jej grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół; cała ta droga idzie gęstym lasem, i tylko drzewa poznaczone siekierą są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza, w ścianach ma otwory zastępujące okna, wewnątrz kamienne tamy, a w samym końcu źródło. Przed laty kilką znaleziono przy tem źródle kości ludzkie, do podziwienia wielkie: według powieści goralskich, miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier, Junoszyka. Przystęp do pieczary bardzo przykry i zasłoniiony gęstwiną drzew; ale widok z niej ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszną, napotyka się ogromna skała, którą lud zowie Sową, dla jej podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze dalej masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał zamek, opatrzony wszystkimi prawie częściami murowanej warowni.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożystej; parowy łagodniej są wyżłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tem już położeniu, na wysokim przedstoniu Pysznej leży Smerczyn Staw. Obszerne to do-

syć jezioro, ustronnego wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca, ale je szpeci przystęp najeżony pniami zrabanego lasu; sama też woda niema czystości wód górskich a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niej.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie czyli miejsca skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkanastu laty, czy więcej, woda zalała. Piękne bardzo maszyny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Cokolwiek napotkaliśmy dotąd było pod pewnym względem ciekawe, zajmujące, często piękne, ale my śpieszyliśmy do uciechy wyższej, do obejrzenia tego wszystkiego jednym rzutem oka, do skupienia tych wszystkich wrażeń w jednym uczuciu ogólnym, pełnym, śpieszyliśmy na szczyt Ormaku. Obejrawszy przeto mimochodem niejedną przedmiot zajmujący, obok tego natrudziwszy się niemało i po niejednym spoczynku pod górą, dosięgliśmy nareszcie zamierzonego celu, upragnionego punktu.

Weszliśmy na Ormak w tym właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swojemi dwa jego szczyty: zachodni i wschodni, a na które mówiąc, nawiasem, niemieliśmy ani chęci ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka: zaniechaliśmy tego tem chętniej, że

spomniony grzbiet góry albo siodło, jak go tu zowią, pokazywałyby nam ze swojej wysokości wszystko prawie co z większej moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przedewszystkiem musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem, korzystaliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzelśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt gdzieśmy się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyzna tego grzbietu, rozdzielają dwa narody, dwa klimata. Od północy dolina Kościeliska, uroczą różnaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości; od południa także dolina do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnaitości któremi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, na Węgierskiej ślady dogorywającego lata; po pierwszej błękitnieją, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonnejsze kwiaty, na drugiej zaledwie gdzie niegdzie żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiedła już trawa i mech płowieją. Cały widok na Galicyą różnaitszy i ma więcej życia, na Węgry może roz-

leglejszy ale bardziej pusty; tyle lasów, tyle płaszczyny bezludnej, przedgórze tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesu, ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zeszlśmy na powrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządnią baczówką. Owce właśnie zeszyły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzelśmy kilku pasterzy krzątających się około baczówki, weszliśmy do niej aby napić się rzętycy i kupić serów. Rzętyca tu daleko lepsza i zdrowsza niż w przedgórzach leżących z tamtej strony Nowotarskiej doliny, a przyczyna tego w balsamiczniejszej paszy. Z półgodziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! co za życie i zręczność w każdym ruchu! jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas przez który trzody w górach się pasą. spodnie sukienne białe, ociste, z czerwonym szwem w nogawicach i wyszywaniem na brzuchu, z węgierska; ciżmy krótkie, przysnurowane rzemieniami do wysokości połowy łytek; szeroki pas skórzany, za pasem z lewego boku nóż duży w pochwie skórzanej, przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe

zygzaki, z ogromnemi u wierzchniej części frenzlami; koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka z licznymi łańcuszkami dosyć długimi; rękawy koszuli sfałdowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciorek; na głowie kapelusik z wąskimi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa; w rękę siekiérka na długiej lasce zwana wataszką lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkoccalowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby jako spinki, i także mosiężne fajki, wyrabiają się we wsi Zab-suchy, niedaleko Kościeliska.

Między innemi rzeczami gadali nam Juhasy o zbójcach. Zwyczajnie goieżdżą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilką dniami Juhasy, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp aż do głowy. Każdy z nich oprócz siekiérki, noża i pistoletów, ma jeszcze ze trzy rusznice. Juhasom nie robią wiele złego: wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają z sobą, i w końcu przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. — A gorale spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z goralami wojnę prowadzą.

Okolo piątej z południa stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca, o którym już wyżej napomknąłem. W tej chwili niem głównie się zajęłem. Wybucho ono wielkimi bałwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary znajdującej się u podnóża Uplazu. Naga skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną Księgą dla zwiedzających dolinę Kościeliską. Miękki jej kamień okryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitej mowy, rozmaitej treści; imionami i nazwiskami osób wszelkiej płci, wieku, stanu i narodu. Jakiegokolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie źródło i pieczara z której bilo. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce, dotarto nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukateriami z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby dyamentowa; że pośrodku sali leży małe jeziorko, właściwe źródło Dunajca: odtrąciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzylem w salę i zdobiące ją stukatury. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tem miejscu srebro; w tem podaniu nie mogłem dostrzedz poetycznej strony. Niektórzy twierdzili, że tem podziemniem trzy dni i trzy noce iść potrzeba aby dojść do źródła, że nawet w końcu tej wędrówki można się było obaczyć na szczycie ja-

kiejs góry, na to-bym się nie odważył. Inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pieczarze oburzało Ducha mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tem się nie trwożyłem, i postanowiłem w ciemnym siedlisku Ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzylem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy jako to: świeczki woskowe, zapałki chemiczne, pulares i t. p. wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżej nad kolana, parła mię wciąż na powrót ku żyjącemu światu; przytem dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się: w takiej walce z pędem wody nieraz już pochyliłem się i zamoczyłem po szyję prawie. Trzymałem się jednak jak mogłem, chołdziło mi najwięcej o światło, bez którego czulem że byłoby mi źle w miejscu ciemnym, nieświadomem i zalanem wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód; szum wody coraz głuszej rozlegał się w podziemiu; ale dotąd szedłem w prostej linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego zaziierającego w otwór: naraz po-

śliznąłem się, upadłem i świeca mi zgasła. Chciałem korzystać z zapalek, na nic się nie przydały: powietrze w podziemiu nasiękłe wilgocią, a przytęm wietrzyk mały, skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wodu, zgasły mi każdy siarniczek, że w końcu nie pozostawało mi jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się weń powtórę, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosiłem kresu poprzedniej wyprawy, świecę zasłaniałem jak mogłem, wszakże jej światło coraz bardziej młalo. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mnie dokoła; batwany wody za każdym krokiem silniej uderzały i huczały głośniej; stanąłem na chwilę: huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali, mieszanina tysięcy najsprzecznějších tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nic podobnego w życiu mojem nie słyszałem; niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię na prawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdało mi się w tej chwili że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczną przesuwać się przed okiem jak poczęły już przelatywać po myślach; spodziewałem się co chwila że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór niezajomy dotąd światu objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych

i tajemnic podań ludowych; szedłem jednak — wkrótce pęd wody wolniej — trafiam nogą na tram kilkołokciowy, przyglądam się mu, obrobiony widocznie ręką ludzką, co on tu robił? tego nie potrafię wytłumaczyć. Opięrając się ręką o ścianę, trafiłem na wyżłobienie i znalazłem w niem kawałki szkła potłuczonego — musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnej przestrzeni, mającej obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskim, że ledwie wyprostować się mogłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś pokrywająca jego dno była spokojna i płytsza: zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszyły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniej groziła zgaśnięciem. Niezważając na to powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do kurytarza z kąd bije nurt najmocniejszy, w tem dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie, ta którą przyszedłem; łatwo więc, chociaż omackiem, trafiłem na nią trzymając się przytęm fali najgwałtowniejszej i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy.

Tą razą puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnej zgrozy słabiej już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szkłem osłonięta, pomogła mi jaśniej widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużej jaskinię w której wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło

przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałej wilgoci. Posunąłem się dalej. Z początku zdawało mi się że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek; obejrzałem każdą, niektóre nie miały długości jak kilka łokci, inne obiegały tylko jako gład i łączyły się z głównym przecho- dem; po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością której doznam stanąwszy w owej sali, która w podobnym miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego; ale sklepienie wycięte pod kątem, coraz się bardziej zniżalo i zwężało; chyliłem się dopóki tylko mogłem, przysiadalem, mimo to poznałem wkrótce że dalej nikt by posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny i to tak ciasnej, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować.

Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoilem ciekawość. Jakkolwiek nie trafilem w niej na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy odemnie potrafi głębiej się zapuścić i odkryć te dziwa o których podanie zapewnia. Co do mnie, z tego com dokonał i z chwili przepędzonej w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak miłe wspomnienia, że jeszcze chętniebym powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję żebym wrócił nie bez zdobyczy, jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwykajnych tylko po-
łożeniach budzi się wewnętrzne życie człowieka.

WIDOK Z CZORSZTYNA.

26 Sierpnia 1833 r.

Słońce spuszcza się z południa; niebo w pół wypogodzone. Przejrzysta sześoga obwiewa dolinę lekką zasłoną. Wierzchołek Babięj góry dymi, jak przygasły Wulkan, słupem obłoków rozplywających się nad jej czołem, jak pióra bujnej kity. Powódź chmur, waląc się od zachodu, pnie się jak do szturmum po niższych stopniach Tatrów ku najwyższym szczytom; jedne znikają w białawych olbrzymich kłębach, inne, zalane na chwilę, wybijają się na wierzch; podarte chmury spływają po nagich bokach olbrzymiej skalistej twierdzy, ale nadchodzą nowe posiłki, szczyty zwycięskie przed chwilą, toną w nawale następnej. Wkrótce chmurna chorągiew nawałnicy powionęła rozwinięta na najwyższych wieżach grodu niezmiernego; wszystkie jego szczyty zniknęły w powodzi obłoków, a tryumfująca niepogoda za-
legła jak obozem cały plac boju, i na najniższych

lasach rozbiła swoje namioty. Podtenczas cała dolina przypatruje się obliczem pokoju całej tej walce; blask żadnego strzału nie razi jej spojrzenia, żaden grzmot strzału nie dochodzi jej słuchu, chyba cień przelotnej chmurki przemknął się kiedy niekiedy po jej oświetlonej płaszczyźnie; i owszem, przy tém ciemnym tle dalekiej burzy, żywiej jaśnieje zielen polan i złoto pól dojrzałym już zbożem okrytych. Z resztą wszystko spokojne, bezpieczne; prostym gościńcem snują się grupy pracujących, roją się niemi zagrody wiejskie, ożywione niemi pola. Ale nad wszelki urok tego obrazu, najuroczniejszy jest widok wód doliny. Nic nie zdoła wyobrazić tego blasku co odznaczał Białkę w namiętym jej pędzie *) ku Dunajcowi, przez ciągłą pochyłość więcej niż milową i z pod zasłon śrężogi srebrem jej strzelał.

O! jak ja wam zazdroszczę w tej chwili 'góry, lasy, co z wyżyn waszych patrzycie zawsze na tę krainę; wam żadne jej zjawisko nie jest stracone. O! jak pragnę niemal zamienić się w cokolwiek równie jak wy trwałe, byle mi pozostawiono to czucie które mię dzisiaj ożywia, to szczęście którego w tej chwili doznaję.

Zazdrościłem drzewom, skałom, a dla gruzów Czorsztyna powziąłem tém większe uszanowanie; z

*) Spadek Białki w jej biegu ma być poździwiata cała na przestrzeni każdego sążnia.

uwielbieniem myślałem o jego pierwszych założycielach. W natchnieniu wyższem musiał być ów człowiek, co pierwszy odgadł to miejsce i pierwszy na tych skałach zakreślił posadę Czorsztyna; wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała! Czemuż tego o spotczesnych powiedzieć niemogę? A niemogę, kiedy pojrzawszy dokoła siebie, widzę jakby na urągowisko przeszłości tego miejsca, rozsadzone po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela.

SZLACHTA SANDECKA.

28 Sierpnia 1832.

Niedźwiedzie drewniane Czorsztyńskiego zamczyska zatrzymały moją myśl na Szlachcie Sandeckiej. Nie mogę jej pominąć w milczeniu. Stanowi ona ważną część ludności miejscowej, nie tyle przez swoją ilość co przez jakość; nie o niej nie powiedzieć, byłoby to zostawić w obrazie miejsce niezamalowane. Zasluguje ona na wzmiankę tém bardziej, że ma w rzeczy samej niektóre cechy sobie tylko właściwe a odróżniające ją od Szlachty innych obwodów galicyjskich, stanowi wybitny odcień w całości zwanej Szlachtą. Rys ten nie będzie może najpowabniejszy, ale jest konieczny.

Nie cenię lekko, nie sędzę lekko naszych braci, nie uważam ich za gorszych między innymi, nie podzielam tonu w jakim ucywilizowańsza niby Szlachta galicyjska przemawia o Szlachcie Sandeckiej. Szlachta Sandecka ma swoją słabą stronę, bo jest Szlachtą,

ale też ma i dobrą stronę, która jej daje miejsce niepoślednie w ciele Szlachty. W ogóle swoim są to ludzie prostsi, szersi, uprzejmiejsi, uczynniejsi, jak ogół reszty szlachty galicyjskiej. Ja sam doznałem wśród nich co tylko staropolska gościnność może okazać dobrego. Pod tym względem ma wielką zaletę, dochowała podobieństwa z ludem prostym, nie zerwała z duchem słowiańskim przodków. Stosuję to do Szlachty uboższej, do właścicieli mniejszych, nietytułowanych; arystokrację szlachecką znam tylko ze słuchu, ze słuchu który mię nie pędził do bliższego jej poznania, choćbym nawet miał siłę przedrzeć się aż do jej sfery, nie próbowałem tego; zapewniają mię tylko, że ta odrósł Szlachty jest mniej bujna w Sandeckiem, jako na reszcie Ianu Galicyi i Lodomeryi, jest to jedna z korzyści niepłodności Ziemi Sandeckiej, czego można jej powinszować. Będę więc mówił o Szlachcie bliższej chłopów dobrą i złą stroną, ponieważ to przypada do ram mojego obrazu.

Szlachta Sandecka ma dosyć ognia męskiego, jest przytém wprawdzie wiele rubasznosci, wiele szorstkości, ale to świadczy o pewnem jej zbliżeniu się do prostoty ludu.

Szlachta Sandecka powszechnie prawie umie po niemiecku — z konieczności — dla tego nie robi co może robić, to jest bardzo mało pisze a jeszcze może mniej czyta. I tego nié mam jej za złe, raz że przez to mniej się odróżnia od prostych górali, a po-

tém że jeżeli nie uczy się tego coby warto było umieć, to znowu nie wie o wielu rzeczach które lepiej nie wiedzieć. Stąd idzie, że niełatwo tu napotkasz rozdrażnienie nerwów w skutek lektury francuzkiej; stąd można widzieć niekiedy podczas wesółych zebrań, w razie kiedy się głowy rozegrzeją i spór dojdzie do walki ręcznej, kobiety na placu walki nie ustępujące w męstwie mężczyznom, bez względu na niebezpieczeństwo czépków. Jest-to zapewne niedogodność wynikająca z obyczajów niezłagodzonych romansami, jest-to może nawet nieładne, ale ja przynajmniej, wolę to, znajduję mniej nieładnem, mniej szkodliwem w swoich skutkach, pomimo sińców i zadraśnień, jak owo ugłaskanie naszych Pań przepuszczonych przez ujeżdżalnię romansów i czułych poezyi.

Wypadki, o których spomniałem, są rzadkie, a możeby nigdy miejsca nie miały, gdyby nie sąsiedztwo z Węgrami. Wielką pokusą dla Szlachty Sandeckiej jest bliskość Węgier, a następnie obfitość wina i to małym kosztem. Co najgorsza, że to daje niektórym powód utrzymywać, jakoby Szlachta Sandecka więcej piła niż inna Szlachta. Mniemanie to mam za przesadzone; widziałem ja szlachtę nie Sandecką tak pijącą, że i Sandecka na więcej-by się nie zdobyła.

Wszystko to uszloby za mniejsze grzechy w oczach ludzi wyrozumiałych, dałoby się złagodzić to tém to owém, gdyby Szlachta Sandecka pilnowała się drogi ojców dobrej, w rzeczach główniejszych dla czlowie-

ka, gdyby okazywała się więcej braterską w pożyciu z bliższymi sobie, w swojej sferze wiejskiej; gdyby mocniej usiłowała otrzymać w tém kółku ton jedności, zgody, obyczajów prostych ale czystych, właściwszych człowiekowi jak zwierzęciu, miłości rozlewającej się raczej na zewnątrz, jak ściągającej wszystko ku sobie i w sobie wszystko pochłaniającej; gdyby mniej zapomniała że jest ważną gałęzią społeczności chrześcijańskiej nie pogańskiej, że ma ważne obowiązki i powinności do pełnienia, że jeżeli są biedy na które musi czasem skarżyć, to wszystkie płyną z jednego głównego źródła dla każdego człowieka, z niego samego, ile razy nie robi co Pan Bóg przykazuje; gdyby jasno zobaczyła to prawo konieczne, że złe rośnie w gorsze; a gorsze w jeszcze gorsze; gdyby... ale tyle jest owych gdyby do polecenia, że muszę się zatrzymać i zostawić resztę rozwadze tego komu na tém zależy. Najlepiej będzie kiedy każdy sam przed sobą mnie zastąpi. Zdaję chętnie tę pracę na moich braci nawet nie-Sandeczan. Może już i tak za nadto rozgadałem się i wpadam w podejrzenie, że chcę uczyć mędrszych odemnie. Uchowaj mię Boże od tego. Co powiedziałem, to głównie między innymi dla tego, że czuję o ile ta ziemia, te góry byłyby piękniejsze, gdyby ludzie zrobili się piękniejszymi, i swoją pracą dopełnili dzieła Bożego w tej stronie.

ŚWIAT ŻWIERZĘCY W GÓRACH.

30 Sierpnia 1832.

Surowość zimy i klimatu sprawia, że ludność zwierzęca w górach nie jest ani tak liczna ani tak rozmaita jak w innych okolicach naszego kraju. Ptaki i zwierzęta silniejszej tylko organizacyi mogą być stałymi mieszkańcami tej strony. Słowik tu rzadki, za to pełno olbrzymich orłów, sępów, puhaczy. Mniejsze rody są wędrownne; do takich należą kwiczoły, które podczas lata, chmurami przelatują się po górach. Wiadomo, że ulubionym ich pokarmem jest jałowiec, a ten krzew znajduje się tu w znacznej ilości. Nie są jednak puste i głuche pod tym względem góry; można w ich lasach słyszeć wszystkie głosy ptaków znajome nam gdzieindziej. W porze zwłaszcza letniej i ptastwo zdaje się wysyłać tutaj ciekawych swoich wędrowców.

Ze zwierząt celuje tu nad wszystkie koza skalna — jest to najwłaściwszy mieszkaniec gór i wielka ich

ozdoba. Bez nich nie byłoby strzelectwa goralskiego; góry straciłyby wielką część swojego życia. Sarny także są dosyć powszechne. Do ogromniejszych i dzikszych należy niedźwiedź, który tu nie jest rzadki. Wiele także wilków i lisów.

Wody górskie swoją bystrością zwyczajną, swoimi wezbraniemi, nie sprzyjają takiej obfitości ryb jaką znajdujemy w wodach równin: mają za to rodzaje właściwe sobie, między temi celują pstrągi i łososie. Oddawna sławne były i są dotąd łososie Dunajec: do tej sławy Dunajec dotąd ma prawo. Nie wiem czy łososie znajdują się w innych wodach Karpackich, to pewna, że ich połów najznaczniejszy jest w Dunajcu, a co większa, że co do smaku przyznawano im pierwszeństwo.

Mieszkańcy utrzymują, że łosóś przybywa z morza Wisłą. Dla czego Dunajec tak mu ulubiony nad inne rzeki łączące się z Wisłą? oto mniejsza: ciekawszy jest instynkt tej ryby, który ją prowadzi zawsze przeciw pędowi wody; jest w niej jakoś miłość walki, stąd też obdarzona jest niepospolitą sprężystością, jest ona prawdziwie zadziwiająca. Napotyka się czasem łososia w potoku głębokich już gór, gdzie niemoże dojść inaczej tylko kaskadami, a więc skokami z dołu w górę nieraz kilkołokciowemi. Zdaje się że je przebywa w czasie wezbrań, kiedy woda obfitsza, walczy więc z wysokością i pędem spadającej wody. Miejsca gdzie znajdują łososie mają zaledwie wiekiady kilka

kroków przestrzeni pokrytej wodą, którą zatrzymuje naturalna przeszkoda ze skały, a są tak płytkie, że rybak ręką bierze łososia. Taki połów jest prawdziwą walką człowieka z rybą, potrzeba niemalże siły aby ją pokonać. Połów ten bywa czasem niebezpieczny: zdarzało się że łosóś złapany i włożony za pazuchę, obwijał się wkoło piersi i ścisnął tak silnie człowieka, że gdyby nie prędko ratunek obecnych, byłby go udusił. Podhalanie uważają pstrągi za młode łososie.

Niemogłem skierować mojej większej uwagi do tej sfery stworzenia w górach, żałuję tego bardzo; jest to godne głębszego zbadania i pewno znajdzie się kto mię w tém dopełni. Ja przestaję na tém słowie ogólném. Niemogę wszakże pominąć w milczeniu plagi tutejszych lasów. Są to czerwone robaczki ledwo dojrzone, z rodzaju robaków toczących drzewa. Ale ich działanie jest na wielką skalę. Od razu zajmują linię milowej długości i tak się posuwają, a ślad ich przejścia widzisz tylko po czarnych uschłych lasach. Jest to rodzaj choroby, rodzaj zarazy lasów, a w której może leży rozwiązanie zagadki morów tępiących ludzki rodzaj.

Z TURNISK. — GŁĘBIA TATRÓW.

1 Września 1832.

W tych dniach wypada mi znowu droga w Tarnowskie; może tu nie prędko wrócę a może i nie wrócę. Nie tracę więc ani jednego dnia, ani jednej chwili. Oglądam czegom jeszcze nie widział, odwiedzam com już poznał; zwracam na wszystkie strony oko, ucho i uwagę; dusza moja nie zamyka się, wciąż daje się lub przyjmuje; gromadzę do jej skarbcza wszystko co mi się nastrocza, a co się da wypisać zapisuję. Pragnę zatrzymać, utrwalić tę chwilę tak ważną dla mnie; pragnąłbym podzielić się ze wszystkimi wszystkim co jej winien jestem; pragnąłbym zdobyć się na jakąś pamiątkę po niej, po tych miejscach, po życiu którem tu przepędził; na owoce z tytułu uczuć, wzruszeń, natchnień przez które tu przeszedłem, które tu odebrałem. Zacząłem już to dzieło, pracowałem nad niem cokolwiek; mam ideę główną, mam główną ośnowę, zbieram szczegóły; a im dalej

— 241 —

zapuszczam się w pracę, tém więcej odkrywam bogactw. tém bardziej blask mię ich ośniewa; do niektórych dostałem się, inne dopiero przeczuwam: leżą przed okiem ducha, jak te skarby w powieściach goralskich, trzeba warunków tajemniczych, trzeba jakiejś władzy tajemniczój, ażeby je posiadać. Nadewszystko czuję, że mi potrzeba tego życia widomego i niewidomego, które tu panuje; tém życiem chcę się cały przejąć, przesiąknąć. W tym kierunku zwracam wszystkie moje zatrudnienia, przez te dni kilka pozostających mi do mojego wyjazdu. Mój trud nie jest bezpłodny, mam to przekonanie. Wiele rzeczy wyjaśniłem sobie jako pisarz, natrafiłem na wiele prawd sztuki. Zostaną one dla mnie prawidłami, karbami mojej drogi pisarskiej. Polegam na nich tém śmielej, że nie biorę je z książek, natężeniem zimnego rozumu; podało mi je życie otaczające mię tutaj, przyjąłem ożywiony, rozegrzany czuciem, miłością, i odtąd coraz mi ich więcej przybywa. Ująłem już w słowa co mogłem ująć. Ale to na później; jest - to mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy. Zwracam się do tego co może być dla wszystkich.

Jeden żal nieragrodzony przyjdzie mi stąd wynieść, to ten, że tak mało poznałem głąb Tatrów. Dziś niepodobna już myśleć o jej zwiedzeniu. Podróż ta wymaga tyle pomocy, że jest nad moje środki; pora spóźniona otacza ją także trudnościami coraz większemi. Lada dzień mogą spaść śniegi i zasypać wszyst-

kie przejścia w głębi gór, może już nawet spadły. Nie pozostaje mi jak myślać pobłąkać się po nich. Leżę więc na mojej skale i położywszy oko na zewnętrznym murze Tatrów, jak kotwicę na dnie morza, przebiegam myślą, jak lekkim czółkiem, dziwy ich wnętrza.

W istocie opowiadają mi dziwy o tych miejscach. Wszystko co widziałem nie daje wyobrażenia o tem co najgłębsze Tatry zamykają w sobie. Tak mię zapewniają i wierzę temu łatwo, sądząc z tego co słyszę. Ten północny bok Tatrów widziany z Galicyi i południowy od Węgier, jest tylko ogrodą Tatrów właściwszych. Można je stąd odgadywać tylko po niektórych lodowatych szczytach, wyższych nad inne; ale większa ich liczba ukryta jest spójrzaniem z zewnątrz. Prawdziwe lodowce korzenia się i rosną dopiero w głębi Tatrów. I tam dopiero jest istotna dziedzina wiecznej zimy i wiecznego mroku. Tam jeziora nieodmarzające nigdy, doliny milowe ustane wiecznym lodem i otoczone ścianami z wiecznego lodu. Tam zobaczysz nad potokiem most z wyziewów w lód zamienionych zawieszony na głębi przerażającej głębokości; a cisza taka, że kiedy pod ciepłym słońcem lód się rozegrzeje i ścieka kroplami w tę przepaść, słyszysz plusnienie każdej kropli co spada. Najdziwniejszą sprzeczność pośród tej martwoty mają tworzyć lasy leżące gdzie niegdzie między lodowcami: są one zwykle w dolinach nadzwyczajnej głębo-

kości; cień ich gęstwy nie różni się od czarnej nocy; rzecz szczególna, że w tych lasach przechowują się zwierzęta, które same tylko gwizdaniem swoim ożywają tę ciszę jakby podziemną. Niektórzy myślą że to są bobaki. Przystępy do tych lasów są niepokonanych prawie trudności dla niegorali i nie strzelców; staje ci nieraz na drodze skała z przepaściami po obu stronach, a grzbietem tak ostrym, że niema dosyć miejsca na stopę ludzką, i niemożna jęj przebyć inaczej, tylko przesuając się po niej okrakiem; wyobraź sobie nadto, że taki grzbiet ciągnie się przez kilkadziesiąt sążni.

Kilka rysów podobnych dają widzieć choć w małej cząsteczce czem jest wnętrze Tatrów, i że do zwiedzenia jego nie dosyć mieć chęć i odwagę. Oprócz koniecznej wprawy, potrzeba jeszcze przygotować się na mrozy, burze, mgły jak noc ciemne, lawiny nieuniknione, i inne przykrości i niebezpieczeństwa przywiązane do miejsc podobnych. Wszakże powiem prawdę, że nie zważałbym na to wszystko, gdyby mi nie zawadzały trudności innego rodzaju, a mniej łatwe do pokonania.

ZAMCZYSKO CZORSZTYŃSKIE.

26 Września 1833.

Nad spodziewanie moje wracam jeszcze w góry. Witam je z gruzów Czorsztyna. Mój nocleg bliski, mam czasu dosyć. Obracam go na bliższe poznanie się z gruzami. Chcę dłużej cokolwiek pomówić z niemi o ich przeszłości.

Jedno z miejsc najinteresowniejszych w dziejach Polski, pomnik czasów Kazimierza Wielkiego, mieszkanie Czarnego Zawiszy, a dzisiaj rozsypujący się kościotrup, Czorsztyn! . . . Dwie godziny przepłynęło koło mnie i gruzów jego, nimeśmy się naszym smutkiem zobopólnym rozmówili z sobą. Jak o przyjacielu którego widocznej zgubie zapobiedz nie zdołamy, smutne o nim moje myśli. Jeszcze przed kilkadziesiąt laty stał cały; znałem człowieka który biesiadował w jego salach; dzisiaj rozwalinami tylko przynęca, dzikim powabem owego ciała, któremu śmierć względna zostawia niekiedy na dni kilka ciepło i barwę ży-

— 245 —

cia. Słońce zakryte chmurami nie urąga wesołym blaskiem rozwieszonemu tutaj całunowi zniszczenia; mrzący deszczyk wisi pełnemi kroplami po trawach i drzewkach utulonych między zwaliska; czasem polne ptaszyny, osłonięte resztkami gzymsów, obeślą się urwanem szczebiotaniem, niby krótkim psalmem pośmiertnym, a wiatr wędrowny obejdzie wnętrze pustki, przyrzuci kamyk na mogiłę gruzów, zawyje westchnieniem i polecą dalej. A ja droższej dopełnię powinności, w obrazie zwłok wielkich złożę im cześć pogrzebową.

Wyniosła i przykra góra, panująca z jednej strony nad szczył Nowotarskiej doliny, z przeciwnej zaczynająca pasmo wzgórzów zakończone skałami Pienin, oto posada Czorsztyna. Sam gmach stoi na południowym jej boku, podnoszącym się od płaskiego błonia prostopadle, nago, jak mur z jednolitej, różowej skały. Ściana zamku z tej strony jest jakby dalszém wyrowadzeniem skały; żaden śmiertelny niemógłby tędy ani wyjść ani się spuścić. Sam widok kilkadziesiąt-sążniowej przepaści głowę zawraca, a jednak trudno nie patrzeć. Dno głębiny uściela piękne zielone błonie; po niem rozrzucona wieś tegoż co i zamek nazwiska: po niem snuje się dalekowiedny Dunajec; na drugim brzegu Dunajca Węgry, ze swojemi górami w świeże lasy ubranemi, i z pięknym nienaruszonym zamkiem Niedzicą, ale już nie tak śmiało, nie tak okazale zbudowanym jak Czorsztyn. Wschodnia część

góry o kilkaset kroków od Zamku, najeżona jest ostremi nagimi wzgórzami z wapiennego kamienia, które okrywa zarośle z jałowców i świerków; łączy się z niemi szereg wapiennych także opok obiegających jednym prawie ciągiem górę Zamkową, ze strony północnej i zachodniej, aż do samej wody Dunajca. Gdzieindziej trudno coś podobnego widzieć: ów szereg nagich, wysokich, przepaścistych opok, tworzy linią tak warowną samorodną, że sam jej widok nasuwa mimowolnie myśl czarodziejstwa wspierającego założycieli Czorsztyna. Niższe skał miejsca dopełniające są murem. Pomiedzy górą zamku a wspomnionymi skałami jest głęboki rozdół; część jego, obwarowana murem poprowadzonym od wschodniej i zachodniej ściany zamku aż do owego pasma wapiennych wzgórzów, tworzyła dziedziniec Zamkowy.

Z dzisiejszego stanu gruzów trudno mieć dokładne wyobrażenie o szczegółach wewnętrznego rozrządzenia budowy. W zachodniej ścianie Zamku wyraźny wprowadzie ślad zamurowanej bramy, ale wjazd do niej tak przykry, że niemożna nawet pojąć jakby tam zwodzony most przystawał; podobniejsza to prawdy, że wjazd główny był od wschodu, jak to zdają się przyswiadczać wspomniony dziedziniec, szczątki rozwalonej bramy i przystęp łatwiejszy.

Sam zamek tak zbudowany, że niedosyć było przełamać zewnętrzne obwarowanie i dostać się na dziedziniec, kilkadziesiąt kroków od ścian Zamku; po gó-

rze przykrej jest wał najspadzistszy, który musiał być w swoim czasie niemałą obroną. Zdaje się, że do wnętrza Zamku dwa wchody wprowadzały; jednego z nich można widzieć zabytek w otworze narożnej od zachodu wieży, i szczątkach muru przed nim, a który zbiega na dół i mógł osłaniać wschody; drugi zaś w drugim końcu tejże ściany musiał być ukryty, co wnoszę z pokoju leżącego w tym miejscu pod górą, opartego jedną ścianą a raczej składającego część linii zachodniego muru. Dochodzi on wysokością ścian swoich podnóża ściany Zamkowej, a stoi tak oddzielnie od reszty pokoi wyższych, że można z podobieństwem do prawdy uważać go za warowną osłonę ukrytego wchodu. — Nie powinienem także przemilczeć, że w kierunku jednej jego ściany, równoległe do północnej ściany pokoi, ciągnie się zrównany prawie z ziemią ślad muru aż do wspomnianej wieży Zachodniej; może więc być, że pokój o którym mówiłem, był częścią dolnych mieszkań, przypartych jedną ścianą do boku góry, a dachem do podnóża wyższego piętra.

Wnętrza pokoi na szczycie góry stojących, tak są zasypane gruzami, ich ściany po większej części tak zniszczone, że trudno dziś dociec ich liczby i składu, a tém bardziej wykości całego gmachu: wszakże w niektórych miejscach można widzieć podstawę ścian ze szczerzej skały i ślady kucia w skale; może to być podziemna część Zamku, a może i więzienie,

ale osiadłe sklepienia zapełniły je gruzami do znacznej wysokości.

Spodziewam się że tym rysem dałem jakiegokolwiek wyobrażenia Czorsztyna a raczej gruzów jego; na obraz dokładniejszy potrzeba więcej czasu i pomocy pędzla malarskiego. — Wartałoby zająć się komuś tą pracą, i rysunkiem chociaż topograficznym, zachować plan tych rozwalisk zajmujących; niejeden artysta byłby szczerze wdzięczny za taką pracę i mógłby z niej piękny użytek zrobić.

Na dopełnienie obrazu muszę powiedzieć, że pod Czorsztynem schodzą się dwie drogi ku Nowotarskiej dolinie: jedna od Krościenka, okrąża północną i zachodnią część Czorsztyńskiej góry, druga południową jej stronę, ta idzie z Węgier po nad Dunajcem. Niższa połowa góry ma kilka źródeł; u podnóża biegnie potok który do Dunajca wpada, przecinając drogę z Krościenka; od północy góruje nad Czorsztynem las świerkowy, przyległy Krościenińskiej drodze, czasem od łotrów osadzony; przez ten to las objawiły mi się Tatry tak uroczenie po raz pierwszy.

Gdzieindziej dałem wyobrażenie widoku Nowotarskiej doliny i Węgier z Czorsztyna. Widok na innej stronie zasłonięty jest gorącym grzbietem góry, której posada zamku jest niejako przylądkiem.

Dzieje Czorsztyna bogate są w materiały do dzieła poetycznego. Nazwisko jego występuje głośniej za Kazimierza W. Długo jest w posiadaniu Zawiszy

Czarnego i jego następców. Zdobywany był nieraz przez łotrów góralskich i służył im za warowny przytułek. Między temi wypadkami zanotowany jest w Kronikach Napierski bandyta. — Duch Poety może wiele zobaczyć w takiej przeszłości, i wiele z niej wydobyć.

NA WYŻNIEJ. — WPLYW TAJEMNICZY GÓR.

29 Września 1832.

Nic już prawdziwszego dla mnie jak twierdzenie gorali, że ich atmosfera ma wyższość nad atmosferą równin. Przekonałem się o tem z własnego doświadczenia. Trzy razy przejechałem się w równiny, i za każdą razą doświadczyłem tego samego. Z początku przez dni kilkanaście ruch życia goralskiego, większa swoboda myśli, w ciele lekkość, pewna czerstwość, jedrność wszelkich władz, zdolność do wszystkiego w stopniu wyższym: powoli ciężałem, sępiałem, traciłem sprężystość energii wewnętrznej, tak że po pewnym przeciągu czasu czułem dotykając w sobie zmianę niekorzystną. Powracam w góry, zaledwo dni kilka pożyję ich powietrzem, ich życiem, stan zdrowia, rzeźwosci, swobody znowu mi powraca; myśli się wyjaśniają, czucie głębiej się otwiera, wszystkie władze grają silniej, czystiej i harmonijniej.

Nie ja jeden to czuję, powtarzam: doświadczam

tylko na sobie tego co tylu innych doświadczyło, o czem inni mię zapewniali.

Jest w tem dziwna jakaś tajemnica: dziwna a niezaprzeczona. Wszystkie ludy ją czuły, czuciem najgłębszem bo religijnem, wszystkie religie świadczyły o niej i korzystały z niej. Wyżyny były zawsze miejscami wybranymi do modłów, do obrzędów religijnych, do wiązania ziemi z niebem. Na wyżynach płonęły święte ognie Magów, jeżyły się kamienie Druidów, wznosiły się Świątynie naszych Bożyszcz Słowiańskich. Na Horebie na Synai rozmawiał z Bogiem Mojżesz, przyjął Prawdę Bożą dla swojego ludu, niebieski ogień który miał przez wieki ożywiać i oświecać lud wybrany. Z wierzchołka Syonu cały ten lud wchodził przez wieki w bliższy związek ze swoim Bogiem.

Góry Galilei były kolebką naszej religii chrześcijańskiej. W góry Galilei rzucił Bóg nieśmiertelne ziarno swojego Słowa dla świata; tam ono przyjęło się, ożyło ciałem, wzrosło: i doszło do swojej dojrzałości niebieskiej. Na Taborze Chrystus pokazał się po raz pierwszy swoim uczniom w chwale, w istocie swojej nadziemskiej. Na wyższe miejsca udawał się, ile razy w trudach Boskiej swojej misyi, potrzebował zasilić ducha swojego powietrzem niebios. Z Kalwaryi podał światu wzór najwyższej ofiary; na górze Oliwnej widziały go oczy śmiertelne jako Boga tryumfującego nad światem!...

Cóż to jest, o góry, ta dziwna potęga przywiązana do was? owa tajemnica która was uświęca najświętszemi chwilami życia ludzkości? skąd to jest? dla czego to jest? Jakiegokolwiek są tego przyczyny, nie są one materialne,—tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego niemogą iść z przyczyn niższych, materialnych. Wasze wybijanie nad resztę ziemi, rozleglejszy widok z waszych szczytów, rozrzedzone bardziej powietrze na nich, są to warunki zmysłowe, zbyt liche; mogą one zabawiać oczy, ulżywać płucom, pobudzać, łechtać ciało wrażeniami zmysłowemi, ale nie pojmują jakby mogły za pomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego czucie religijne, robić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi!... O! nie, tajemnica ta musi się kryć w owej waszej części, której zmysłami dotknąć niemożemy, w jakimś czuciu zapełniającem wasze piersi niezbadane narzędziami zmysłowemi, jak piersi człowieka w pierwiastku jego życia; a co ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś technii nieznanymi, niedocieczonych w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysilen tajemniczych, podnoszą was nad poziom, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a razem silniejszy, bliższy i ściślejszy.

Siebie naprzód badam z tej strony. Jestże dla mnie wszystkiem ten widok, który mam dokoła z tej wyniosłości? Unosisz mię ciągle jej wysokość? Bynajmniej; oko moje nasycy się prędko widokiem i wpada w zubożenie; ledwo chwil kilka zajmuję się wysokością, wkrótce zapominam o tém; a za to budzi się inny stan wewnątrz, zaczynam czuć się lżejszym, swobodniejszym; zadowolenie wewnętrzne podnosi się we mnie, napełnia mnie całego, widzę to po moich myślach świeżych, silnych, rozległych, lotnych, po zdolności widzenia ich, schwytywania i wystawiania: dotykam tego w mojem czuciu więcej roztopionem, więcej rozlewającym się, pełniej gorejącem, silniej bijącym ku górze, ku światom wyższym, ku wzniosłości niematerialnej: widzę w sobie płomień niemający nic wspólnego z materją, nie zależący od otaczającej mię sfery materialnej. W końcu postrzegam się, że stoję duchem w obliczu nieba, że jestem w modlitwie. Cóż-to jest, o góry, owa władza którą wprowadzacie człowieka w stan podobny? Zapytanie trudne do rozstrzygnięcia, a jedno z tych które pytający sam w sobie rozstrzygnąć musi. Ufajmy że będzie kiedyś rozstrzygnięte.

MGŁA PORANNA W GÓRACH.

1 Października 1832 r.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Pola ny spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach; gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa: korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnym niebem do zachodu. Pogoda była mi tym urocześniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tym miliej, tym tęskniej świecił, że tylko mnie

samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście jak żeby milczącą modlitwą dumały.

I oto ze szczytu Babięj-góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzenka ucieka w głąbie nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku; a od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją w postaci kilku chmurek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerszej osłaniają dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały do koła, rozlewają się dalej. już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórze i błonia, wszystko co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w tej chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przewalają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać — cichnie — a jednolita siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babię-góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzie niegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórze lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu, rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę zło-

żyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić jak słup jego pałający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgłówek aż ku mojemu oku, jakimi barwami po ruchomem tle ich igrał, jakiego uroku był ten most tęczy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska... Widowisko skończone! — zszedłem na dół ale w zachwyceniu i poczuciu że mi się objawiło owe Morze Karpackie, które, podług podań, zalewało niegdyś dzisiejszą Nowotarską dolinę.

POBYT U PROBOSZCZA WE FRIEDMANIE.

4 Października 1832 r.

Brakowało mi przypatrzeć się z bliska życiu Księży w tej okolicy, zbieg okoliczności zaspokoił mię i pod tym względem. Jestem wdzięczny tej konieczności. Kilkanaście dni przeżyłem w domu Plebana wiejskiego, przez kilkanaście dni dach jego osłaniał mię przed nieprzyjemnościami wszelkiego rodzaju; przez kilkanaście dni jadłem chleb jego, a co najważniejsza zbliżyłem się do człowieka jednego z tych, co cię ogrzewają ciepłem swojej miłości prostej, szczerzej, czystej; poznałem Kapłana o którym każde wspomnienie sprwadza cię do tego życzenia: dałby Bóg aby wszyscy Księża byli przynajmniej tak jak ten!

Widok półmartwy jak Tatry, może zrobić silne dobre wrażenie na człowieku, ale człowiek-chrzestianin bez porównania silniej obudza, zasila we mnie miłość Boga i bliźnich; jeżeli niemogę mówić o nim tak obszernie jak o zmysłowych pięknościach okolicy,

winiem mu spomnienie bratnie, oznakę żem go miał poczuć, ocenić, że uczucia moje dla niego nie są z liczby tych co przechodzą z czasem, bez śladu. Licha była-by to odpłata za miłość żyjącą, gdyby została tylko w martwem słowie na papierze; ale z mojej strony nie jest ona taką, chowam ją w mojej duszy i daję żyjącą.

Kilkanaście dni przeżyliśmy prawie sam na sam, a takie życie wielką jest próbą wartości zobopólnej dwóch ludzi; trudno ażeby w podobnym stosunku nie poznali się wzajemnie na sobie. Pragnąłbym aby zacny Pleban wyniósł z owego czasu takie dla mnie uczucia, jakimi mnie ku sobie natchnął. Poznałem w nim sługę Kościoła, jakich mało w życiu mojem napotkałem. Pełen cnót chrześcijańskich obok wyższego ukształcenia, miły, zniewalający, a mimo to zachowujący wysoką godność swojego stanu w życiu powszedniem, światowem; był prawdziwym ofiarnikiem wskazującym drogę jedynie prawdziwą, ile razy pełnił swoją służbę tajemniczą przy ołtarzu. Słyszałem go w tym urzędzie przemawiającego do ludu; kazania jego były w języku Słowackim, bo od tej wsi poczyna się już kraina Słowakami osiadła, a słowa jego były napiętnowane tą samą ewangeliczną prostotą, miłością, łagodnością, których przykład stawili w swoim życiu!..

Ale słowa niezdolne są wydać wewnętrznej wartości człowieka, ani uczuć dla człowieka, który nas

istotnie zobowiązuje; przestanę więc na tem co powiedziałem, a zajmę się więcej zewnętrzną stroną mojego pobytu w Friedmanie.

Między innemi znalazłem w tem probostwie bibliotekę tak liczną i tak dobraną, że nikt-by nie domyślał się podobnej w domku Plebana ustronnej goralskiej wioski; zamykała ona około 2.000 tomów najcenniejszych pisarzy wszelkiego narodu, tak oryginalnych jak w tłumaczeniu, najwięcej niemieckiem. Rozumię się samo przez się, że dzieła treści religijnej stanowiły znakomitą jej część, o ich wartości nie mogę nic powiedzieć, bo wszystkie prawie są w języku łacińskim, który mało umiem. Za to przeczytałem wiele sztuk Szekspira, przełożonych przez Szlegla.

Zacny Proboszcz ułatwił mi także zwiedzenie zamku Niedzicy. Zamek ten leży naprzeciw Czorsztyna; rozdziela je tylko Dunajec. Jest on dziś własnością Hrabiego Paloczaja. Właściciel jego a dziedzic wsi tegoż nazwiska i Friedmana, często w niem przemieszkuje, stąd budowa cała utrzymana jest w dobrym stanie wewnątrz i zewnątrz. Wewnętrzne jego urządzenie jest już więcej w smaku nowoczesnym. Między innemi ozdobami ma bibliotekę niewielką ale złożoną z dzieł wyborowych, świadczącą o wyższem ukształceniu właściciela.

W około zamku rozsypuje się wieś Niedzica. Na wejściu do wsi zwrócił moją uwagę słup z tablicą, na której wypisany zakaz palenia fajki na ulicach wsi.

Przepis ten jest powszechny we wszystkich wsiach węgierskich i ściśle przestrzegany przez obawę pózarów. Jest on obwarowany sztrofami piętznymi a dla chłopów karą cielesną. Stąd nieraz można widzieć na wstępie do wsi, tablicę na której malowidło przedstawia w wyższej swojej części fajkę, a w niższej chłopą rozciągniętego na ziemi, a nad nim hajduka z kijem lub batem. Madziarski ten hieroglif chłopci dobrze rozumieją, widzą że znaczy plagi za palenie fajki na ulicy, choćby transito.

Z resztą podobna tablica zdobiąca każdą wieś, wyobraża doskonale duch prawodawstwa madziarszczyzny szlacheckiej, w jej stosunku do chłopów zwłaszcza plemienia Sławiańskiego.

Więcej niż mieszkanie, niż biblioteka Hrabiego Paloczaja, zastanowiła mię jego piwnica we Friedmanie. Jest-to w istocie przedmiot godny widzenia. Wyobraźmy sobie dwa czy trzy piętra pieczar, tak długich że światła postawionego w jednym końcu pieczary nie dojrzysz z drugiego końca, rozgałęzionych na wiele innych równoległych do siebie, a wszystko to zastawione krociami beczek, kuf rozmaitego kalibru, napełnionych winem rozmaitego smaku, wieku, narodu, a masz piwnicę Węgierskiego magnata. Miejsce to obudziło we mnie głębsze a smutne myśli. Dotknąłem się jego złego Ducha. Znam cię, pomyślałem sobie, w dziejach mojego Kraju. Ty to panowałeś na Sejmikach, Sejmach, trybunałach, elek-

cyach. Tobie-to w wielkiej części winniśmy tę rozpustę wolności. Z takich to pieczar jak z otworów piekielnych, buchało to powietrze gorsze od morowego, które oziewało naszego ducha, i wiodło go krętymi ścieżkami pijackimi aż dopóki nie zapadł w przepaść razem z ciałem! . . . I straszny obraz przeszłości roztoczył się przed moją duszą w ciemnych barwach piekielnych; pokryła go w końcu krwawa barwa obecności. Odetchnąłem swobodniej wyszedłszy z piwnicy. Rozjaśniłem się w domu Ekonoma, przy dwóch jego córkach, bardzo miłych dziewczętach, z którymi i tę jeszcze miałem przyjemność, żeśmy mogli rozmawiać; chociaż mówiły tylko po słowacku, ale mnie rozumiały, a ja tem bardziej. Słowacki język w ustach dziewczyny jest bardzo miły; miałem sposobność przekonać się o tem, bo często towarzyszyłem dwóm dziewczątkom na rydzobranie, które tu jest bardzo obfite. Były to jedne z chwil najprzyjemniejszych mojego pobytu we Friedmanie, i winienem za nie wdzięczność łagodności, słodczy owych ładnych Słowaczek. Są one wyższe nad wszelką pochwałę jaką im dać mogę, dla tego wstrzymam się od niej.

Z powodu ich miewaliśmy rozmowę z Proboszczem w przedmiocie kobiet, Od niego dowiedziałem się kilku szczegółów nowych dla mnie, o obyczajach kobiet Węgierskich. Według jego opowiadania, księża mają wielki przystęp do kobiet zwłaszcza w większych miastach węgierskich: wyraźnie mię za-

pewnia, że księża grają tam tę rolę jaką gdzieindziej grają wojskowi.

Ten przedmiot nastęcał nam znowu rozmowę o bezzeństwie księży. Mój Proboszcz miał zdrowe widzenie tój rzeczy. Jego zdaniem żenienia się lub bezzeństwo powinno być zostawione woli każdego; jedno i drugie ma swoje korzyści i niedogodności. Co się tyczy jego osobiście, miał postanowienie pozostać w bezzeństwie, gdyby żenienie się było nawet dozwolone.

I w rzeczy samój dla niego było to właściwe, o ile poznałem jego charakter. Przy rzadkich swoich przymiotach, przez stan swój duchowny zaprawił się już do życia więć cichego, samotnego, stał się lęklwym w obec życia czynniejszego, burzliwszego: przenosi on dzisiaj nad wszystko spokój rozmyślania. Była to jego wada, ale ja poczuwałem się do tём większej wdzięczności, że oto dla mnie wychodził z tём ciszy. Z tём uczuciem pożegnałem go i zawsze zostanę.

ZBÓJNICY W GÓRACH. — PIEŚNI I POWIEŚCI W TEJ OSNOWIE.

24 Października 1832 r.

W tym obrazie Podhala, koniecznym jest rys Zbójectwa w górach; jest to jeden z najważniejszych rysów obrazu.

Zbójectwo stanowi jeden z celnych żywiołów tutejszój poezyi śpiewanej, co się pokaże w przytoczonych poniżej pieśniach; gra ważną rolę na scenie goralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójectwa w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykalmym, niemożna go więc lekce ważyć w badaniu ludu goralskiego, a tём mniej pominąć, przeciwnie zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzeć, byle z właściwego stanowiska.

W prawdzie zbójectwo nie jest dzisiaj tём, czem było przed laty. czas je znacznie przytłumił, a najwięć sprężysta czujność rządu, silniejsza policja

w górach mimo to, zbójectwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem z ducha goralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość, połyska z przeszłości urokiem przyćmionym znacznie, wszakże nieraz jeszcze znajduje swój odblask w obecności; goral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatią a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważna jest rzecz z tego stanowiska patrzeć na zbójectwo w górach: inaczej pojęcie jego, sąd o nim, będą fałszywe, a to sfałszuje sąd ogólny o goralach.

Zapatrywanie się goral na zbójectwo znacznie różni się od naszego. Zbójectwo w oczach goral nie jest rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą jak dla nas; zbójnik dla goral nie jest takim zbrodniarzem jakby według prawa być powinien. Wiem to z doświadczenia, dotknąłem się tej strony goralów; przyświadczają mi czyny. Prawda że zbójcy dzisiejsi nie są to zbójcy okrótni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z powieści o niektórych, z niektórych wydarzeń; ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobłażanie goral temu rzemiosłu.

Goral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi; w jego obawie jest więcej poszanowania jak wstrętu. Możliwość powiedzieć, że zbójectwo między górami jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą goral nie wzdraga się przechodzić; nie

tylko nie wzdraga się ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach wręcz temu przeciwnych: tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca, przehulać część swojego życia na Zaporozu. Sam napotykałem bardzo zacnych z innego względu goral, którzy poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich, i są dziś najporządniejszymi gospodarzami, i nic przezto nie tracą na szacunku swoich krajowców.

Przytoczę tu wypadek społeczny, opowiadany mi na miejscu, który dokładnie wyobraża jakiej istoty i jakiej jest mocy ten pęd ku zbójectwu. Bohater tego wypadku jest to postać zupełnie upośledzona od natury, mały, pękaty, z nogami koszlawemi, z ogromną głową, brzydką twarzą, ale silnie zbudowany i nie stary. Owoż ten człowiek zapragnął także sławy zbójnika, i nie taił się z tem przed swojemi, że postanowił pójść w góry na zbój. Śledzono go więc, głównie przez ciekawość co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił się we wszystkie przybory zbójcy; w ręku wataszka, przez plecy dwie strzelby, za pasem nóż i pistolety, a w torbie żywności na dni kilka. Tak zaopatrzony, poszedł w góry swojej wsi, w ustronie dzikie, gdzie nikt prawie nie przechodził, łatwo wyszukał miejsca jakiego mu było potrzeba, skały i powalone drzewa. Siada więc za nimi jak w zasadzce, przyczajają się, szpieguje okiem i uchem

na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, zmierza rusnicę, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wataszką, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiada, podskakuje, niby strzela, niby rąbie, to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni; po trzech dniach wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu że ma prawo do imienia i sławy zbójnika.

I jak tu się oprzeć pokusie podobnej sławy? Zbójnik jest rodzaj ideału dla goralą. Odnacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnymi zaletami fizycznymi. Jest on jeszcze ideałem, jako człowiek odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg jakiegokolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze goralą, a zbójnik najpełniej to objawia. Możeż goral potępiać go za to?

Nieraz rekrutacja napędza do zbójectwa. Ale jest to przyczyna podrzędna, równie jak niższe namiętności: zemsta i chciwość; zastanawiam się nad przyczynami i dostrzegam ważniejszych i głębszych. Leżą one w naturze człowieka i w charakterze goralów, po części w ich położeniu.

Napomknąłem już raz, że ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dla czego? niewiem, ale tak jest. Duch naszych gora-

łów wydaje mi się być w pewnym pokrewieństwie z arabskim: nie mogą mieć Farysów, przestają na zbójnikach. Położenie ich nie pozwala im zamienić się w hordę Beduinów, ale z drugiej strony położenie to robi niekiedy goralą zbójem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą np. do Bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów, i t. d. Baca nie robi oporu, składa żadaną żywność, jakby się składała kontrybucja, a jeszcze właściwiej jakby się płacił podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że przed czasem on sam żył podobnie. Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samych-że Juhasów, a przyprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy uczują kosztem zamożniejszych.

Teraz możemy przypatrzeć się bliżej i szczegółowiej życiu zbójników w powieściach i pieśniach.

Najgłośniejszym bohaterem zbójectwa w Tatrach, jest tak zwany Janoszyk; żył on w końcu przeszłego wieku. Tysiące powieści krąży o nim dotąd. Te powieści przystrajają go we wszystko co tylko potrzeba aby zbójectwo podnieść do ideału. Janoszyk jest ideałem zbójcy najukochańszym, na jaki tylko wyobraźnia goralów zdobyć się może. Skupiają się w nim wszystkie przymioty zbójcy, wszystkie zalety

i cnoty człowieka. Olbrzymi wzrost, uroda, rozum, siła nadludzka, zręczność niezrównana, odwaga bezprzykładna, dobroć, szlachetność, wszystko to łączyło się w Janoszyku. Był on jeszcze człowiekiem nadzwyczajnym przez związek ze światem nadzmysłowym, przez władzę nadprzyrodzoną nad duchami i przyrodą nieograniczoną.

Obok tego wszystkiego, był bardzo pobożnym, co go nieraz ocaliło, jak np. w następnym zdarzeniu. Janoszyk spotyka raz biednego studenta z Podolenia, wchodzi z nim w rozmowę i do tego rzecz przyprowadza, że student zaciąga się do jego bandy. Ale po jakimś czasie zdradza Janoszyka, porozumiewa się ze zwierchnością i przyrzeka zabić go. Wkrótce znajduje sposobność spełnić przyrzeczenie. Było to o wschodzie słońca, kiedy Janoszyk zwykle się modlił, i to klęczący. Zdrajca zakrada się styłu i strzela do niego, ale chybia; Janoszyk jakby nie słyszał nie przerywa modlitwy, nie zmienia postawy; — idzie drugi strzał i znowu chybia. Janoszyk wciąż się modli; jest właśnie przy końcu modlitwy, kiedy zdrajca trzeci raz dał do niego ognia, i tą razą bez skutku, a sam począł uciekać. Janoszyk powstał bo skończył zwykłą modlitwę, puścił się za uciekającym, dopędził go i zabił. Pobożność go ocaliła.

Sławę Janoszyka dzieli jego siekierka. Była ona także nadzwyczajna. Nie potrzebował mieć ją ciągle przy sobie, bo sama leciała na jego gwizdzenie, choćby

z miejsc najdalszych. Gra ona szczególną rolę w ostatnich chwilach Janoszyka. Kochanka co go wydała zdradziecko w ręce zwierchności, wiedziała o tej własności tajemniczej jego wataszki, miała więc przezorność zamknąć ją naprzód w dziewięciu skrzyniach z dziewięcią zamkami. Janoszyk schwytany, gwizdnął na swoją broń doświadczoną, wataszka wierniejsza od kobiety, jak tylko usłyszała gwizdzenie Janoszyka, zerwała się w pomoc jemu, zaczęła się wyrąbywać z zamknięcia, przerąbała ośm skrzyń, ale dziewiątej nie mogła, bo taka siła jest w liczbie dziewięć.

Koniec Janoszyka pokrywa niepewność. Według jednych podań został powieszony; inne naznaczają mu śmierć naturalną. Na dolinie Kościeliskiej pokazywano mi zdala jaskinię, w której znaleziono szkielet olbrzymiej wielkości, i uważano go jako śmiertelne reszty po Janoszyku.

Miał on być rodem ze Spiża. W Drużbakach, w domie kąpieli mineralnych, widziałem obraz rysowany, przedstawiający Janoszyka uczującego ze czterema towarzyszami. Jeden z nich gra na kobzie, drugi wyprawia napowietrzne skoki z siekierką, sam Janoszyk z dwoma drugimi pije. Malarz wystawił ich tam w stroju prawdziwym zbójców, ozdobionym wyszywaniem, w ogromnych kołpakach z gałkami u góry strój hajduków i huzarów. Pod każdym wy-

pisane było jego nazwisko. Żałuję żem ich sobie nie ponotował.

Jest to godne zastanowienia, że każdy z głośniejszych zbójców odznacza się szczególniejszą siłą życia wewnętrznego; ich przewidywania a raczej poczucia, dochodzą niekiedy do stopnia nad pojęcie zwyczajne. Z tego powodu przytoczę powieść prawdziwą, wypadek spółczesny, chociaż należy do miejsc innych, bo scena odbywa się w górach Kołomyjskich, pomiędzy tamtejszemi zbójcami, głośnie pod nazwą opryszków — w ojczyźnie tak zwanych Huculów.

Pan G. . . dzierżawca wsi K. . . ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem. Pan G. wie o tem że bandyta o'graża się na jego życie; ażeby uwolnić się od trwogi, bierze się na ten sposób: porozumiewa się z dwoma chłopami, obija ich różgami dla pozorów, ażeby uciekli niby w skutku tego pobicia i następnie dla pomszczenia się, weszli do bandy wspomnianego bandyty i upatrzywszy porę zabili go, zwłaszcza że rząd nałożył już cenę na jego głowę. Stało się wszystko jak ułożono. Dwaj pobici uciekli, znaleźli wiarę u bandyty, zostali przyjęci do bandy i przez całe półroczko tak dobrze udawali, takie dawali dowody odwagi i poświęcenia się w wyprawach zbójceckich, że zyskali zupełną ufność towarzyszków i herszta. Pół roku tak przeszło, kiedy bandyta postanowił ostatecznie zrobić napad na dom Pana G. . . i zabić swojego wroga.

W tym celu podsuwa się pod wies K. ; ale z chwilowej konieczności tak wypadło, że musiał rozesłać w różne strony swoich opryszków; dwóch tylko zostało przy nim, jako jeszcze mniej doświadczonych; byli to właśnie owi dwaj nasadzeni na jego życie. Herszt był znakomitym wróżbitem, zaczął więc wróżyć sobie rzucając fasolką; dwaj towarzysze siedzieli opodal trochę przypatrując się wróżbie. Na pierwsze rzuconie zmarszczył się; po drugim zawołał: źle!; po trzeciem porwał się niespokojny, przyzwał do siebie obu i zawołał: Chłopcy! tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Co to jest? Albo nas napadną, albo może który z was zdradza mnie? Dwaj struchleli, pokryli to jednak. Herszt tłumaczył im położenie fasolek i zapewniał, że jeden ze trzech koniecznie tej nocy zginie. Z tem wszystkiem pragnie zapewnić się jeszcze lepiej o prawdziwości wróżby, wraca do fasolek, rzuca je na nowo; ale kiedy podczas tej czynności stał odwrócony tyłem, dwaj nasadzeni lękając się aby nie odkrył zdrady, korzystali z tej chwili, cofnęli się szybko na parę kroków, dali razem ognia i położyli go na miejscu trupem.

Pieśni osnute na zbójnictwie są w bardzo wielkiej liczbie; świadczą one, co powiedziałem, o pewnem upodobaniu goralów w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Mała ilość wpadła mi w rękę, ale i ta ilość więcej rozjaśni ten przed-

miot niż wszystko cobym ja mógł powiedzieć. Niektóre z tych pieśni są mniej więcej zupełne. Wielka część ma jedynie wartość odrywków: jednak je zachowuję, bo wszystko razem, jest upoetyzowaniem zbójckiego zawodu od egzaltacji dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Zbójnicy są zazwyczaj gładosze goralscy. Urodziwi ciałem, zdobią się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukany. Pielęgnują szczególniej włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Darmo wy mnie, darmo do szkoły daicie.
Ze mnie zbójnik budzie — darmo nakładzecie *)

W poniższych ułomkach przegrywa struna miłostek.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie;
Jego frairecka mało nie zaginie.
Pije zbójnik, pije za ten talar bity:
Nie płac frairecko, napijes się i ty.
Aby twoje ocka za mną nie hładziły.
Jak mnie będą wisac na jawor zielony.

Z powodu zbójstwa, góry do niedawnego jeszcze czasu, były w stanie oblężenia, pod prawem zwa-

*) Daremny koszt wasz.

nem Standrecht. Sąd i kary były jak najszybsze i najsurowsze: najmniejsza kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość, miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywał się najdłużej we 24 godziny. Może być że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójstwa; to pewna że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że lędko wiarę dać temu można. Ślad jej znajdziemy w niektórych pieśniach, jak np. w tym wierszyku:

Hej! coze temu padnie,
Hej! co owiecki kradnie?
Hej! cozeby mu padło?
Hej! strycek na garło.

Jest-to fraszka strycek! Wracamy do tonu miłostek.

Hej! w polu ja, w polu, hej nie na zbojecce.
Powiedźcie, powiedźcie mojej frairecce.
Zbójnicku, zbójnicku, mas frairkę ładną;
Daj-ze pozór *) na nią, bo ci ją ukradną.

Powiadali ludzie, ze mnie zbójnik budzie.
Jak budzie to budzie, samym wirchem pudzie

*) Dajże bacność.

Nie będę ja gazdą, nie będę rolnikiem,
Jeno będę chodził zbrojnickim chodnikiem.
Hej! a jak mnie złapią, to ja będę wisiał;
Na wiersku jedlicki będę się kołysał.
Nie bój się frairko, choć ja na zbój pude,
Jeno pros u Boga to ja twoim będę.
— Jaworu, jaworu syrokiego liścia,
Dajże Panie Boze zbrojnikowi szczęścia.

Dwa ostatnie wiersze są w ustach kochanki modlącej się. Ale one są często niewierne, na taką narzekę wiersz następny:

Idzie zbrojnik z za Liptowa
Ciece mu krew z za rękawa,
Z za rękawa i z główecki.
Syćko pse zdradę dziewecki.

Liptów, miasto na Węgrzech, stołeczne komitatu Liptowskiego, który przytyka do południowo-zachodniej strony Tatrów.

Zobaczmy teraz zbrojników weselących się.

Tańcowali zbrojnicy
W murowanej piwnicy;
Kazali se pięknie grać
I na nózki poziierać.

Hej! pije se zbrojnik, turackami płaci.
Wozmą go do nieba aniołowie swaci —

Aniołowie święci, zapewne dla tego, że płaci mogąć pić darmo — stopień świętości dla zbrojnika. Turaczek ma być rodzaj monety, może półtorak w skróceniu.

Daj palenki zydu, dobry chłopcy psydą
Jak nie das palenki to cię trapić budą.

Karcmarecko nasa, nie zagasaj ognia.
Psydą swarne chłopcy, budą tańczyć do dnia.

Pudziemy, pudziemy na pana jednego.
Budziemy się dzielić pieniškami jego.

Następne są różnej myśli i różnego tonu, ale każdy przyrzuca jakiś rys do naszego obrazu:

Jawory, jawory, gdzie macie konory?
Zbrojnickowie ścięli, na fujarki wzięli.
Badykał się Janik z gronika na gronik.
Az się psyradykał zbrojnikom na chodnik.

Radykać się — znaczy przemykać się. Gronik — wierzchołek. Chodnik ścieżka w górach dzikich.

Janicku, zbrojnicku, zbrojecki Hetmanie,
Gdzieś podział pieniński com ja zbijał na nie.

Widać że zbrojnicy tytułują czasem swoich wodców Hetmanami.

Janosik, Janosik gdzieś podział pałasik?
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Musiał umknąć z więzienia. Na ścianie bramy,
na ścianie więzienia. Często brama używa się u
nich w znaczeniu turmy; może dawniej używanie
to było powszechniejsze. W Biblii widziemy nieraz
miejsce więzienia oznaczone wyrazem bramy. Znaczy
ona także miejsce warowne. Koszyce miasto na
Węgrzech.

Rym Janosik i pałasik jest jak należy w wyma-
wianiu goralów, którzy często głoskę **a** zamieniając
na **o**, wymawiają pałosik.

Héj! z Plesiwskiej bramy pozierają pany,
Jako się Janosik wataskami broni.

Niemogę wiedzieć o jakim miejscu jest tu mowa

Powiadali, powiadali
Ze zbójnika porąbali;
Rozrąbali bucka w lecie,
A zbójnicka wiatem niesie.

Udali mię, udali,
Cob ich ciorci zabrali.
Udali mię zbójnikiem
Ze ja chodził chodnikiem.

Zamecku, zamecku nowo murowany,
-Héj! siedział ja w tobie rocek okowalny.

Siedział ja na zamku psez rok i psez tydzień,
Nigdy ja nie wiedział, kiedy noc, kiedy dzień.

Piosenka następna może się uważać za całość.

Mali chłopcy, mali
Kiej się na zbój brali;
Jesce nie porośli,
Kiedy na zbój pošli;
Jesce nie zbijali,
Kiej ich połapali:
Dyc ich połapali
W Zakopińskiej hali.

w górach Zakopanego.

Czas wreszcie zobaczyć zbójcę w całej jego dzi-
kiej srogości; takiego zobaczymy w pieśni którą tu
kładę.

HAŹ ZBÓJCA.

Hanciu moja, pudź do domu,
Wydam ja cię niewiém komu;
Wydam ja cię Janickowi,
Héj walnemu zbójnickowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik.
Wiés po wirchach kazdy chodnik.
We dnie idzies, w nocy wrócis,
A mnie biedną tylko smucis.

Mas kosulkę uznujoną,
A sablicku zakrwawioną.
Janku, Janku, kędyś ty był.
Coś se sablicku zakrwawił?

Wyrubałem tu jedlicku
Co stojała w okienecku,
We dnie, w nocy hurkotała,
Mnie smutnemu spać niedała.

Psyniół—ci jęj chusty prać
A nie dał ich rozwijać *).
Ona prała, rozwijała,
Prawu rucku nadybała :

W tęg rucecce pięć palusków,
A na małym złoty pierścień,
W tym pierścionku troje wrótka :
-Dyć to mego brata rucka.- —

Niedługo się obawiała,
Do matusi odsyłała :
-Matko moja psemilena,
-Cy mam bratów syćkich doma?-

— -Córaś moja! nic z jednego,
-Z tych—to siedmiu najmłodsego.- —

*) U ludu naszego ważny to powód posądzania męża o niewinność małżeńską, kiedy jęj nie daje swojej bielizny do prania.

Skoro wysedł rok, półtora,
Nagodził jęj Pan Bóg syna.

-Lulaj buba, synu mój!
-Nie bądź tak jak ojciec twój.
-Na kąski bym cię siekała,
-Orłom, krukcom rozsypała.-

A on za smerkiem słysy,
I od złości cały dysy :
-Spiewaj, Hanciu, jak spiewała,
-Kiedys syna powijała.-

— -Lulaj, buba, synu mój!
-Być był tak jak ojciec twój.
-We winie — bym cię kąpała,
-A w jedwabie powijała.-

— -Oblec, Hanciu, drogą satkę,
-A pójdziemy na psechadzkę.-
— -Dwa rocekim s tobą zyła,
-Na psechadzki nie chodziła.-

A wziął—ci ją za rucycku
I zawiódł ją ku gaciku,
Ocka carne jęj wydłubał,
Rącki białe jęj odrubał.

Rozplakał się syn jęj młody.
Nie mógł Ojcu on dać rady.

• Wstań—ze Hanciu psemilena,
• Pudź, utul twójgo syna •

A sam posełł w skały, w lasy ;
I niema go po te casy.

Jest-to mojem zdaniem jedna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami ludu. Niewoląca prostotą, rozdzierająca głębokim czuciem, okropna cała osnową, nie przedstawia mi żadnego braku, żadnej skazy: jest wykończona w każdym szczególe równie jak w całości z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartem, w swoim umyśle prostym, dla tego jasnym, do której zdolny jest tylko język ludu, pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący wszystko właściwem imieniem. Jest-to jedna z tych pieśni które za wzór brać powinniśmy i dobrze się ich uczyć, kiedy chcemy wprowadzić prawdę i w duchu i w formie do naszej poezyi.

Ponieważ pieśń ta opiewa zdarzenie prawdziwe i znane w okolicy, przyłączano mi opowiadanie które ją robi jeszcze prawdziwszą zwłaszcza na początku. Oto jest opowiadanie.

Pewien zamożny goral, miał oprócz siedmiu synów, córkę jedynaczkę, niepospolitej urody. Wielu zalotników starało się o nią. Między temi znalazł się i zbój. Goral ojciec, równie jak nikt w okolicy, nie wiedział o tem, przeciwnie widział w nim bardzo porządnego Gazdę, dał mu pierwszeństwo nad innymi

i przyjął go za zięcia. Żona nie domyśla się także prawdy. Wszakże ją niepokoi i odludne jego mieszkanie w dzikich górach, i częste oddalanie się z powodów i dla celu, które jej są niewiadome. Pyta go czasem o to, równie jak o przyczynę dla czego nigdy niechce otworzyć jej skrzyni ze swojemi rzeczami, ani niedaje bielizny do prania, ale nie otrzymuje odpowiedzi coby ją zadowolniała. Jednego wieczora powraca znużony, spocony, więcej niż zwyczajnie, bron jego zakrwawiona. Przelękniona żona bada go i tą razą, i znowu na próżno. Obsiada ją podejrzenie, czeka więc aż swoim zwyczajem oddali się na dni kilka, korzysta z tej nieobecności, otwiera jego skrzynię i znajduje pomiędzy szatami uciętą rękę; na małym palcu był jeszcze pierścionek, dla którego ta ręka była odcięta i skryta; po tym pierścionku poznaje że to ręka jej brata najmłodszego. Odkrycie to przekonano ją prawie że jej mąż jest zbójcą. Po pewnym czasie nagodził jej Pan Bóg syna, jak pieśń powiada; temu śpiewając raz do snu dawała nauki, ażeby się nie wdał w ojca. Przypadek zrządził, że mąż ją podsłuchał i poznał że jest odkryty. Ale w tej chwili zamyka się w gniewie, tylko wszedłszy do chaty, każe kończyć śpiewanie. Biedna żona daje pieśni inny obrót, pochlebny mężowi. Zbójcę to nie ulagadza, każe jej ubrać się w świąteczne suknie, wyprowadza siłą w las odludny i tam odcina jej rękę, za to że otwarły jego skrzynię, a oczy wydzięra za

to, że przepatrywały jego bieliznę. Poczem odprowadził ją do domu, a sam poszedł w Tatry i odtąd niewiadomo co się z nim stało.

Zamkniemy pieśnią w której jest całe życie zbójcy:

Héj! chłopiec ja, chłopiec z końca Rogoźnicka *),
Miałem matkę dobrą, a ojca zbojnicka.
Jescem nie zbojował, dopierom probował;
Z bucka na jedlickę w lesie pseskakował.
Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk,
Juz mię chcą powiesić na zelazny hacyk.
Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić,
Ja wam będę za to siedem rocków służyć.
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,
Cobym ja nie siedział na Wiśnicu darmo.
Oj! jakzeby było žal memu kochaniu,
Kiejby mię powiedli z wirsku ku Muraniu **).
-Powiadała ja ci: daj pozór na siebie,
-Hamerscy hajducy ***) biorą się po ciebie.
-Obwiesą cię Janku za pośrednie ziobro,
-Juz ci będzie potém zbijać nie podobno.-
A kiej mnie powiesą, moja dusa wstanie.
Budzie ona hładzić frairki na stamie.
Kiej mnie obwiesicie, obwieściez mnie w miescie,
Baryłkę z palenką nademną powieście.
Tam będę se wisiał, będę se spoczywał,
Tam będę co chwila palenkę popiwał.

*) Rogoźniczek — nazwisko wsi.

**) Muran, ma to być każde miasto grodowe.

***) Hamernia, fabryka żelaza. Hajducy—policja dworaka.

Obróć-ze mnie mistsu ockami ku drodze,
Niech się ja napatsej tój zbojeckiej chodze.
Zbojnicka frairka syćko popłakuje;
Zbojnickiem na haku wiater porusuje.
Mikulos, Mikulos, Mikuloskie mosty,
Tam się potyrają swarnych chłopów kosty.

Tyle o zbójectwie w górach, które większą swoją częścią jest bardziej w przeszłości jak w obecności.

DOLINA ZAKOPANE. — ŹRÓDŁO BIAŁEGO DU-
NAJCA. — MAGÓRA. — RUDY ŻELAZNE. —
STAWY GĄSIENNICOWE.

26 Października 1832 r.

Zakopane jest to miano wsi i doliny w Tatrach, idącej w tymże kierunku co dolina Kościeliska; przedziela je Gewont i pasmo wzgórzów o których mówiłem wyżej. Dolina ta nie jest tak wdzięczną, jak Kościeliska: obejmuje jednak przedmioty godne widzenia. Z niej wypływa Biały Dunajec, jak Czarny z Kościeliskiej; w jej obrębie znajdują się najobfitsze w tej okolicy rudy żelazne.

Chociaż pora roku spóźniona, obsypała już śniegiem góry, korzystałem jednak z pewnej sposobności i pojechałem do Zakopanego, aby raz jeszcze zbliżyć się do głębi Tatrów.

Jasny był poranek w którym wyszliśmy na zwiedzenie doliny. Mróz nocny kilkunasto-stopniowy gwałtownie wolniał z podnoszącym się słońcem; ziemia

przypruszona była płytkim śniegiem. — Biały Dunajec obficie tu płynie i okazalej niż Czarny przy swoim źródle, z kamienia o kamień się rozbija. Cała dolina, mianowiciej przy brzegach Dunajca, zavalona głazami, które woda ogladza i wyrzuca, nim je zabierze w następnej powodzi i dalej poniesie. Głazy te słyną szczególniej ze mchu czerwonego, amarantowego; jest on prawie niedojrzany gołem okiem, głaz pod nim wydaje się jak powleczony czerwoną barwą, potarty bielizną żółty ślad na niej zostawia; pachnie jak fiołek, a zwłaszcza podczas pięknych letnich poranków. Mówiono mi, że kamień tak umszony trzymany w izbie, wydaje z siebie ten zapach bardzo długo.

Szliśmy ku źródłu Dunajca jego brzegiem; przy drodze mieliśmy piękną polanę Kałatówkę, otoczoną wysokimi górami; dalej bijący w oczy ogrom różnokształtnych opok, który jak wieniec, otacza wzniosłą górę i zowie się: Zakopański Zamek. Z podnóża jego posady wypływa Biały Dunajec wodospadem czterosążniowej wysokości; w lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda bijąca się po umszonych kamieniach i biała od wiecznej piany, w zimie wybucha cokolwiek niżej, i mniej gwałtownie.

Pierwsze i główne stanowisko w dolinie jest Hamernia czyli kuźnia żelaza, przy której leżą domy mieszkalne, a między niemi dom samegoż właściciela tej okolicy: z tego punktu rozpoczęliśmy naszą wyprawę, której ostatecznym kresem miała być ruda

żelazna skąd biorą materiał surowy do Hamerni. Ta ruda czyli kopalnia, albo jeszcze inaczej w tutejszym języku, bania, leży o dwie godzin drogi od Hamerni, w grzbiecie góry zwanej Magóra.

Droga do bań przestronna, dobrze utrzymana, ale tak przykro zwijana w około góry, bo rudy leżą pod samemi szczytami— że wozom prowadzącym rudę żelazną do hamerni, zdejmują zadnie koła; a i to jeszcze nie może przeszkodzić, aby konie nie zlatywały w całym pędzie aż na miejsce mniej spadziste.

Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką, wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach, to z żelaznemi w rękach kagańcami, to z taczkami skrzypiącemi, albo z ciężkimi młotami, pastwiący się, jak złośliwe istoty, nad łonem ziemi-matki; te mdłe gwiazdki kagańców, płonące tu wprost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam w dole w takiejże głębokości, albo biegnące z taczkami jak błędne ognie cmętarza; z resztą ta ciemność, ta cisza, ta sfera całym grobowa, przenoszą myśl w jakąś dziedzinę fantazyi dzikiej, czarnej, nie ludzkiej a nieanielskiej.

Szesnastu ludzi pracuje w tej bani od niedzieli do piątku. Sobota jest dniem odpoczynku. — Jest nawet wiara między górnikami, że ktoby odważył się pracować tego dnia w bani, Duch opiekujący się niemi, skarałby takiego jakimś wielkiem nieszczęściem, a nawet zawaleniem całej bani.

Z resztą banie te obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy wychodzą na noc z bani i mają szalas gdzie odpoczywają. Stoi on pod nawisłą górą i wytrzymuje częste szturmy to lawin, to kamieni pękających od mrozu i toczących się na dół. Mają swego naczelnika z pomiędzy siebie, który surowo karze wszelkie przestępstwa, łopatką umyślnie na to sporządzoną. Uderzeniem tej łopatki poświęcają także pierwszy raz zwiedzających te banie.

Nie mieliśmy dosyć czasu wejść na okazały skalisty szczyt Magóry, musieliśmy przestać na niższym jej grzbiecie. Śnieg, spadły tam przed kilką już tygodniami, grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas widok niezmiernie rozległy i piękny na północ, wschód i południe.

Stąd mi pokazano i widziałem, ale w wielkiej odległości, Gąsiennicowe stawy. Leżą oni cokolwiek niżej jak Pięcio-stawy, ale jeden z nich jest tak wielki jak Morskie Oko i na środku ma wyspę. Z tego jeziora wypływa potok który wpada do Dunajca pod Poroninem. Miejsce to, bliskie na pozór, leżało od nas, jak mi mówiono, o półtorej mili najmniej, pomiędzy górami tak nagimi, jak są góry w około Pięciostawów.

O Magórze, na której byliśmy, to mi jeszcze powiadano, że w lecie przylatują tu ptaszki do kanarków bardzo podobne i ze śpiewem podobnym; my, widzieliśmy dzisiaj tylko mech, kozodrzew, śnieg i

kamyki, które pękały pod mrozem na wyższych szczytach i staczały się pod nogi nasze.

Zwiedzanie bań Zakopańskich naprowadziło mnie na myśl, której sobie rozjaśnić nieumiem, dla tego zapisuję ją tutaj. Zdaje mi się godnem uwagi, że we Francyi zowią się podobnie (bagnes) miejsca surowej kary, po naszymu galery, i że niektóre obyczaje naszych bań są te same co między francuzkami galernikami. I tam jak tutaj Sobota jest dniem świętecznym. Wiadomo także, że przybywający do galer musi uznać władzę którą galernicy mianują śród siebie, a czemu odpowiada w tutejszych baniach zwyczaj uderzenia łopatką zwiedzających je po raz pierwszy. Skąd te podobieństwa? wartoby się nad tem zastanowić.

NA KLUCZKACH. — POŻEGNANIE SIĘ Z GÓRAMI.

1 Listopada 1832.

Zima powraca, opanowała już Tatry, zasiadła znowu na nich jak na odwiecznej swojej stolicy i rozszerza dokoła swój podbój z którego na chwilę ustąpić musiała. Lato cofa się, a z nim wdzięk życia i życie samo tych okolic. Mnie także los mój pędzi w inne strony. Wkrótce znajdę się w innym świecie, sferze innego życia; będzie ono zapewne silniejsze na zewnątrz, gwarniejsze, więcej mię zaprzątnie, bardziej czas mi zajmie, ale czy znajdę w niem tę swobodę, tę błogość, tę pełność uczuć, tę jasność myśli, to zadowolenie wewnętrzne co tak szybko posuwa łódkę naszej żeglugi ziemskiej a dmąc tak łagodnie w żagle życia? Czy znajdę tam co tu tracę, czy mi się wróci kiedy co tu tracę? Czy wrócę jeszcze kiedy w te strony, gdzie znalazł tyle miłości w tych drzewach, głazach, dolinach, górach, wodach, ruinach, a nawet ludziach; w blasku słonecznym tych dni

w gwiazdkach tych nocy, w bełkocie tych potoków, w szumie tych wiatrów, i w uroczystej ciszy tych cieni łagodzonych gwiazdami na niebie a na ziemi świecącymi robaczkami; gdzie i ja rozlał tyle miłości, złożył w każdy przedmiot tyle uczuć serdecznych, powierzył tyle rzewnych myśli tym wiatrom w różne strony do serc różnych? znajdzie się tu jeszcze kiedy jak przyjaciel wśród przyjaciół? będę tu z dziejszą wzajemną miłością poznany, powitany, przyjęty? uśmiechnieź mi się jeszcze przyjazne oblicze tej okolicy? obejmieź mię choć raz jeszcze w życiu to powietrze swoją miłością macierzyńską?..

Dokoła widok niezmierny; zachwyciałem się nim niedawno, ale jak inny dzisiaj! Tatry wyglądają z pod chmur zimowych dziko i groźnie. Lasy żółcieją i czernieją barwą późnej jesieni. Powietrze przeszywa podmuchami przykrego chłodu. Obok mnie szalas, pusty, niemy, nie tak jak było temu kilka tygodni. Pozieram dokoła — ogrom nieogarniony wzrokiem a ja wśród tego ogromu — sam! — Świat wielki a niema się gdzie pomieścić! powiada nasze przysłowie — O! jak ta prawda przypada do obecnego mojego stanu! — Ptak ma swoje gniazdo, liszka swoją jamę, a syn człowieka niema gdzieby głowę swoją mógł przykłać! — wyrzekł Chrystus. Nigdy mocniej niepoczułem tych słów rozdzierającej boleści, najgłębszej skargi, najstraszniejszego wyrzutu jaki temu światu kiedykolwiek zrobiono. Tak jest! niema gdzie głowy swojej przy-

kłać syn człowieczy, skoro nie znajdzie piersi z prawdziwą, czystą, wyższą miłością, jaką znalazł Chrystus u jednego swojego ucznia. Ale jakże ją mam znaleźć?

Szukam jej w przeszłości, szukam w obecności, szukam w przyszłości!... Podnosi się w duszy poranek mojego życia. Zawiewa mię jego powietrze. Widzę wioskę wołyńską, ustronną, skrytą w lasach, mój domek rodzinny, niedaleko pod lasem mogiłki wiejskie. Stała tam kiedyś cerkiew! splamiło ją jakieś świętokradztwo, gniew Boży dotknął to miejsce i cerkiew zapadła w ziemię, z całym ludem który ją napelniał, w sam dzień wielkiej nocy, podczas nabożeństwa. Nie zginęła jednak bez śladu i nadziei. Przyłóż w tym miejscu ucho do ziemi, w ten sam dzień, o tej samej porze, a usłyszysz dzwony podziemne. Tak lud twierdził i wierzył. Wierzyłem z ludem i wierzę, biegłem kryjomo na cmentarz, przykładam ucho do mogił czy nie usłyszę dzwonów zmartwychwstania.

Dziś to samo robię, tylko żem wyższy o lat dwadzieścia i głuchszy wewnętrznym słuchem, tylko że tą mogiłą jest ogrom góry na której stoję, a tym cmentarzem świat co mię otacza.

Ta ziemia którą widzę przed sobą, ten świat dokoła, to życie za mną i przedemną, jest owa powłoka pod którą leży mój świat zapadły, moje życie zapadłe. Zwracam ucho na wszystkie strony, przykładam je do ciszy, do każdego wiatru wędrownego, do każ-

dego dźwięku zabłąkanego w tej dziczy, słucham uchem i myślą czy nie usłyszę dzwonów mojego życia prawdziwego!...

Napróżno wszystko!

Jakto? miałbym tylko tyle stąd wynieść, tylko ten owoc zebrać i podać innym z tyła czasu takiego życia? nic więcej tylko myśl zwątpienia, żal bezpłodny? Ślepyż-to przypadek wyrzucił mnie tutaj jak rozbita z nawałności życia? byłbym już trupem którego morze świata niemoże ścierpieć w swoim łonie i wymiata na pastwę żarłocztwu zwątpienia, na zginienie uczuciem swojej bezużyteczności? A oweż myśli których tyle przemignęło przez tę głowę; a owe uczucia których tyle przegrało w tych piersiach, byłoby tylko ptaństwem żarłocznym i tak-by dalece obrały mnie ze wszystkiego, że nic-by już więcej nie pozostało ze mnie jak szkielet na nic nieprzydatny? O! nie daj tego Boże! i tak nie jest.

Nie przypadek mię tu rzucił, nie na darmo tu się znalazłem. Nie na darmo otwarto mi wszystkie zasoby zewnętrzne i wewnętrzne tej krainy, jej przyrody i jej człowieka. Nie oddalę się stąd jak rozpustnik zniewieściały gnuśnym używaniem, wycieńczony bezrządem marzeń, bezsilny do życia na polu czynności. Nie! czuję że nie straciłem nic z tego com tu przyjął. Pierś moja pilniejsza, widzenie jaśniejsze, ochota życia większa, wiara czystsza, miłość Boga i ludzi odważniejsza, nadzieja mocniej przytwierdzona

do dna oceanu niewidomego. Czuję w sobie siłę pozostać w tym stanie, przebyć w tym stanie przyszłość jaka leży przedemną.

Tak was żegnam góry i ludzie coście mię zasili-li. Tak ci dziękuję Boże! za tę chwilę łaski którą mnie w tym miejscu dotknąłeś. Nie stracę jej, pokazę ją w mojem życiu.

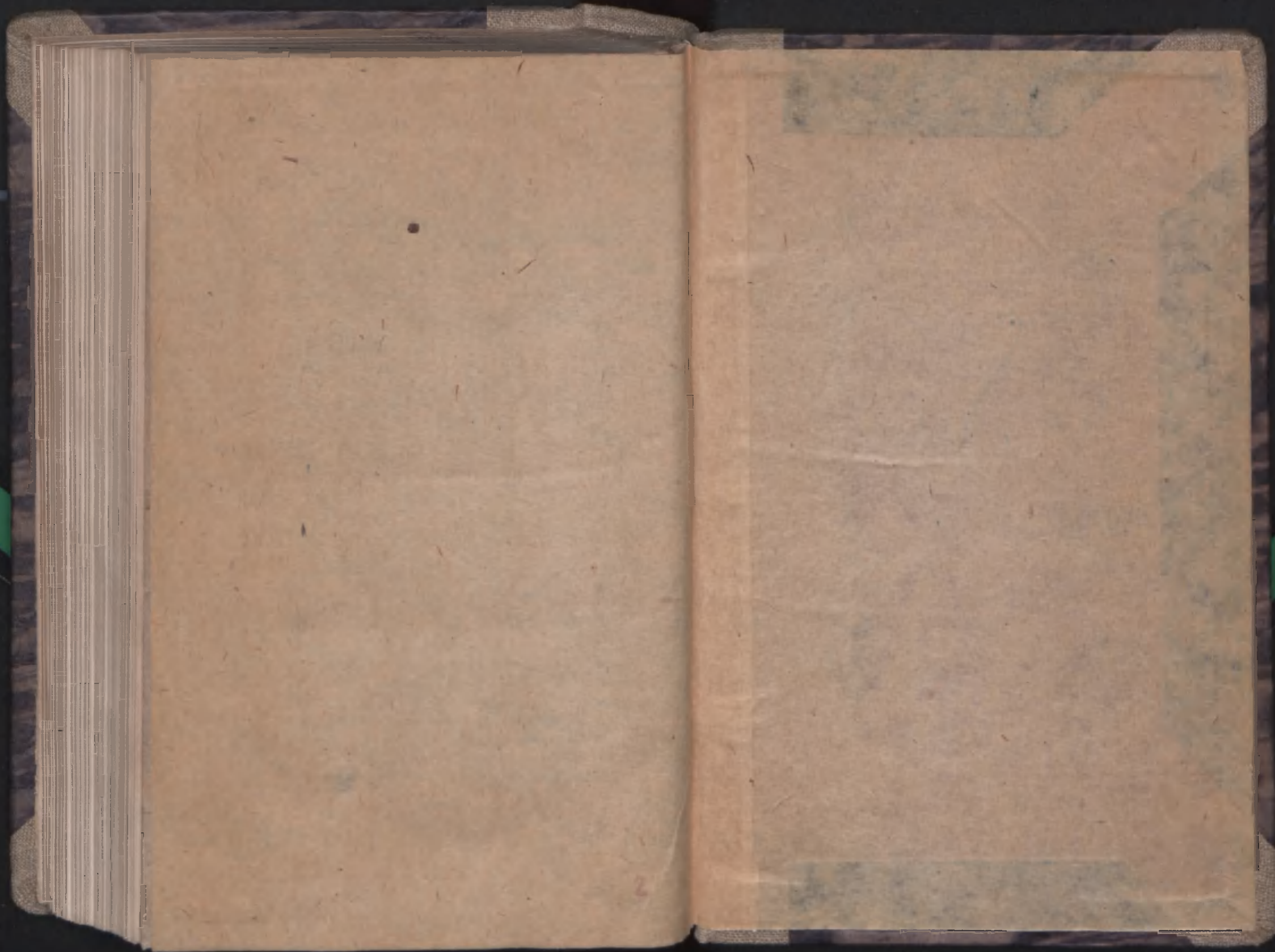
Zimny wiatr powiał, dreszcz przebiegł po ciele; to przyszłość, to życie w czynności po życiu w modlitwie, to atmosfera nizin ludzkości. Cóż robić! Schodźmy na dół, trzymając statecznie cośmy wzięli na górze.



SPIS PRZEDMIOTÓW TEGO DZIEŁA.

Dla czytających to dzieło.	
TARNOWSKIE	1.
Wieś Mikołajowice	3.
Zamiar podróży do Tatrów	9.
Tarnów. — Wojnicz. — Okolica	11.
Słówko o ludzie Tarnowskim	16.
Na górze Panieńskiej	21.
Smigus. — Djabeł Iskrzycki, powieść	27.
DROGA DO NOWEGO TARGU	31.
Lusławice. — Zakliczyn	33.
Bruśnik. — Paleśnica. — Sącz nowy i stary. — Kasperek.	36.
Jazowsko. — Łącko. — Pogranicze goralii białych i czarnych. — Krościenko. — Pieniny. — Czorsztyn.	41.
TATRY I PODHALE	47.
Ogólny pogląd na Tatry	49.
Wieś Łopuszna	54.
Konfederat Barski	58.
Góry Łopuszańskie	61.
Wycieczka do Zakopanego i Kościeliska	65.
Z wielkiej Góry. — Dzieci goralskie.	69.
Metrologia goralów.	72.
Świat duchowy Podhalan. — Strzygi, Upiory, Wilkołaki, Boginki, Dziwożony.	76.
Świat duchowy Podhalan. — Niektóre wyobrażenia i powieści goralów w tym przedmiocie.	84.
Świat duchowy Podhalan. — Niektóre powieści w duchu chrześcijańskim	90.
Dolina Nowotarska	97.
Podhalanie — lud	104.
Odjazd w Tarnowskie.	122.

Powrót na Podhalę	124
Narzędzie Podhalan. — Słowniczek	126.
Słowniczek języka Podhalan	129.
Pastérstwo w Tatrach. — Pieśni pastérskie	133.
Muzyka i taniec goralów.	151.
Na skałe Turniska. — Góry jako pole poezyi	156.
Kilka myśli rozjaśniających poetyczną stronę goralów	163.
I. Zabobony.	—
II. Lud-artysta	167.
III. Sumiennosc w poezyi	170.
IV. Życie wyższe w poezyi ludu	172.
Melsztyn. — Zamczysko	175.
Podróż do Drużbak	183.
Góra Kluczki	189.
WYPRAWA W GŁĘB TATRÓW	197.
Leśniczostwo Bukowińskie	199.
Wołoszyn. — Rostok potok. — Siklawa woda. — Wodospad. — Pięciostawy jeziora. — Świstowa Góra. — Morskie Oko	202.
Kościeliską. — Źródło czarnego Dunajca. — Smerczy Staw. — Góra Ormak	213.
Widok z Czorsztyna	229.
Szlachta Sandecka	232.
Świąt zwierzęcy w górach	237.
Z Turnisk. — Glebka Tatrów	240.
Zamczysko Czorsztynskie.	244.
Na Wyżniój. — Wpływ tajemniczy gór.	250.
Meła poranna w górach	254.
Pobył z Próboszcza we Friedmanie	257.
Zbójnicy w górach. — Pieśni i powieści w tej osnowie.	264.
Dolina Zakopane. — Źródło białego Dunajca. — Ma- góra. — Rudy żelazne. — Stawy Gąsiennicowe.	284.
Na Kluczkach. — Pożegnanie się z górami	290.





BIBLIOTEKA
NARODOWA

2001822

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001006334701